

NASI WĄSACI TOWARZYSZE ROBIĄ CO W ICH MOCY, ŻEBY  
OCALIĆ LUDZI PRZED ICH WŁASNĄ MANIĄ DESTRUKCJI.

# JUTRO NALEŻY DO KOTÓW



BERNARD WERBER



BERNARD WERBER

JUTRO  
NALEŻY  
DO  
KOTÓW

Z języka francuskiego przełożyła  
Marta Turnau



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:  
Demain les chats

Copyright © Editions Albin Michel et Bernard Werber - Paris 2016  
Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga  
Copyright © 2018 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Mariusz Kulan  
Korekta: Emilia Grzeszczak, Iwona Wyrwisz, Edyta Malinowska-Klimiuk

ISBN: 978-83-8110-611-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**  
[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

Dedykacja

Motto

1. Poszukiwanie
2. Pierwsze podejście
3. Moja służąca
4. Mój tajemniczy sąsiad
5. O trudnościach związanych z dzieleniem terytorium
6. U „niego”
7. Widok z góry
8. Świetlisty narkotyk
9. Groza pracy
10. Incydenty w Paryżu
11. Z moich trzewi
12. Zbrodnia
13. Bez pożądania nie ma cierpienia
14. Niesmak
15. Początek głodu
16. Niespodziewana wizyta

17. Narodziny Trzeciego Oka
18. Na zachód
19. Wśród gałęzi
20. Przemowa wodospadu
21. Bitwa na Polach Elizejskich
22. Przenosiny obozu
23. Obwodnica
24. W pułapce
25. Spotkanie na chmurce
26. Leśna dyplomacja
27. Na brzegu rzeki
28. Pitagoras
29. Wyspa Łabędzia
30. Pazury i zęby
31. Pitagorejska mądrość
32. Dwa kroki w tył, trzy kroki naprzód

Postscriptum

Muzyka słuchana podczas pisania powieści

*Mojej przyjaciółce, powieściopisarce Stéphanie Janicot, która podarowała mi Domino, kotkę drepczącą systematycznie po klawiaturze mojego komputera, kiedy tylko zauważy, że zaczynam szybko pisać (a w rezultacie moja uwaga skupia się na czymś innym niż ona).*

Pies myśli: „Ludzie mnie karmią, chronią, kochają, muszą być bogami”.  
Kot myśli: „Ludzie mnie karmią, chronią, kochają,  
muszę być bogiem”.

ANONIM

„Psy patrzą na nas z szacunkiem, koty z pogardą, a świnie jak na równych sobie”.

WINSTON CHURCHILL (LUDZKI POLITYK)

„Pies potrafi się uczyć i zapamiętać znaczenie stu dwudziestu słów i zachowań ludzkich. Pies potrafi liczyć do dziesięciu i wykonywać proste operacje matematyczne, takie jak dodawanie czy odejmowanie. Zatem umysł psa odpowiada umysłowi pięcioletniego dziecka.

Kot, któremu proponuje się naukę liczenia, reagowania na konkretne słowa lub naśladowania ludzkich gestów, szybko sygnalizuje, że nie ma zamiaru tracić czasu na podobne głupoty. Zatem umysł kota odpowiada umysłowi... pięćdziesięcioletniego człowieka”.

PROFESOR EDMOND WELLS  
(LUDZKI NAUKOWIEC I POSIADACZ KOTA)

## Poszukiwanie

Jak udało mi się w końcu zrozumieć ludzi?

Od moich najmłodszych lat wydawali mi się zarazem tajemniczy i fascynujący.

Tak długo obserwowałam ich kręcących się we wszystkich kierunkach albo wykonujących niezrozumiałe lub komiczne gesty, że w końcu rozbudziła się we mnie ciekawość. Bezustannie zadawałam sobie pytania:

Dlaczego tak dziwnie się zachowują?

Czy można nawiązać z nimi dialog?

Wreszcie dane mi było „go” spotkać.

Naprawdę mi pomógł w pojęciu ich funkcjonowania, zwyczajów, głębokich przyczyn wyjaśniających ich osobliwe zachowanie.

Spotkania zawsze nas zmieniają.

Bez „niego” być może byłabym tylko zwykłą kotką. Być może bez „niego” nie przeżyłabym tych wszystkich fantastycznych przygód. Być może nawet bez „niego” przeszedłabym obok tych niewiarygodnych odkryć.

Gdyby kazano mi teraz przypomnieć sobie chwilę, w której wszystko się zaczęło, musiałabym zapewne powrócić myślami do mojego ówczesnego stanu ducha. Chyba bardzo się nudziłam, siedząc sama w domu, i intuicja podpowiedziała mi, że warto by było porozmawiać z tymi, którzy mnie otaczają.

Już w tamtych czasach byłam dogłębnie przekonana, że:

Wszystko, co żyje, posiada umysł.

Wszystko, co posiada umysł, potrafi się komunikować.

Wszystko, co potrafi się komunikować, może rozmawiać bezpośrednio ze mną.

Komunikacja wydawała mi się więc rozwiązaniem wszelkich problemów i jedynie ode mnie zależało rozpoczęcie owocnej wymiany opinii z innymi. Całe szczęście, że miałam taki cel, w przeciwnym razie na czym polegałoby moje istnienie? Na jedzeniu? Spaniu? Przyglądaniu się następującym po sobie dniom i nocom spędzonym na jedzeniu i spaniu, kiedy tymczasem świat pulsuje wokół mnie?

Tymczasem poszukiwanie nie wystarcza, trzeba też mieć strategię prowadzącą do spełnienia.

Jak pójść w stronę innych?

Oto jak wszystko się zaczęło...



## Pierwsze podejście

Powieki powoli opadają, biorę głęboki wdech, czuję swoje ciało, a w głowie czuję swój umysł.

Jest jak krągła chmurka, wełnista i srebrzysta, unosząca się wewnątrz czaszki. Posiada zdolność powiększania się. Elastyczna, rozciąga się, rozprzestrzenia, zmienia w dysk. Im bardziej się rozciąga, tym jaśniej moja świadomość postrzega otaczającą mnie przestrzeń. Mój umysł jest po prostu mglistą serwetą, tak cienką, że przypomina wrażliwą błonę.

Wyczuwam napływające ku mnie z daleka fale. Dziesiątki żywych istot wszelkich możliwych rozmiarów i kształtów wibrują, oddychają, myślą, nadają komunikaty w ich własnym języku i wprawiają mnie w drżenie, tak jak brzęczenie much kołysze powierzchnią pajęczyny.

Mam zamknięte oczy, słucham fizycznymi i psychicznymi zmysłami.

Teraz na przykład wyczuwam falę.

Bez wątplenia w mojej strefie wrażliwości znalazła się myśląca istota.

Rozpoznaję zaniepokojoną myśl.

Otwieram oczy, szukam źródła emisji, ruszam w kierunku, z którego dobiega sygnał.

Moje oczy dokańczają proces lokalizacji inteligencji.

Widzę ją. Jest bardzo piękna.

Zbliżam się małymi kroczkami.

Moje systemy powonienia i słuchu uzupełniają analizę.

Pachnie naturalnie i delikatnie.

Jej duże zaniepokojone brązowe oczy rozglądają się wokoło.

Smakuje wargami kremowe ciasto. Wąski pyszczek, białe lśniące zęby. Niespokojne palce o długich czarnych paznokciach zaciskają się na smakołyku.

Jest naprawdę czarująca.

Dawniej w podobnej sytuacji pomyślałabym, że celowo na mnie nie patrzy, że drażni się ze mną, żeby przetestować, jak zareaguję. Ale dzięki mojemu nowemu stanowi poszerzonej świadomości postrzegam ją jako zwykłą formę życia przepelnioną energią, z którą mogę się porozumieć.

Wystarczy znaleźć odpowiednią długość fali.

Zbliżmy się jeszcze.

Skupiam się i wysyłam w jej stronę wyraźną myśl:

*Dzień dobry, panienko.*

Ponieważ nie reaguje, towarzyszę mojej myśli, wykonując jeszcze jeden krok naprzód. Parkiet skrzypi. Ona odwraca głowę i wzdryga się na mój widok. Przestraszona, ucieka, porzucając ciastko.

Pędzi, używając całej siły swoich zgrabnych umięśnionych ud.

Biegnę ze nią.

To sportsmenka. Sadzi teraz susami.

Próbuję nie zostać w tyle. Udaje mi się nawet zyskać przewagę. Zauważam teraz pewien szczegół, który do tej pory mi umykał, a który składa się na jej niezaprzeczalny wdzięk: ma długie, szczupłe i różowe ogonek.

Skupiam się i wysyłam nową myśl:

*Dzień dobry, myszko.*

Przyspiesza.

*Hej, poczekaj! Nie chcę cię skrzywdzić, nie mam nic przeciwko kradzeniu ciastek, chcę tylko z tobą porozmawiać.*

Jeszcze przyspiesza.

*Nie, nie odchodź!*

Kręci różowym ogonkiem. Ta mysz jest naprawdę bardzo urokliwa. Lubię istoty, które potrafią harmonijnie się poruszać.

Cóż, będę musiała ją złapać, jeśli zależy mi na satysfakcjonującej rozmowie. Również przyspieszam, potrącając kuchenny taboret, ocierając się o wazon w salonie, drapię dywan, hamując.

W swoim pędzie z trudem wyrabiam się na zakręcie w lewo, potem w prawo, prześlizguję się mniej lub bardziej kontrolowanie po wypastowanym parkiecie, odzyskuję równowagę, wbijając pazury w podłogę. Ona jest już daleko, ale wciąż jeszcze ją widzę, tajemniczy kształt znikający w uchylonych drzwiach do piwnicy.

Zbiega po schodach prowadzących do podziemia. Podążam za nią.

Znajdujemy się w otoczeniu pralek, wózków, walizek, starych obrazów i butelek z winem. Niewiele tu światła – pojedynczy promień wpadający przez okienko piwniczne – rozszerzam więc maksymalnie źrenice (wąskie szczeliny zmieniają się w duże kółka) i dzięki temu udaje mi się poruszać w niemal całkowitej ciemności.

My, koty, potrafimy to robić.

Widzę nawet ślady na zakurzonej podłodze. Idę za nimi jakiś czas, wreszcie znikają.

Zamykam oczy, nadstawiam uszu, żeby zlokalizować mysz dzięki niezwykle wyostrzonemu słuchowi. Końce moich wąsów wibrują i pozwalają na

wyodrębnienie informacji.

Poszła w tamtą stronę.

Nieco dalej rzeczywiście odnajduję ślady prowadzące do szczeliny w ścianie, w pobliżu worka z drewnianymi szczapami.

Zbliżam się miękkim krokiem.

*Czy jesteś tutaj, myszko?*

Słyszę głośne bicie jej serca. Od niepokoju przeszła bezpośrednio do stadium całkowitej paniki.

Pochyliam się i widzę ją ukrytą w otworze nie większym niż moja łapa.

Drży na całym ciele, wytrzeszcza oczy, zwinęła ogon między łapkami i rozchyliła pyszczek.

Czy to możliwe, że to ja ją tak przeraziłam? Przecież jestem tylko młodą kotką.

Myślę, że lata niezrozumienia między naszymi dwoma gatunkami nie pomagają w przełamaniu wzajemnej podejrzliwości. Skupiam się i wysyłam telepatyczną wiadomość, po której wydaję pomruk na falach o niskiej częstotliwości.

*Nie zamierzam cię zabić, chcę tylko porozmawiać, jak przystało na jeden świadomy umysł z drugim.*

Ona cofa się jeszcze dalej w głąb norki. Trzęsie się tak mocno, że słyszę klekotanie jej zębów.

Przechodzę w tryb pomruków na średniej częstotliwości.

*Nie bój się.*

Jej oddech staje się głębszy, bicie serca jeszcze szybsze, jak gdyby ta przechwycona myśl wywołała efekt odwrotny do zamierzonego. Mimo to wydaje mi się, że już prawie osiągnęłam cel.

*Nie myśl przypadkiem, że...*

W tym momencie eksplozja sprawia, że podskakuję. Odgłos rozległ się na zewnątrz, a po nim następują kolejne suche trzaski, wreszcie piskliwe krzyki.

Wspinam się na piętro, wychodzę na balkon w sypialni i z tego wysokiego punktu obserwacyjnego usiłuję zobaczyć, co wywołało takie zamieszanie.

Dostrzegam ubranego na czarno człowieka, celującego swego rodzaju kijem, o końcu tryskającym małymi światełkami, w stronę młodych ludzi wychodzących z dużego budynku, nad którego drzwiami wisi niebiesko-biało-czerwona flaga.

Niektórzy spośród nich upadają i przestają się poruszać. Inni rozbiegają się na wszystkie strony i wrzeszczą, tymczasem czarno odziany człowiek wciąż produkuje swoim kijem eksplozje. Kiedy ten w końcu przestaje działać, rzuca go między rozkrzyczanych młodych ludzi, którzy upadają na chodnik, po czym oddala się biegiem.

Inni ludzie gonią go i udaje im się go pochwycić, niemal przed drzwiami mojego domu. Biją pięściami i kopią.

Ze wszystkich stron nadjeżdżają samochody, tymczasem wokoło słychać krzyki i jęki.

Potem ubrany na czarno mężczyzna zostaje zabrany przez bardzo hałaśliwy samochód, na którego dachu kręci się niebieskie światelko. W międzyczasie tłum gromadzi się wokół mojego domu i budynku z flagą. Krzyki wreszcie ustają, ale ludzie rozmawiają szybko i głośno, wyczuwam emocję niczym namacalną chmurę: cierpienie. Niektórzy ustawiają się w parach, jeden człowiek przemawia, trzymając w ręce kulę, drugi oświetla go za pomocą przedmiotu wyposażonego w źródło światła. Ludzie z kulami przemawiają w swoich językach, zwróceni w stronę lamp. Następnie lampy gasną.

Biała ciężarówka z niebieskim światłem na dachu pojawia się, również wywołując straszliwy hałas. Młodzi ludzie zostają podniesieni z ziemi i umieszczeni wewnątrz pojazdu. Instynktownie wdycham tyle, ile mogę, z tych czarnych i złych fal emitowanych w wyniku zdarzenia. Całym ciałem chłonę agresję, ból i poczucie niesprawiedliwości obecnych tam ludzi. Mruczę, żeby oczyścić przestrzeń przede mną. Odbieram wszystkie wibracje wokoło i czuję się głęboko zaniepokojona – nic nie mogę na to poradzić.

Cóż za osobliwe zachowania. Nigdy ich wcześniej u nich nie widziałam. Co takiego mogło się wydarzyć?

Lubię ludzi, ale nie zawsze ich rozumiem.

## Moja służąca

Ludzie nie są tacy jak my.

Już fizycznie się od nas różnią. Poruszają się na tylnych łapach w pozycji pionowej, dość niestabilnej, co zawsze mnie intrygowało. Są więksi, wyżsi. Ich ramiona zakończone są dłońmi, które z kolei kończą się palcami wyposażonymi w stawy i płaskie paznokcie, których nie mogą chować ani wysuwać. Ich skórę pokrywają tkaniny. Płaskie i okrągłe uszy umieszczone są po bokach głowy, wąsy są bardzo krótkie, nie mają widocznego ogona. Zamiast miauczeć, wydają gardłowe dźwięki, którym towarzyszy kląskanie językiem. Wydzielają woń grzybów. Generalnie rzecz biorąc, są hałaśliwi, niezdarni i mają bardzo ograniczone poczucie równowagi.

Moja matka zawsze mawiała: „Strzeż się ludzi, są nieprzewidywalni”.

Oto, przedzierając się przez tłum zebrany pod moim domem, zbliża się moja „osobista istota ludzka”.

Moja służąca stanowi piękny okaz samicy. Ma długą grzywę brązowych, lśniących włosów, zebranych bardzo ładną czerwoną gumką.

Nazywa się Nathalie. Przechodzi przez drzwi, trzymając z trudem w ramionach wielkie pudło. Aby jej pokazać, że gdybym mogła, chętnie bym jej pomogła, podbiegam do jej nóg i przeciskam się między nimi, postukując delikatnie zębami.

Zdziwiona, nieomal się przewraca, w ostatniej chwili odzyskuje równowagę i wydaje z siebie liczne odgłosy, wśród których rozpoznaję moje własne imię „Bastet” (wydedukowałam, że tak mam na imię, ze sposobu, w jaki się do mnie zwraca). Jej intonacja pozwala mi sądzić, że chce się bawić. Robię więc nagły zwrot w bok, czym ją zaskakuję. Tym razem pada jak długa razem z pudłem. Szczerze? Kto wpadł na pomysł, żeby chodzić wyłącznie na tylnych łapach?

Zbliżam się i ocieram o nią, mrucząc, z nadzieją, że zgodzi się mnie pogłaskać w podziękowaniu za żart, który świadczy o wysokim stopniu naszej zażyłości. Nathalie wypowiada kilka słów w swoim niezrozumiałym języku. Z intonacji wnioskuję, że ona również jest wzburzona tym, co się wydarzyło na zewnątrz. Proponuję zatem chwilę relaksu w formie zabawy porzuconą skarpetką, którą zdążyłam już pogryźć – znalazłam na niej ostry, lecz bardzo sympatyczny zapach ludzkiego potu. Zamiast tego służąca wstaje i potrząsa pudłem, jak gdyby chcąc sprawdzić jego zawartość.

Uspokojona, rusza w stronę salonu.

Co to za nowa zabawka, tak ciężka i zajmująca tak dużo miejsca? Już to sobie wyobrażam: bardzo duży pluszak, lalka z dzwoneczkiem albo nawet kłęb kabli elektrycznych. Uwielbiam kłęby kabli elektrycznych.

Kiedy rozpakowuję pudło, dostrzegam z rozczarowaniem, że to wielka czarna deska o zaokrąglonych krawędziach. Nathalie spędza pół godziny na przytwierdzeniu jej do ściany. Kiedy kończy, wskakuję na stół i przyglądam się przedmiotowi z bliska. Dotykam go.

To smutny i zimny monolit. Nie emituje ani jednej fali.

Ziewam, dając do zrozumienia, że prezent ten mnie nie interesuje.

Nathalie natomiast, wciąż rozgorączkowana, sprawia wrażenie pochłoniętej nowym nabytkiem.

Kiedy go włącza, na desce pojawiają się kolorowe plamy i rozlegają osobliwe dźwięki. Siada w fotelu i za pomocą czarnego pudełeczka zmienia kolory i dźwięki.

Ziewam jeszcze bardziej ostentacyjnie i zauważam, że zrobiłam się głodna. Nie lubię być głodna.

Tymczasem zamiast zająć się mną, służąca siada przed dziwną lampą ścienną i wydaje się nią zafascynowana, tak jak motyl płomieniem świecy.

Skupiam się na jej umyśle i usiłuję przechwycić jej uczucia. Sprawia wrażenie poruszonej. Spoglądam na kolorowe plamy na czarnej desce i zauważam, że beżowe kółka to ludzkie twarze, pojawiają się na przemian z samochodami albo chodzącymi ludźmi. Przyglądam się jeszcze uważniej, udaje mi się rozpoznać scenę, której świadkiem byłam nieco wcześniej tego dnia. Widać budynek z niebiesko-biało-czerwoną flagą. Widać nawet człowieka w czerni w chwili, w której zostaje pojmany i umieszczony w hałasującym i święcącym na niebiesko samochodzie. Dźwięk, jaki dochodzi z czarnej deski, okazuje się pasmem głosów przemawiających szybko ludzi.

Jedna ze scen, nieco dłuższa niż pozostałe, pokazuje młodych ludzi leżących w czerwonych kałużach. Tempo głosu staje się szybsze, wyczuwam w nim wściekłość.

Dzięki skupianiu się na umyśle mojej służącej, słuchaniu i przyglądaniu się jej, pojmuję nagle, co Nathalie widzi w świetlistym oknie: ludzi, którzy nie tylko leżą, ale są też całkowicie martwi.

Wnioskuje, że ludzie nie są nieśmiertelni.

To ciekawa informacja, której do tej pory byłam nieświadoma.

Czy Nathalie nabyła świetlisty monolit, żeby patrzeć, jak osobnicy jej gatunku umierają?

Układam się na jej ciepłych kolanach, żeby lepiej wyczuć emocje – istotnie,

jest wzburzona. Moja służąca znajduje się dokładnie w takim stanie rozwibrowania jak mała mysz, za którą niedawno zesłam do piwnicy. Uległa panice. Emocje jedynie narastają. Energetyczne prądy ogarnia chaos. Wówczas, podobnie jak wtedy, gdy usiłowałam nawiązać kontakt z myszą, mruczę i wysyłam przekaz: *Nie bój się.*

Tym razem również osiągam odwrotny efekt. Nathalie podkręca dźwięk i robi najgorszą z możliwych rzeczy: zapala papierosa.

Nienawidzę papierosów. Wydzielają lepki dym, który przesiąka moją sierść i nadaje jej gorzki smak.

Żeby zmanifestować sprzeciw, opuszczam kolana służącej i udaję się do kuchni, gdzie potrącam miskę i miauczę, przypominając, że ważniejsze od ludzkich spraw są jej obowiązki, takie jak – na przykład – karmienie mnie.

Nathalie nie reaguje. Miauczę coraz głośniej.

Wreszcie wstaje, ale zamiast zająć się mną, zamyka mnie w kuchni, gdzie czekałam na swoją porcję, a następnie słyszę, że wraca na fotel i podkręca głośność świetlistej deski.

Tyle egoizmu ze strony osobnika, który powinien mi służyć – oburzające! Nienawidzę, kiedy mój człowiek tak się zachowuje.

Skacę na drzwi, zatapiam pazury w drewnie. Na próżno. Potrzeba poprawy komunikacji z moją ludzką służącą jawi mi się bardziej niż kiedykolwiek jako priorytetowy cel.

Nie wiedząc, jak długo pozostanie w tej pozycji, ze wzrokiem utkwionym w świetlistym monolicie, rzucam się na szafę, przeciskam się aż do paczki suchej karmy i usiłuję rozerwać ją zębami. Niestety opakowanie jest solidne i dopiero po wielu próbach udaje mi się wcisnąć pazur do środka.

Naturalnie dopiero w chwili, kiedy rozdieram paczkę, drzwi się otwierają i pojawia się Nathalie o obłąkanym spojrzeniu. Wsypuje karmę do mojej miski.

Jem, a karma rozkosznie chrupie między moimi trzonowcami.

Kiedy wreszcie czuję się nasycona, wracam do salonu.

Moja istota ludzka znów siedzi przed świetlistą deską, która wciąż pokazuje te same obrazy. Zauważam, że z oczu Nathalie wypływa przeźroczysta ciecz. Jej vibracje są coraz bardziej negatywne. Nigdy nie widziałam jej w takim stanie.

Wskakuję na jej kolana i liżę ją po policzku szorstkim językiem. Płyn ma słony smak, w nim również wyczuwam wzruszenie.

Wreszcie policzki Nathalie wysychają: na desce ściennej scena się zmienia. Teraz widok z góry ukazuje grupę ludzi bawiących się piłką. Gonią się, kopiąc w zabawkę, zamiast chwycić ją rękami. W tle słychać setki ludzkich głosów, które zapewne wyzywają te niezdary.

Widowisko zdaje się z początku smucić Nathalie, potem nieco relaksować, wreszcie zachwycać. Po pewnym czasie wyłącza świetlistą deskę, ludzkie głosy automatycznie urywają się, podobnie jak wszystkie inne dźwięki wydobywające się z niej.

Nathalie wstaje, idzie do kuchni, zjada zieloną zupę oraz inne artykuły spożywcze w kolorze żółtym, różowym i białym, wypija czerwony płyn, wstawia talerz do zmywarki, przeprowadza rozmowę przez telefon, bierze prysznic, depiluje wąsik za pomocą pincety – jest to zachowanie, którego nigdy nie pojmę, nie dość, że ma problemy z utrzymaniem równowagi, to jeszcze, jeśli usunie sobie włoski z pyszczka, będzie upadać częściej i nie będzie w stanie odbierać zewnętrznych fal – nakłada zielony krem na twarz i idzie się położyć, wzdychając ciężko.

Wtedy interweniuję ja. Zbliżam się łagodnie, wskakuję na łóżko i układam się na jej klatce piersiowej. Czuję szybkie bicie jej serca. Uwielbiam czuć serca innych. Wtulam się w nią i zaczynam mrużyć, skupiając się na przesłaniu telepatycznego przekazu.

*Uspokój się.*

Nathalie zdaje się cenić sobie moją obecność i pomruki. W zamian głaska mnie i wypowiada zdania. Rozpoznaję swoje imię, „Bastet”, wyszeptane z różnymi intonacjami. Wykonuje mój ulubiony gest: głaska mnie pod włos po szyi. Podnoszę brodę, odsłaniając jak największą powierzchnię na pieszczoty.

Nathalie przerywa swoją czynność, przygląda mi się, mruga powiekami i uśmiecha się do mnie przez pokrywający jej twarz zielony krem.

W końcu zrozumiałam, że kiedy usta człowieka unoszą się ku górze, oznacza to, że jest zadowolony. Kiedy mówi głośno, powtarzając moje imię, i porusza palcem – coś jest nie w porządku.

Przewracam się i podstawiam jej swój brzuch, ale ona wcale nie pojmuję dalszego ciągu wiadomości i wciąż głaska mnie po szyi. Potrząsam więc łebkiem, nie przestając mrużyć, i rozchyłam łapy. Problem Nathalie polega na tym, że lubi kompulsywnie miętosić moje futro i robi to byle jak, nie zwracając uwagi na moje aktualne chęci.

Moja służąca zgadza się wreszcie przenieść rękę na mój brzuch, powodując bardzo przyjemne odczucia. Liżę jej dłoń, a następnie miejsca, które głaskała, żeby przesiąknąć jej smakiem i zapachem. Kiedy zasypia, wyswabadam się z jej objęć i układam na poduszce, tuż przy włosach porastających jej czaszkę, starając się przesłać jej moje myśli.

*Nathalie, w przyszłości chciałabym:*

*1. Rozmawiać z tobą, żebyś mi wyjaśniła, co się stało w budynku naprzeciwko z tym mężczyzną w czerni, który hałasował.*



2. *Żebyś mi wyjaśniła, czym jest ten świetlisty monolit, na którym widać martwych ludzi i z którego dobiegają głosy.*

3. *Żebyś przynosiła mi jedzenie, kiedy tylko cię poproszę, bez ociągania się.*

4. *Żebyś przestała zapalać papierosy, których dym cuchnie i lepi się do futra.*

5. *Żebyś głaskała mój brzuch, kiedy tylko go nadstawię.*

6. *I przede wszystkim, żebyś nigdy nie zamykała drzwi. To mnie unieruchamia w pewnej części mieszkania, czego nienawidzę.*

Powtarzam wiadomość kilkakrotnie, żeby zwiększyć swoje szanse na zrozumienie.

Na zewnątrz niebo ciemnieje, zapada noc. Ponieważ jestem istotą prowadzącą nocny tryb życia, nie mam zamiaru siedzieć nieruchomo w łóżku jak moja służąca. Wracam na swój strategiczny punkt obserwacyjny na balustradzie balkonu drugiego piętra (co zazwyczaj denerwuje Nathalie, ale ja bardzo lubię ją niepokoić – sprawdzam w ten sposób jej przywiązanie).

Na ulicy tłoczą się samochody emitujące niebieskie światła. Negatywne fale rozplynęły się. Rozpięto żółte taśmy, żeby uniemożliwić zbliżanie się ludzi, którzy gromadzą się po obu stronach ulicy. Pięć osób w białych kombinezonach bada uważnie podłoże i zbiera różne małe przedmioty. Jedna spośród nich kreśli białe rysunki na asfalcie, tymczasem inna posypuje ślady krwi beżowym proszkiem.

Unoszę głowę. Obserwuję, wciągam powietrze, węższą, nasłuchuję.

Wieje silny wiatr, wprawiając w drżenie liście na drzewach. Zauważyłem w moim polu widzenia coś nowego i interesującego. W oknach sąsiedniego domu, który od kilku miesięcy stał niezamieszkały, teraz się świeci. Widzę cień poruszający się za zasłonami na drugim piętrze. Postać wyłania się przez drzwi balkonowe i zatrzymuje przy balustradzie, dokładnie naprzeciwko mnie.

Niebieskie oczy. Czarna sierść na głowie. Resztę ciała pokrywają jasnoszare włosy. Spiczaste uszy. To mój kuzyn, kot syjamski, który podobnie jak ja obserwuje ulicę i ludzi w białych strojach. Odwraca się ku mnie i wbija we mnie ostentacyjne spojrzenie.

## Mój tajemniczy sąsiad

Lubię nowe znajomości.

Samiec, który patrzy na mnie w ten sposób, z całą pewnością chce zwrócić moją uwagę. Nie on pierwszy i nie ostatni. Mój urok po raz kolejny zadziałał niezależnie ode mnie.

Pozwalam sobie na miauknięcie w jego kierunku, lecz ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu on nie odmiaukuje. Lubię koty syjamskie, choć należy przyznać, że są bardzo pretensjonalne.

Przyjmuję przyjacielską pozę: uszy lekko wysunięte naprzód, wąsy rozłożone na boki, ogon na sztorc.

On nie zmienia swojej.

Zazwyczaj, kiedy ktoś do tego stopnia mnie lekceważy, uciekam. Jednak nie mam nic innego do roboty tej nocy, jestem też z natury ciekawska, chowam więc dumę do kieszeni i szykuję się do przeskoczenia na sąsiedni balkon.

Napinam mięśnie, celuję, wprawiam się w ruch, rozciągam, rozpościeram się nad pustką między naszymi dwoma domami, rozchylam palce i pazury. Lecę przez ułamek sekundy. Odległość jest niebagatelna i źle obliczyłam lądowanie. Brakuje mi kilku centymetrów, żeby sięgnąć balustrady, do której zamierzałam dotrzeć. Macham łapami w powietrzu.

Pazurami muskam metal, ale nie znajduję punktu zaczepienia.

Kot syjamski wciąż obserwuje mnie w bezruchu.

Kompletne upokorzenie.

Na szczęście chwytam się winorośli i niszczycielskimi uderzeniami pazurów wspinam się na balkon.

Kot syjamski wciąż ani drgnie.

Wreszcie osiągam swój cel, docieram na balustradę i ruszam ku niemu, miauczając.

On zachowuje stoicki spokój.

Z bliska widzę go lepiej. Sądząc po ogólnym wyglądzie, ma około dziesięciu lat (dla mnie, trzylatki, to starzec). Zdziwiający szczegół: na czubku jego głowy widnieje przytwierdzona plastikowa fioletowa plakietka.

Przełamując podejrzliwość, rozpoczynam rozmowę, jak gdyby nigdy nic.

– Jest pan nowym sąsiadem?

Brak odpowiedzi. Odbieram jednak bardzo przyjazne fale.

– Czy moglibyśmy porozmawiać? Mieszkam obok i cieszę się, że w najbliższym sąsiedztwie zamieszkał kot.

Kot liże się po łapie, po czym drapie się za prawym uchem – na znak namysłu. Uznaję to za zgodę. Dość już miałam dzisiaj kłopotów z porozumieniem się z innymi, żeby przyznać się do porażki w przypadku istoty, która mówi tym samym co ja językiem.

– Co to za płytką na pana głowie?

Wpatruje się we mnie, aż wreszcie zgadza się odpowiedzieć.

– To moje Trzecie Oko.

– Co to jest „Trzecie Oko”?

– Wejście USB, które umożliwia mi łączenie się z komputerami i komunikowanie się z ludźmi.

Czy ja dobrze usłyszałam?

– Co takiego?

Nie chcę przyznać, że przerasta mnie to słownictwo, ale kot nawet nie zadaje sobie trudu, żeby powtórzyć swoje słowa.

Łapą ściąga plastikową fioletową pokrywkę, opuszcza głowę i zachęca, żebym przyjrzała się urządzeniu na własne oczy.

Pochyliłam się i zauważam we wnętrzu jego czaszki idealnie prostokątny otwór z metalową obwódką.

– Czy to rana powstała w wyniku wypadku? Musi cię boleć.

– Nie. To celowe i bardzo praktyczne.

– Co przekazujesz ludziom Trzecim Okiem?

Kot nie przestaje się lizać i drapać łapą za uchem.

– Nic.

– Jaki więc sens ma posiadanie czegoś takiego?

– Niczego im nie mówię, ale bardzo wiele dowiaduję się na ich temat. Dzięki temu mogę zrozumieć, jak działa ludzkość, a przez to również cały Wszechświat.

Wypowiedział to zdanie tak obojętnym tonem, że jego pewność siebie i zarozumiałość zapierają mi dech. Nie tyle to, co opowiada, ile sposób, w jaki się wyraża, wzbudza mój respekt. Czy to możliwe, że naprawdę rozumie ludzi?

– Ja próbowałam przemawiać do ludzi, ale rozumieją bardzo niewiele. Dziś wieczorem moja służąca zapomniała nakarmić mnie na czas i zamknęła w pomieszczeniu, z którego sama nie potrafiłam się wydostać. Wszystko to, żeby móc przyglądać się wielkiej czarnej desce przytwierdzonej do ściany, która świeci i hałasuje. Też ją obserwowałam i w końcu pojęłam, że widać na niej inne istoty ludzkie... martwe!

Kot syjamski bierze wdech, jak gdyby szukał odpowiedniego tonu, którym się do mnie zwróci. Wysuwa długi różowy język i nawilża nim nozdrza.

– Wasza czarna deska ścienna nosi w ich języku nazwę „telewizor”.

– Niech tak będzie. W tym „telewizorze” pojawiają się wydarzenia, które miały miejsce tutaj, na ulicy. Byłam ich świadkiem. Po południu pojawił się ubrany na czarno człowiek i hałasował kijem.

– To był „karabin”, a jeśli eksplozje się powtarzały, chodziło zapewne o „karabin maszynowy”.

– Młodzi ludzie wychodzący z budynku z flagą upadali na ziemię.

– Budynek z flagą to „szkoła podstawowa”, a młodzi ludzie to dzieci, uczniowie tej szkoły.

– Potem ubrany na czarno człowiek odrzucił przedmiot i uciekł, a młodzi ludzie, którzy upadli, już się nie podnieśli.

– Normalne. Zostali ranni lub zabici. O to mu chodziło.

– Następnie inni ludzie złapali człowieka w czerni i zabrali go samochodem z niebieskim światłem.

– Policja.

– Pojawił się inny pojazd, biały, również z niebieskim światłem. Wsiedli z niego mężczyźni, którzy ułożyli młodych ludzi na łózkach na kółkach i zabrali ich.

– Karetka pogotowia.

– Potem pojawili się jeszcze inni ludzie i parami oświetlali sobie twarze.

– To musieli być dziennikarze. Dostarczają obrazy, które twoja służąca obserwowała następnie w telewizorze.

– Co znaczyła ta scena?

– Ludzie przeżywają kryzys. Wciągnęła ich swego rodzaju spirala coraz bardziej spektakularnej przemocy, która – moim zdaniem – nieprędko się zatrzyma. Indywidua, takie jak ten człowiek w czerni, pojawiają się, żeby zabijać innych przypadkowych ludzi. To się nazywa „terroryzm”.

– Jaki sens ma dla nich zabijanie się nawzajem?

– Pozwala im to na wywoływanie silnego emocjonalnego szoku, a co za tym idzie, na odwracanie uwagi od innych spraw i kierowanie jej na ich własną, szczególnie za pośrednictwem obrazów, które pokazuje telewizor. To forma komunikacji... Kiedy ludzie się boją, są bardziej uważni i łatwiej nimi manipulować.

– Nie rozumiem.

– Moim zdaniem szykuje się coś znacznie gorszego: wojna. Terroryzm to tylko przedsmak, dotyczy kilkadziesiątu osób, a wojna z kolei ma na celu eliminację

setek tysięcy, a może nawet i milionów. Podejrzewam, że niedługo zostanie wypowiedziana.

Kot drapie się łapą za uchem krótkimi, szybkimi ruchami.

Nie jestem pewna, czy wszystko rozumiem, gdyż on nie stara się nawet dostosować do mnie swojego słownictwa. Pojmuję jednak ogólną ideę i ciągnę dalej, żeby nie dać po sobie poznać, że rozmowa mnie przerasta.

– W każdym razie terroryzm i wojna sprawiają, że z oczu mojej służącej wypływa woda.

– To się nazywa „płacz”. Ludzie płaczą, kiedy są smutni. Z ich oczu nie płynie woda, tylko „łzy”. Czułaś, że są słone, prawda?

Muszę przyznać, że jego pewność siebie i zadziwiająca wiedza robią na mnie ogromne wrażenie.

– W telewizorze widziałam nie tylko martwych ludzi, ale też takich, którzy bawili się piłką, a inni wokoło krzyczeli. Potrafisz zrozumieć taką sytuację?

– To „piłka nożna”, sport drużynowy.

– Dlaczego każdy nie ma swojej piłki?

– To celowy zabieg, chodzi o stworzenie rywalizacji.

– Fakt, że jest tylko jedna piłka na tyle osób, musi ich frustrować, złościć, sprawiać, że biegają we wszystkie strony, prawda?

– Prawdę mówiąc, chodzi o umieszczenie piłki w bramce drużyny przeciwnika. Dzięki temu zdobywają punkty i zazwyczaj podoba się to tym, którzy oglądają grę. Kiedy twoja służąca to oglądała, pewnie przestała płakać, czyż nie?

– Istotnie, zauważyłam ulgę na jej twarzy w chwili, kiedy piłka wpadła w siatkę.

– Ludzie mówią, że nienawidzą wojny i że kochają piłkę nożną, ale moim zdaniem cenią sobie obie te rzeczy. W przeciwnym razie nie pokazywano by ich tak często w wiadomościach telewizyjnych. I nie puszczano by w międzyczasie reklam.

Kot syjamski wypowiada się neutralnym głosem, jak gdyby to wszystko było oczywiste. Przyglądam mu się. Jego wąsy są długie i dystyngowane. Ogólne wibracje wciąż bardzo przyjazne.

– Mówisz, że wszystkie te informacje zdobyłeś dzięki Trzeciemu Oku w głowie?

– Owszem, wejście USB najnowszej generacji pozwala mi podłączyć się do komputera i pobierać informacje. Już ci chyba o tym mówiłem, jeśli się nie mylę.

Drażni mnie jego pełen wyższości ton. Przełykam ślinę. Moja ciekawość jest jednak silniejsza niż duma.

– Co takiego?

– Komputer, no... taka skomplikowana maszyna elektroniczna, dzięki której mam dostęp do szczegółowej wiedzy na temat ich świata i także naszego. Kiedyś byłem takim ignorantem jak ty. Nam, kotom, brakuje perspektywy zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Większość z nas ma dostęp do jednego ograniczonego źródła informacji: tego, co widzimy, słyszymy albo odczuwamy dzięki własnym zmysłom fizycznym i psychicznym. To maleńkie poletko wiedzy – przestrzeń mieszkania, kilku dachów, ogrodu, ulicy. Ludzie mogą odbierać zdarzenia wykraczające poza możliwości zmysłów fizycznych dzięki licznym nowoczesnym narzędziom: telewizji, radiu, komputerowi, gazetom i książkom.

Kot syjamski powraca do lizania łapy i drapania się nonszalancko za uchem. Wydaje mi się, że kpi sobie ze mnie, być może dlatego, że ośmieszyłam się nieudanym skokiem, który zmusił mnie do lądowania na winorośli. Parskam nerwowo i próbuję odzyskać pewność siebie.

– Chcę nawiązać z nimi bezpośredni dialog. Myśli kociej z myślą ludzką. Nie tylko odbierać, ale też nadawać.

– Niemożliwe.

Wkurza mnie swoim zadufaniem. Staram się nie stracić panowania nad sobą.

– Ja już nawiązałam z nimi zaczątek dialogu.

– Nie masz Trzeciego Oka. I nawet gdybyś miała, gwarantuję, droga sąsiadko, że działa tylko odbiór, nie nadawanie. Wiedza ludzi przepływa w stronę kotów, nie odwrotnie.

Biorę głęboki wdech, staram się zachować zimną krew i nalegam:

– Mruczając, wysyłam uspokajające myśli. Moja ludzka służąca przestaje płakać, a kąciki jej ust podnoszą się.

Kot nadal liże prawą łapę, drapie się nią za uchem, jak gdyby moja obecność była mu całkowicie obojętna.

Nagle z niższego piętra wzywa go głos: „Pitagorasie! Pitagorasie!”.

Odwróciwszy nonszalancko głowę w stronę, z której dobiega głos, mój sąsiad schodzi z balustrady, wsuwa głowę przez okno i udaje się zapewne na spotkanie ze swoją służącą.

Żadnego „do widzenia”. Jestem oburzona.

Chcąc wrócić do siebie, postanawiam powtórzyć skok. Szykuję się, celuję, wkładam maksymalną moc w rozprężenie i wzbijam się w powietrze. Rozciągnięcie. Przelot między dwoma domami. Lecę niewiele dłużej niż podczas poprzedniego skoku. Doskonałe lądowanie. Szkoda, że nikt go nie podziwiał. Na tym polega dramat mojego istnienia. Kiedy odnoszę sukces, nikt tego nie widzi, a kiedy mi się nie udaje, zawsze znajdują się świadkowie.

Przechodzę przez otwarte okno balkonowe i udaję się do chrapiącej głośno

Nathalie. Przyglądam jej się, gładząc wąsy.

Muszę nawiązać z nią prawdziwy dialog, który polegałby również na emisji, a nie tylko na odbiorze. Wtedy zarozumiały sąsiad (jak on się nazywał? Ach tak... Pitagoras... Co za dziwne imię) zobaczy, że dwa gatunki mogą przekazywać sobie nawzajem informacje.

Żeby przypochlebić się mojej przyszłej partnerce w rozmowie międzygatunkowej, uznaję, że sprytnym posunięciem byłoby odnalezienie myszy w piwnicy i przyniesienie jej tutaj. Jestem pewna, że widok ten sprawiłby jej przyjemność po przebudzeniu. Mysz drgająca w ostatnich konwulsjach stanowi najpiękniejszy prezent, jaki kot może podarować istocie ludzkiej.

## O trudnościach związanych z dzieleniem terytorium

Budzi się dzień, więc powoli zaczyna ogarniać mnie senność, kiedy nagle rozlega się wrzask, który sprawia, że włoski na uszach stają mi dęba.

Nathalie odkryła mój prezent.

Jednak krzyk nie brzmi radośnie. Słyszę swoje imię powtarzane wielokrotnie pełnym wyrzutu tonem. Najwyraźniej nie doceniła mojego podarunku. Zbliżam się nonszalancko i stwierdzam, że chociaż mysz wciąż jeszcze drga w agonii, co każdego zachęciłoby do zabawy, Nathalie sięgnęła po szufelkę i miotłę, po czym wrzuciła mysz do worka na śmieci, uniemożliwiając mi jej zjedzenie. Wobec takiej niewdzięczności okazuję swoje niezadowolenie pomrukami.

Moja służąca nie daje się zbić z tropu i nerwowo wsypuje suchą karmę do mojej miski. Ośmielam się sądzić, że chodzi o nagrodę za przyniesienie myszy.

Domyślam się, że jej podejrzanе zachowanie może być związane ze złym wpływem telewizora, który doprowadza ją do płaczu, pokazując terroryzm i wojnę. Jeśli o mnie chodzi, jestem zachwycona, pojmując teraz dokładne znaczenie informacji otrzymanych dzięki mojemu sąsiadowi Pitagorasowi.

Nathalie ubiera się i opuszcza dom. Znowu zostaję sama i wykorzystuję tę okazję, żeby wreszcie zasnąć. Spanie jest jednak moim ulubionym zajęciem.

Śnię, że jem.

Budzę się jak zwykle, po południu, kiedy promień słońca muska moją prawą powiekę. Przeciagam się co sił, że aż trzeszczą żebra, ziewam.

Muszę popracować nad rozciąganiem, żeby mieć pewność, że nigdy, ale to już nigdy więcej nie powtórzy się wczorajsza katastrofa. Wysuwam i cofam pazury, żeby poprawić prędkość szykowania broni.

Lizę się. Uwielbiam się lizać (moja matka zawsze mówiła, że „przyszłość należy do tych, którzy wcześniej się lizą”). Wykorzystuję chwilę, żeby pomyśleć nad planami na dziś. My, koty, nieustannie improwizujemy. Naturalnie chciałabym kontynuować rozmowę z moim syjamskim sąsiadem, ale on nie wydaje się mną zainteresowany, a ja jestem zbyt dumna, żeby napraszać się o cokolwiek (na dodatek u samca...). Postaram się więc prowadzić moje badania nad komunikacją



międzygatunkową, używając do tego najprymitywniejszego okazu: czerwonej rybki w akwarium kuchennym.

Zbliżam się do niej, badam przez dzielące nas szkło. Zapewne onieśmielona, cofa się, szukając miejsca najdalej ode mnie.

*Dzień dobry, rybo.*

Przykładam poduszeczki do szkła i zamykam oczy, żeby przesłać telepatyczną wiadomość. Mruczę.

Nathalie nazywa ją „Posejdonem”. Stwierdzam więc, że rybka musiała już słyszeć to imię wielokrotnie i lepiej zrozumie, że zwracam się właśnie do niej, jeśli nazwę ją poprawnie w moim umyśle.

*Dzień dobry, Posejdonie.*

Mały pomarańczowy karp o szerokich miękkich płetwach wciska się pospiesznie w dekorację ze sztucznych kamieni, gdzie nie potrafię go dostrzec. Jak wiele niszczy nieśmiałość!

Ponownie wysyłam wiadomość za pośrednictwem pomruku. Co jej powiedzieć? „Nie bój się”? Muszę wymyślić coś innego. Już wiem:

*Jestem gotowa do rozmowy z tobą jak równy z równym, chociaż jesteś tylko rybą.*

Posejdon wcisnął się tak głęboko w dekorację, że wcale już go nie widać. Frustruje mnie fakt, że moje wysiłki są nagradzane w taki sposób.

Nie chcąc rezygnować, mając jednak świadomość trudów, jakie niesie mój projekt, opieram łapy na krawędzi akwarium i napieram na nie całym ciężarem, przechylając je lekko, co pozwala mi na pozbycie się części dzielącej nas wody. Moim zdaniem dialog byłby bardziej udany, gdybyśmy mieli bezpośredni kontakt.

Niestety źle obliczyłam ciężar pojemnika, który nagle się przewraca. Ledwo udaje mi się odskoczyć na bok, żeby uniknąć przemoczenia. Niesiony wraz z wodą Posejdon wyłania się wreszcie ze swojej kryjówki.

Oto leży na obrusie. Miota się na wszystkie strony, jakby tańczył. Mam wrażenie, że zrobiłam wielki krok naprzód i odkryłam sposób wyrażania się ryb. Posejdon wykonuje, nie bez wdzięku, ciąg podskoków, otwierając i zamykając pyszczek, nie wydając jednak z siebie żadnego dźwięku. Skrzela poruszają się szybko, odsłaniając lśniące czerwone powierzchnie.

*Wreszcie możemy porozmawiać, Posejdonie.* Czuję jego fale, nie potrafię ich jednak zinterpretować.

Rozedrgany Posejdon dociera na krawędź stołu. Ponieważ nie rozumiem nic z tego, co usiłuje mi przekazać, kładę na nim łapę, przez co go unieruchamiam i zwiększam kadencję ruchów jego pyszczka.

Przestawiam się na tryb maksymalnego odbioru.

*Jesteś głodny?*

Zadowolona z odkrycia, przewracam pudełko z suszonymi robakami, które Nathalie podaje mu w charakterze jedzenia.

Nawet ich nie zauważa.

Czekam, sprawdzam, dotykam ryby poduszczkami, potem jednym wysuniętym pazurem, mruczę.

*Uspokój się.*

Po chwili ryba przestaje się miotać. Mam nadzieję, że posłuchała mojego polecenia, ale nie, jej skrzela rozchylają się i zamykają coraz szybciej. Jest w złej formie. Po raz kolejny komunikacja się nie powiodła. Zachowuję jednak nadzieję na znalezienie innego żywego gatunku zdolnego do podjęcia satysfakcjonującego dialogu. W tej chwili muszę przyznać, że najbardziej pojętna okazuje się moja ludzka służąca, która reaguje pozytywnie na mruczenie w niskiej częstotliwości.

W tym momencie otwierają się drzwi wejściowe, wraca Nathalie. Tym razem trzyma w ręce swego rodzaju torbę z siatki, skąd dobiegają piskliwe odgłosy. Zastanawiam się, jakież to prezent mi podaruje.

Otwiera pospiesznie torbę i wyciąga z niej... kota!

Wprowadziłam ją wczoraj w tak dobre samopoczucie, mrużąc jej i pomagając zasnąć, że musiała uznać, iż koty ogólnie pomagają się zrelaksować.

Na dywanie dostrzegam angorę czystej rasy – brzydką. Nathalie uśmiecha się do mnie i wydaje się zachwycona tą kulką kłaków, powtarzając słowo, które musi oznaczać imię: „Félix”.

Kolejny nietrafiony prezent.

Osobnik sprawia wrażenie przygłupiego. Na mój widok zamiast zbliżyć się ze spuszczonego łbem, żeby pokazać, że ma świadomość, iż przebywa na moim terytorium, wbija we mnie swoje żółte ślepie.

Ach, jak ja nienawidzę kotów czystej rasy! Na dodatek kolor jego futra jest nieciekawym. Biały. Ja na przykład jestem biała i mam śliczne czarne plamki rozrzucone po całym ciele.

On jest mdły. Ma długie, grube, tłuste włosie. Jak Nathalie mogła wykazać się tak złym gustem, żeby wybrać dla mnie białego samca angorę o żółtych oczach?

Natychmiast okazuję mu brak zainteresowania, unosząc ogon i pokazując mu zad. Ale ten imbecyl się wziął. Zamiast pojąć przekaz odrzucenia, myśli, że życzę sobie zostać pokryta.

Jakie głupie są samce czystej rasy!

Jestem zmuszona uderzyć go łapą o wysuniętych w jednej trzeciej pazurach, żeby dać mu do zrozumienia, że to ja decyduję, co się tu będzie działo.

W tym czasie Nathalie przemawia ciepłym tonem, który każe mi podejrzewać,

że uważa, iż jestem zachwycona koniecznością dzielenia wszystkiego z tym obcym przybyłym znikąd. W ramach odpowiedzi wymierzam kotu drugi cios pazurami i wyraźnie mu oznajmiam:

„Nie podobasz mi się. Zmiataj stąd”.

Ten natychmiast przyjmuje uległą pozycję. Tak czy owak, nie ma mowy, żeby ktoś narzucił mi towarzystwo.

W międzyczasie moja służąca odkrywa los Posejdona i, zanim zdąży wypowiedzieć jakikolwiek zarzut (nienawidzę, kiedy próbuje się wzbudzić we mnie poczucie winy), postanawiam opuścić pomieszczenie i udać się na piętro. To, co się wydarzyło, było w takim samym stopniu winą tej upartej ryby, jak i moją. Gdyby zgodziła się rozmawiać, nie doszłoby do tego.

Félix, uznawszy, że chcę go oprowadzić po domu, rusza za mną, drepcząc radośnie z podniesionym ogonem.

Kiedy podejmuje kolejną próbę miłosnego zbliżenia, wyginam grzbiet i pluję mu w pysk. Wydaje mi się, że pojął, z jakim rodzajem samicy ma do czynienia. Przyjmuje jeszcze wyraźniejszą pozę wyrażającą uległość, unika mojego wzroku, kładzie uszy i sierść, trzyma ogon blisko ciała, kuli się ze spuszczoną głową i pomiaukuje cicho.

Ach, samce, zawsze zadzierają nosa, ale w końcu okazują się słabymi osobnikami i łatwo im zaimponować, kiedy tylko jest się samicą, która wie, czego chce, a przede wszystkim – czego nie chce.

Wykorzystuję okazję, żeby oddać mocz na jego głowę – niech pojmie, kto tu ustala zasady (poza tym jego sierść zacznie w końcu pasować do oczu).

Mówi do mnie, ale ledwo go słucham, zgadzam się jednak rozpocząć dialog z tym głupim obcym i tłumaczę, że nie ma prawa zbliżać się do *mojej* miski i może jeść, dopiero kiedy ja skończę.

Nie ma również prawa sikać ani wypróżniać się do mojej kuwety. Jeśli Nathalie nie wpadnie na pomysł, żeby podarować mu jego własną, będzie musiał się powstrzymać albo wychodzić na zewnątrz za potrzebą.

Wyjaśniam, że przez okno sypialni na pierwszym piętrze można obserwować ulicę. Zauważam przy okazji, że szkoła wciąż jest zamknięta. Nie ma już żółtej taśmy, która odcinała ulicę, ani ludzi w białych kombinezonach zbierających kawałki metalu, przed drzwiami znajduje się za to mnóstwo bukietów kwiatów, świec i zdjęć młodych ludzi. Musieli ułożyć te dekoracje, kiedy spałam.

Félix rzuca szybkie spojrzenie na scenę i pyta, o co chodzi, ale nie zadaję sobie trudu, żeby mu wytłumaczyć złożony fenomen, jakim jest terroryzm. Nie mam talentu Pitagorasa.

Zmieniam temat i oznajmiam, że na drugim piętrze znajduje się balkon, który

umożliwia przedostanie się na dachy sąsiednich domów, ale trzeba uważać, ponieważ rynna jest źle umocowana.

Docieramy przed sypialnię Nathalie i daję kotu do zrozumienia kolejnym ciosem uzbrojonej w pazury łapy, przeorując mu skórę na brodzie, że nigdy nie może wchodzić do tego pomieszczenia ani liczyć na możliwość spania z *moją* służącą. Dla pełnej jasności pozostawiam w każdej zakazanej strefie kilka kropel silnie pachnącej uryny. Niech już sam z tego wywnioskuje, o ile angora czystej rasy potrafi cokolwiek wydedukować, że może poruszać się jedynie w strefach nieoznaczonych.

Schodzimy na dół i pokazuję Félixowi, gdzie się znajduje moje miejsce na fotelu z czerwoną aksamitną poduszką nasiąkniętą moim zapachem. Pokazuję mu koszyk, również pachnący mną, umieszczony na kaloryferze. Oczywiście nie może nigdy zbliżyć się do żadnego z tych miejsc.

Ostatecznie kot kuli się w kącie korytarza i już się nie rusza.

Wieczorem zauważam pewną aktywność w pobliżu drzwi wejściowych. Biegnę tam, żeby sprawdzić, co się dzieje. Pewien samiec przyszedł w odwiedziny do mojej służącej. Nathalie powtarza słowo, które musi być jego imieniem: „Thomas”.

Jest od niej wyższy, ma jasną sierść, zielone oczy i wydziela woń piżma. Ma wielkie dłonie, wielkie stopy i bukiet kwiatów. Już z daleka mi się nie podoba.

Tymczasem, zamiast otrząsnąć się z niechęcią tak jak ja na widok tego osobnika, Nathalie zbliża swoje wargi do jego, aż ich usta stykają się. Nigdy nie zrozumiałem ludzkich zwyczajów. Następnie on masuje jej piersi i pośladki.

Zamiast go odepchnąć, służąca parska z zadowoleniem, jak gdyby zachęcając go do kontynuowania.

Wreszcie się uspokajają i siadają w salonie. Później jedzą z tacy, wpatrując się w ścienny monolit telewizora. Mają nieruchome spojrzenia i przyspieszone oddechy. Nathalie i Thomas zdają się poruszeni obrazami ludzi pozbawionych głów i innych, którzy krzyczą i powtarzają te same zdania, wyciągając pięści. Teraz, kiedy potrafię lepiej rozszyfrowywać te obrazy, stwierdzam, że tłum krzyczy zawsze tym samym tonem, czy chodzi o wojnę, czy o piłkę nożną, zapewne w celu zachęcania najlepszych uczestników.

Nathalie drży, w końcu wybucha płaczem. Zanim mam czas podbiec do niej i ją polizać, jej samiec znowu przykleja swoje usta do jej ust, po czym bierze ją za rękę i prowadzi w stronę sypialni. Zamyka za sobą drzwi.

Sądząc po odgłosach i zapachach, oddają się czynności reprodukcyjnej. To musi być typowy dla ich gatunku odruch: kiedy ludzie masowo umierają, próbują skompensować sobie stratę osobników, produkując nowych.

Żałuję przez chwilę mojego surowego zachowania wobec Félix'a i wzywam go do piwnicy. W półmroku tego pachnącego mysimi odchodami i kurzem miejsca zdradzam mu mój życiowy projekt polegający na nawiązaniu komunikacji międzygatunkowej i tłumaczę, że w ramach tego planu chcę pewnego dnia móc wydawać ludziom rozkazy, miaucząc zdaniem, żeby uniknąć wszelkich nieporozumień.

Jego spojrzenie jest puste. Nie widzi sensu w rozumieniu ludzi ani w rozmawianiu z nimi, stwierdza. Co za ograniczona istota!

Najgorsze jest to, że sprawia wrażenie szczęśliwego: pozbawiony ambicji, ciekawości, żyje w swoim małym żalonym kocim światku białej angory, bez jakichkolwiek przemyśleń dotyczących otoczenia.

Pitagoras miał rację, wielu spośród nas ogranicza się do małego ciasnego świata domu, który zamieszkują. Niewiedza sprawia, że czują się pewnie, ciekawość innych budzi w nich niepokój. Chcą dni podobnych jeden do drugiego, żeby jutro było kolejnym wczoraj, żeby wszystko się powtarzało.

Rezygnuję więc z edukacji Félix'a i dzielenia się z nim moimi planami.

Czuję się nieco zdenerwowana, więc proponuję, żeby na coś się przydał i oddał się miłosnemu aktowi z moim ciałem. Nie każe się prosić. Czuję, jak we mnie wchodzi. Czuję, że ostre kolce jego penisa sztywnieją w mojej pochwie, co jest dość bolesne, ale zaciskam szczęki. Félix wierci się i trzęsie: okazuje się miernym partnerem seksualnym. Żadnej werwy, żadnej wyobraźni, nie gryzie mnie nawet w szyję, a ja uwielbiam, jak porządne kły orzą mi kark.

Podczas napływu rozkoszy myślę o Pitagorasie.

Być może na tym polega główna różnica między ludzką i kocią seksualnością. My potrzebujemy uczuć, żeby uprawiać miłość, tymczasem w ich wypadku chodzi o akt reprodukcyjny mający na celu przyniesienie ulgi, gdy są zbyt nerwowi lub zaniepokojeni o przyszłość gatunku.

Félix łatwo się podnieca, nie potrafi pohamować rozpierającej go energii. Nie potrafi jeszcze kanalizować uczuć, jakimi mnie darzy. Tarcie mnie denerwuje. Wydaję miauknięcie, które angora najwyraźniej odbiera jako krzyk orgazmu. Wychodzi ze mnie. Nie trwało to długo. Najwyżej kilkadziesiąt sekund. Zazwyczaj po kochaniu się lubię porozmawiać, ale tym razem wolę pobyć sama, więc daję mu znak, żeby zmykał. Na szczęście nie upiera się, żeby zostać.

Wracam myślami do kota syjamskiego, naprawdę mi się podoba i przez cały wieczór dręczy mnie pytanie: skąd mógł wiedzieć o tylu rzeczach, o których ja nie mam pojęcia? Wspinam się na balustradę na drugim piętrze, żeby popatrzeć na balkon naprzeciwko. Ponieważ kot się nie pojawia, wzywam go, miaucząc. Mam wrażenie, że za zasłoną w sypialni dostrzegam czyjaś sylwetkę. Czyżby to był

„on”?

Chociaż okno jest uchylone, kot wciąż nie wychodzi. Jestem przekonana, że mnie usłyszał, więc skoro nadal ukrywa się za zasłoną, najwyraźniej nie ma ochoty ze mną rozmawiać.

Być może żałuje, że przekazał mi tyle wiedzy na temat ludzi.

A może go onieśmielam.

Tak bardzo chciałabym, żeby nadal mi wyjaśniał, czym jest terroryzm i ta stopniowo zbliżająca się wojna, którą na razie oglądamy tylko w telewizji.

Przestaję miauczeć i wzywam Félix, żeby znów się z nim sparzyć, dla rozluźnienia. Co się zaś tyczy ciebie, Pitagorasie, wiem, że pewnego dnia cię posiadę, ponieważ jestem zdeterminowaną kotką.

Nie lubię, kiedy traktuje się mnie z góry.

## U „niego”

Codziennie na świecie coś się wydarza. I codziennie mam wrażenie, że powinnam być czujna na pozytywne i negatywne tego skutki.

Po ataku na szkołę, pojawieniu się telewizora, degustacji łoż Nathalie, spotkaniu z Pitagorasem i wprowadzeniu się Félixa sądziłam, że osiągnęłam już limit niezwykłych wydarzeń na ten tydzień. Tymczasem bieg historii nabrał rozpędu. Być może Wszechświat, w następstwie mojej decyzji dotyczącej komunikowania się z nim, odpowiada mi, wysyłając znaki?

Dzisiaj wstaję po południu i wychodzę na balkon. Obok mnie ćwierka ptak, jakaś odmiana wróbla. Śpiewa dość melodyjnie, wydając z siebie tremola o subtelnych wibracjach.

Przychodzi mi na myśl, że ptak ten być może ma ochotę na rozmowę i że razem, jako najśmielsi przedstawiciele naszych dwóch gatunków, wreszcie osiągniemy sukces tam, gdzie poniosłam porażkę z myszą, ludźmi i rybami.

Ruszam w jego stronę, utrzymując równowagę na balustradzie. Wróbel pozwala mi się zbliżyć, zerkając na mnie na zmianę to prawym, to lewym okiem (ma oczy po obu stronach łebka, więc nie może nikomu patrzeć prosto w twarz).

Mruczę: *Dzień dobry, wróblu.*

On się nie rusza i odpowiada jeszcze bardziej harmonijną melodią.

Czy to możliwe, że mnie zrozumiał i teraz odpowiada? Wciąż się do niego zbliżam.

Ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu cofa się, podskakując na małych nóżkach. Podchodzę jeszcze bliżej.

*Czy możemy porozmawiać?*

Ptak nie odpowiada i staje w rogu balkonu. Wiem, że wkrótce znajdę się w miejscu, z którego mogę spaść. Zazwyczaj potrafię się przytrzymać, ale na tej wysokości nic nie jest pewne, a my, koty, mamy cienkie, więc i delikatne kości.

Wróbel cofa się jeszcze głębiej i wydaje z siebie złożone i wyraźnie modulowane ćwierkanie – jakby zaproszenie.

W mojej głowie natychmiast rodzi się pytanie: czyżby próbował wykorzystać moje dążenie do międzygatunkowego dialogu, żeby wciągnąć mnie w pułapkę? Im dłużej wsłuchuję się w ćwierkanie, tym bardziej oczywiste wydaje mi się, że ptak otwarcie sobie ze mnie kpi.

Zbliżam się coraz bardziej do niebezpiecznej strefy, a wróbel nagle odlatuje, pozostawiając mnie w niestabilnej pozycji na balustradzie balkonu. Nie mam już wątpliwości, to wredne stworzenie chciało wykorzystać moje zamiłowanie do komunikacji, żeby spowodować mój upadek. Z trudem dochodzę do siebie (wcale się nie boję, wcale nie cierpię) i staram się zmusić do myślenia o czymś innym, żeby nie dać się opanować wściekłości.

Przyglądam się balkonowi domu Pitagorasa. Ależ intrygujące miejsce!

Nagle w dole otwierają się drzwi wejściowe, pojawia się w nich ludzka samica o białej sierści, przechodzi przez ulicę i dzwoni do mojego domu.

Słyszę, że moja służąca podbiega do holu i przyjmuje gościa. Obie samice ludzkie rozmawiają w swoim niezrozumiałym języku. Ledwo mam czas zbiec na dół, żeby podreptać wokół ich nóg, kiedy Nathalie zakłada płaszcz i obie wychodzą. Samice pokonują niewielką odległość dzielącą ich domy. Ruszam za nimi. Na ulicy przed szkołą podstawową wciąż leżą kwiaty, świece i zdjęcia.

Wślizguję się między ich nogi i wchodzimy do „jego” domu. Wśród osobliwego wystroju wyczuwam egzotyczne zapachy.

Kobiety siadają w fotelach, a ta z białą sierścią proponuje mojej służącej ciepłą wodę zabarwioną na żółto (wąchałam i nie jest to mocz) w małych pojemnikach. Ja tymczasem przyglądam się naszej gospodyni – moja służąca nazywa ją „Sophie”. To stara pomarszczona kobieta, ale jej brązowe oczy są ruchliwe i pełne życia. Pachnie różami. Woła: „Pitagorasie!”. Ponieważ ten się nie pojawia, rusza na jego poszukiwanie, a wróciwszy do salonu, stawia go przede mną.

Odradza się we mnie nadzieja. Być może nasze służące życzą sobie, żeby mieszkające po sąsiedzku koty połączył głębszy związek uczuciowy?

Obwąchujemy się nawzajem, udajemy, że spotykamy się po raz pierwszy, ale kiedy szykuję się do nawiązania rozmowy, kot syjamski ucieka. Ruszam za nim do kuchni i prowokuję, podjadając z jego miski (lepiej mnie nie drażnić, taka już jestem), ale on nawet nie próbuje mi przeszkodzić, nie zaszczyca mnie nawet jednym spojrzeniem.

Chociaż jego sucha karma jest mniej smaczna niż moja, udaję, że się nią delektuję, po czym sikam do jego kuwety. Znów nie robi nic, żeby mi to uniemożliwić. Przeciwnie, znika, jak gdyby nawet nie zauważył mojej obecności. Ruszam na jego poszukiwanie i w jednym z pomieszczeń na piętrze wpadam na kotkę ukrytą za przeszklonymi drzwiami mebla. To kotka o futrze podobnym do mojego.

Na dodatek jest to samica w moim wieku.

Od razu pojmuję, dlaczego Pitagoras się mną nie interesuje: ma już własną samicę w domu.



Zbliżam się. Wyraźnie widzę, że ma zielone oczy, a na pyszczku między oczami plamkę w kształcie czarnego serduszka. Chociaż jej sierść ma ten sam kolor co moja, wszystko w jej postawie budzi moją odrazę. Jest wulgarna i arogancka. Wbijam w nią wzrok i podchodzę bliżej: ona robi to samo. Przyjmuję odstrasżającą pozę, wyginam grzbiet i jeżę sierść, żeby sprawić wrażenie większej: tamta mnie naśladuje.

Trzeba będzie przejść do kolejnego etapu. Macham agresywnie łapą. Ona również.

Zbliżam się i spluwam. Ona też spluwa.

Uderzamy w siebie łapami, ale szyba uniemożliwia nam zranienie się. Całe szczęście, że tam jest, w przeciwnym razie wyrwałabym jej wąsy.

Odwracam się i zadzieram ogon, żeby pokazać, co o niej myślę. Ona oczywiście kopiuje moją pozę.

Rezygnuję z dalszego upokarzania jej i wracam do salonu, gdzie obie służące nadal paplają. Pitagorasa wciąż nie ma i zaczynam czuć się źle z powodu tej sytuacji. Dlaczego mnie tak traktuje? Czy to z powodu samicy z piętra? Czy dlatego, że ma fioletową plastikową pokrywkę na głowie, która umożliwia mu dowiadywanie się różnych rzeczy na temat ludzi?

Mimo wszystko układam się na udach mojej służącej i pozwalam jej głaskać moją śliczną czaszkę pozbawioną Trzeciego Oka, po czym eksponuję brzuch, który również pieści. Pokazuję tym sposobem wszystkim, że wytresowałam swoją ludzką istotę tak, żeby mnie zaspokajała.

Po powrocie do domu proszę Félix, żeby znowu się ze mną kochał. Wykorzystuję okazję, żeby krzyczeć co sił, mając nadzieję, że Pitagoras usłyszy, jak szczytuję, i zrozumie, że jego samica nie potrafi się kochać tak dobrze jak ja. Krzyczę być może nieco za głośno, gdyż nazajutrz Félix zostaje zabrany w torbie z siatki, a kiedy kilka godzin później wraca, okolicę miednicy ma owiniętą bandażem. W słoiku pływa coś, co z początku biorę za dwie pestki wiśni...

Cóż, muszę przyznać, że los okazał się niesprawiedliwy wobec Félix, ale cieszę się, że to jednak on został ukarany.

Nic do niego nie czuję. Tylko Pitagoras mnie fascynuje. Zaślepia mnie wręcz. Jakim sposobem zdobył tę całą szczegółową wiedzę na temat ludzkich zwyczajów?

Przebiega mnie nieprzyjemny dreszcz. Czy to możliwe, że jestem dla niego tym, czym Félix dla mnie? Ciemnotą? O poziom niższą świadomością?

Myśl ta rozbudza we mnie jeszcze większą zazdrość wobec samicy w jego domu.

Nie daruję jej, kiedy się znowu spotkamy!

## Widok z góry

Jądra Félixa pływające w słoiku zdają się go hipnotyzować.

Skąd bierze się u samców owa fascynacja tymi dwoma małymi beżowymi kuleczkami? Przygląda im się, jakby to były ryby, z tą różnicą, że nie pływają, tylko powoli obracają się wokół własnej osi pod wpływem ciepła bijącego z pobliskiego kaloryfera.

Od czasu operacji Félix nie przestaje jeść. Tyje. Ma puste spojrzenie i wydaje mi się, że osiągnął wyższy stopień braku zainteresowania otaczającym go światem.

Mnie natomiast coraz bardziej intrygują ostatnie wydarzenia i z krańca balustrady obserwuję to, co dzieje się w sąsiednim domu i w budynku z flagą. Nie zauważam niczego wyjątkowego, nie licząc pajęczyny na balkonie, która po raz kolejny budzi we mnie chęć nawiązania międzygatunkowego dialogu.

Zbliżam się do pajęczego osobnika w ciemnym kolorze, średniej wielkości, wyposażonego w osiem odnóży i ośmioro oczu. Próbuję ostrożnie do niego podejść, skupiam się i mruczę: *Dzień dobry, pająku*. Ponieważ osobnik kuli się w kącie, wysuwam pazury i rozdzieram pajęczynę, w której miota się muszka. Ta nawet mi nie dziękuje.

Zaczynam sądzić, że wszystkie nasze czyny powodują zadowolenie jednych i złość innych. Życie polega na niszczeniu ustalonych zasad. Pajakiem wstrząsają spazmy wściekłości, wygląda, jakby tańczył na powiewającym na wietrze strzępku pajęczyny. Czuję, że jest jeszcze mniej zmotywowany do rozmowy, ale nie chcę się poddawać. Podchodzę jeszcze bliżej i mam zamiar go dotknąć, kiedy nagle agresywne miauknięcie przyciąga moją uwagę.

Rozpoznaję ten głos.

Pochylam się nieco w prawo, ryzykując upadek, i zauważam w oddali Pitagorasa w gałęziach wysokiego kasztanowca. Utknął: wielki pies szczeka wściekle u stóp drzewa.

Pitagoras pluje i wygina grzbiet, ale cóż może stary chudy kocur przeciwko czterokrotnie od niego większemu brytanowi?

Widzę, że mój współbrat ulega panice.

Nie mam wątpliwości: tylko ja mogę go ocalić.

Moje pierwsze zetknięcie z psami miało miejsce w hodowli, w której spędziłam dzieciństwo. Słyszając szczekające szczenięta, spytałam matkę, dlaczego te zwierzęta

produkują tyle uciążliwych dźwięków. „Ponieważ boją się, że nie zostaną zaadoptowane przez ludzi”, wyjaśniła mi. Wydało mi się to dziwne. Bać się, że nie zostanie się zabranym przez ludzi! Czyżby miały tak mało godności? Do tego stopnia nie umiały doceniać samotności i wolności, że potrzebowały ludzi, którzy by się nimi zajmowali?

Wtedy matka wyjaśniła mi, że jesteśmy panami ludzi, a ludzie są panami psów.

Czyimi panami są więc psy? Odpowiedziała mi: „Pcheł, które noszą na grzbiecie, gdyż zapominają o lizaniu się i myciu”.

Później odkryłam, spacerując w pobliżu domu, że psy są tak prymitywne, iż zostawiają odchody na ulicy, bezpośrednio na środku chodnika, nawet ich nie zakopując! Nie mają nawet krzty wstydu czy potrzeby higieny.

Na razie jednak należy pilnie zmusić do ucieczki ten okaz, który terroryzuje mojego sąsiada. Muszę szybko zaimprovizować strategię, która skompensuje moje mniejsze rozmiary. Schodzę na parter i wychodzę na ulicę przez otwór w drzwiach. Udaję się na miejsce tragedii. Na początek w ramach dywersji miauczę i pluję, wyginając grzbiet.

Pies odwraca się i staje w pozycji bojowej. Wbija we mnie wzrok, ma skurczone źrenice, wysunięte wąsy, rozchylone nozdrza, zjeżoną sierść na grzbiecie, szykuje się do skoku, unosi zad i opuszcza ogon, poprawiając w ten sposób aerodynamikę.

W jego psim spojrzeniu rozpoznaję wahanie. Chcąc pomóc mu w dokonaniu wyboru, wskakuję na dach najbliższego samochodu, żeby go zdominować. Wpatruję się w niego w jeszcze bardziej prowokujący sposób i miauczę.

*Nie boję się ciebie.*

Następnie macham w powietrzu łapą z wysuniętymi pazurami i dodaję:

*Chodź się bić, psie.*

Brytan wreszcie postanawia ruszyć na mnie.

Mimo iż jestem smukła, zwinna i szybka, rzadko mam okazję pędzić ulicami, tymczasem mój napastnik został przez naturę obdarzony większą siłą mięśniową. Biegnę po jezdni, ale odległość między mną a psem zmniejsza się.

Co to za pozbawieni wyobraźni ludzie zostawili go na ulicy bez nadzoru?

Analizuję pośpiesznie sytuację i dochodzę do wniosku, że muszę postawić na moje wyjątkowe umiejętności. Lepiej panuję nad gwałtownymi zmianami kierunku, gdyż mam możliwość chowania pazurów – w przeciwieństwie do psów. Łatwiej wychodzę z zakrętów. Odbijam więc w stronę pokrytej asfaltem drogi i biegnę zygzakiem między kołami zaparkowanych samochodów.

Pies wciąż biegnie za mną i szczeka, sygnalizując mi tym sposobem swoje położenie, nie muszę więc się odwracać. Starannie dobieram trasę. Od czasu do

czasu wybiegam nieco dalej ku środkowi ulicy, żeby zrobić kilka kroków w miejscu, gdzie samochody jadą szybciej. Ścigający mnie zwierz nie wie, którądy biec, żeby samemu nie wpaść pod ich koła. Wielokrotnie pojazdy niemal ocierają się o niego, w końcu potrąca go skuter. Pies zatrzymuje się, warczy, a następnie rezygnuje.

Odwracam się i miauczę z daleka:

*Co tam, psie? Już zmęczony?*

Następnie wracam spokojnym krokiem, rozglądając się, czy inne koty podziwiały mnie podczas biegu. Na wszelki wypadek kołyszę dumnie głową. Moje triumfy mają zazwyczaj skromny zasięg, liczę jednak, że zdarzenie to zostanie odnotowane przez jakichś świadków.

Nie sądzę, żeby relacje między kotami a psami mogły się wyraźnie zmienić pod wpływem tego krótkiego spotkania, ale uznaję, że mimo wszystko przypomniałam temu psu, że to nie przypadek, iż ludzie są nam posłuszni.

Wróciwszy pod drzewo, stwierdzam, że Pitagoras zniknął bez jakiegokolwiek sygnału wdzięczności wobec mnie. Idę do domu, sfrustrowana. Nie zadaję sobie nawet trudu, żeby odpowiedzieć Félixowi, który pyta, gdzie przepadałam.

Dopiero po zapadnięciu nocy, kiedy nasze służące już śpią, dobiega mnie wołanie z sąsiedniego domu. Naturalnie daję na siebie trochę poczekać, zanim zgadzam się wysunąć czubek nosa na zewnątrz.

Pitagoras czeka na balustradzie swojego balkonu.

Siadam naprzeciw niego i przyglądamy się sobie.

Wydaje mi się bardzo dystyngowany z tymi swoimi niebieskimi oczyma i dumnie uniesioną głową.

Miauczy:

– Chodź.

Nie każę sobie tego powtarzać. Ponieważ nie chcę ryzykować upadku, skacząc do jego domu, schodzę na dół, wychodzę przez otwór w drzwiach i wchodzę do niego przez jego własny otwór.

Wita mnie w progu i – jako że jego służąca śpi – proponuje mi, żebyśmy usiedli przed kominkiem, w którym czerwienią się jeszcze szczapy drewna. Pomarańczowe błyski odbijają się w jego oczach.

– Dziękuję, że przyszedłaś mi z pomocą. Żałuję, że ostatnim razem źle cię potraktowałem, ale nie chciałem zdradzać ci od razu zbyt wielu informacji. To moja wada, czasem wykazuję skłonność do chwalenia się odkryciami, żeby zaimponować rozmówcy, szczególnie jeśli chodzi o samicę, nawet jeśli nie znam go zbyt dobrze. Potem mam sobie za złe, że nie zachowałem się bardziej skrycie.

- Nauczyłeś mnie wielu rzeczy i jestem ci za to wdzięczna.
- Powiniennem być dla ciebie miłszy.
- Żyjesz w związku. Rozumiem, że jesteś podejrzliwy wobec obcej samicy, choćby była twoją sąsiadką.
- Nie mam samicy.
- Widziałam ją, mieszka w twojej sypialni.
- Ależ nie ma w tym domu innego kota poza mną!
- A kim jest ta kotka na górze?

Dla spokoju sumienia biegnę na piętro. Kot idzie za mną. Czarno-biała samica wciąż tam jest. Towarzyszy jej nawet inny kot, dość podobny do Pitagorasa.

– To „lustro” – tłumaczy. – Przedmiot, który odbija obraz tego, co przed nim stoi. Ta kotka, którą tu widzisz, to ty, a kot obok niej to ja.

Zbliżam się. Po raz pierwszy się widzę, gdyż u mnie nie ma „lustra”.

Przyglądam się sobie dokładnie. Druga ja, naprzeciwno, wykonuje te same gesty.

– Więc to... „ja”?

Nagle kotka wydaje mi się mniej wulgarna. Być może osądziłam ją zbyt pochopnie. Jest bardzo dystygowana. Wręcz urocza. Badam ją uważnie.

Jestem jeszcze bardziej olśniewająca, niż sądziłam.

Fascynuje mnie mój własny wygląd. Pomyśleć tylko, że gdybym tutaj nie przyszła, mogłabym przeżyć całe swoje istnienie, nie wiedząc, jak wyglądam ani jak inni mnie naprawdę widzą.

Cóż za odkrycie.

Pitagoras, który zachowuje się całkiem swobodnie wobec swojego odbicia, przykłada łapę do lustra. Robię to samo.

– Jako kot, którego ambicją jest komunikacja z wszystkimi otaczającymi go istotami, powinnaś zacząć od poznania samej siebie.

– Skąd wiesz, że to jest lustro?

– Powiedziało mi to Trzecie Oko.

– Jak to się stało, że zostałeś obdarzony tym Trzecim Okiem? Dlaczego ja go nie mam?

– Zdradzę ci pewną tajemnicę. Chodź, wyjdźmy stąd!

Drepczemy obok siebie ulicami. O tej porze panuje na nich mniejszy ruch. Chociaż Pitagoras zamieszkał tu niedawno, zdaje się, że doskonale zna dzielnicę. Prowadzi mnie oświetlonymi ulicami aż na plac, na którym siedzi wielu ludzi. Pośrodku stoi olbrzymi biały budynek o ścianach wyższych niż drzewa, zwieńczony czymś, co przypomina gruszki. Pitagoras pokazuje przesmyk pod siatką, którym docieramy do okienka piwnicznego. Tą drogą wślizgujemy się do

wysokiej i szerokiej sali z pięknymi witrażami, malowidłami i rzeźbami.

– Byłaś już kiedyś tutaj? – dopytuje Pitagoras.

– Nie – odpowiadam przejęta.

Kot prowadzi mnie w stronę kręconych schodów. Po długiej i męczącej wspinaczce docieramy do wysoko położonego punktu, z którego rozciąga się niesamowity panoramiczny widok na miasto.

Ośmielam się zerknąć w dół i stwierdzam, że upadek stąd byłby fatalny w skutkach. Ta wieża jest wyższa niż wiele drzew ustawionych jedno na drugim.

Wiatr na tej wysokości mierzwi mi sierść i układa w fale szare futro mojego towarzysza. Nawet moje wąsiki uginają się pod wpływem jego porywów, co jest bardzo nieprzyjemnym uczuciem.

– Lubię wysokie punkty widokowe.

– Dlatego wspiałeś się na drzewo, kiedy zaczął ci grozić pies?

– Zawsze staram się umiejscowić wysoko. Niestety, mamy pazury zdatne do wspinania się, a nie do schodzenia, co zmusza nas do skakania... Jak to jednak zrobić, kiedy owczarek niemiecki czeka na nas na dole, warcząc?

Przyglądam się krajobrazowi wokoło. Wszędzie lśnią małe żółte nieruchome światełka, a także białe i czerwone, które z kolei się poruszają.

– To „ich” miasto – mówi Pitagoras. – Miasto ludzi.

– Nieczęsto oddalam się od domu. Znam tylko swoje podwórko, ulicę naprzeciwko i kilka sąsiednich dachów.

– Ludzie budują tysiące domów. Jedne po drugich. Aż po horyzont. To miasto nazywa się „Paryż”.

– Paryż – powtarzam.

– To wzgórze to dzielnica Montmartre, a my znajdujemy się na jednym z ich monumentów religijnych: na bazylice Sacré-Coeur.

– Wiesz to wszystko dzięki Trzeciemu Oku?

Pitagoras nie odpowiada na moje pytanie. Przygląda się rozległej panoramie przed nami. Nie rozumiem wszystkiego, co opowiada, ale być może, słuchając go, w naturalny sposób dojdę do pewnych wniosków, które pozwolą mi lepiej pojąć znaczenie jego słów.

Wiatr przybiera na sile i grozi nam utrata równowagi, zmieniam więc pozycję.

– Chcę się nauczyć wszystkiego, co wiesz.

– Ludzie mają inne miasta podobne do tego, rozrzucone po wielkim płaskim terytorium równin, pól, lasów, które tworzą kraj zwany Francją, a ten z kolei mieści się na swego rodzaju wielkim balonie, na planecie o nazwie Ziemia.

– Chcę się dowiedzieć, dlaczego istnieję, dlaczego jestem taka, a nie inna, i co mam robić na Ziemi.

– Opowiadałem ci o geografii, ale być może bardziej interesuje cię historia.

Bierze głęboki wdech, liże prawą łapę, drapie się nią za uchem, po czym unosi głowę.

– Będzie to zatem lekcja historii numer jeden. Wszystko zaczęło się cztery i pół miliarda lat temu, kiedy narodziła się Ziemia.

Nie śmiem spytać, czym jest miliard, ale dochodzę do wniosku, że musi chodzić o liczbę większą od wszystkiego, co znam. Kiedy patrzymy na niebo usiane świećkami, przecina je spadająca gwiazda.

– Na początku była tylko woda.

– Nie chciałabym żyć w tamtych czasach. Nienawidzę wody.

– A jednak to z wody wszystko się wzięło. Życie pojawiło się pod postacią małych alg, które przekształciły się w ryby. Pewnego dnia jedna z nich wyszła z wody i zaczęła czołgać się po stałym lądzie.

Nie zadaję pytań, żeby nie przerywać wątku jego opowieści. Ale kiedy mówi o rybie, czy naprawdę ma na myśli zwierzę takie jak... Posejdon?

– Pierwsza ryba zdołała przetrwać i się rozmnożyć. Jej potomkowie zmienili się w jaszczurki, które z kolei zaczęły rosnać. Nazywano je „dinozaurami”.

– Jak duże były dinozaury?

– Niektóre były tak wysokie jak ta wieża, na której się obecnie znajdujemy. Były okrutne. Miały wielkie zęby i pazury. Pozostałe zwierzęta bały się ich. Dinozaury stawały się coraz bardziej inteligentne i towarzyskie.

Pitagoras przerywa na chwilę, bierze wdech i oblizuje się.

– A potem z nieba spadła skała i zmieniła atmosferę i temperaturę. Wszystkie dinozaury umarły. Przeżyły tylko małe jaszczurki i ssaki.

– Co to są ssaki?

– Zwierzęta o ciepłej krwi, sierści i wymionach zdolnych dostarczać mleko. Krótco mówiąc, my. Siedem milionów lat temu pojawili się pierwsi przodkowie ludzi i kotów. Trzy miliony lat temu przodkowie ludzi podzielili się na małych i dużych. Przodkowie kotów również podzielili się na małych i dużych.

– Chcesz powiedzieć, że dawniej istniały duże koty?

– Tak, zresztą istnieją nadal. Ludzie nazywają je lwami. Ale nie ma ich już zbyt wiele.

– Jakiej są wielkości?

– Co najmniej dziesięć razy większe od ciebie, Bastet.

Próbuję wyobrazić sobie kota o tak fenomenalnym wzroście.

– Ewolucja jednak sprzyjała mniejszym, bardziej inteligentnym. Gałęzie małych ludzi i małych kotów ewoluowały równolegle aż do granicy dziesięciu tysięcy lat wstecz. W tamtych czasach ludzie odkrywają rolnictwo: sztukę

gromadzenia roślin i zbierania ich. Zaczynają magazynować zapasy zbóż, to jednak przyciąga myszy, za którymi pojawiają się...

– Nasi przodkowie?

– Kiedy ludzie zorientowali się, że koty umożliwiają im zachowanie pożywienia w nienaruszonym stanie, zaczęli traktować je z większym szacunkiem.

– Staliśmy się dla nich niezastąpieni... A oni zgodzili się nam służyć, prawda?

– Siłą rzeczy ludzie i koty w tamtych czasach dobrze się dogadywali.

– Czyli koty celowo zbliżyły się do ludzi, jeśli dobrze rozumiem?

– Wybraliśmy ich, pomogliśmy im lepiej żyć, a następnie oni zdecydowali się przyjąć nas pod swoje dachy i karmić. Na wyspie Cypr znaleziono grób sprzed siedmiu tysięcy pięciuset lat, w którym szkielet ludzki spoczywa obok szkieletu kota.

– Czym jest grób?

– Kiedy człowiek umrze, ludzie, zamiast pozwolić innym zwierzętom go zjeść albo zrobić to samemu, umieszczają zwłoki swoich współbraci pod ziemią.

– Gdzie zjadają je robaki?

– Tak się właśnie traktują. A obecność kota w tym grobie oznacza...

– ...że jesteśmy dla nich ważni.

– Dość się już dowiedziałeś na dzisiaj, Bastet. Następnym razem opowiem ci dalszy ciąg wspólnej historii kotów i ludzi.

– Kiedy?

– Jeśli chcesz, Bastet, możemy się spotykać od czasu do czasu, a ja będę cię uczył tego, co wiem na temat świata ludzi. Zrozumiesz być może, że zanim będziesz z nimi rozmawiać w trybie odbiór – emisja, powinnaś zacząć od przyswojenia sobie ich wiedzy w trybie zwykłego odbioru. To może bowiem okazać się bardzo zaskakujące dla kotki (pomyślał „niedouczonej”)... która nie ma Trzeciego Oka.

Kiedy księżyc zaczyna powoli wyłaniać się zza chmur, Pitagoras proponuje, żebyśmy pomiauczelili razem, ile sił w gardłach. Podoba mi się ten pomysł. Dźwięczna wibracja, która wydobywa się z mojego pyszczka i rezonuje w kościach, sprawia, że ogarnia mnie niesamowite i nieznane dotąd uczucie, jak gdyby jedność naszych dwóch głosów przynosiła spełnienie.

Wiatr przenika moje futro i wąsy. Sierść unosi się falami.

Dobrze mi i siedzimy tak długo, miauczając, aż wreszcie – wycieńczona – zadowolona się mruzeniem z rozkoszy, obserwując Paryż, którego światelka powoli gasną.

Oczywiście chciałabym, żeby Pitagoras wyjaśnił mi, na czym polega sekret Trzeciego Oka, które pozwala mu zdobywać tyle szczegółowych informacji, ale



wiem, że nie ma sensu nalegać. Przypominam sobie wszystko, czego mnie dzisiaj nauczył. Dzięki niemu stałam się kotką, która rozumie lepiej, co się dzieje wokół niej, kotką, która zna historię swoich przodków. Zauważam, że im więcej się dowiaduję, tym łatwiej przyswajam kolejne informacje. Podoba mi się to.

Schodzimy z wieży bazyliki i kroczymy ulicami wzgórza Montmartre.

Stwierdzam, że mój towarzysz ma dużo wdzięku.

– A ta wojna, którą toczą ludzie, na jakim jest etapie? – pytam, żeby przełamać ciszę, która zapadła między nami.

– Jest coraz gorzej. To, co się stało w szkole podstawowej, nie było pojedynczym epizodem. Wręcz przeciwnie. Codziennie terroryzm manifestuje się w różnych postaciach. Ty i ja musimy być na bieżąco w sprawie ewolucji tej autodestrukcyjnej gorączki, na którą cierpią nasi ludzcy sąsiedzi.

Od niechcienia liżę się po ramieniu.

– Przecież to tylko ludzie, którzy zabijają się między sobą, to nas nie dotyczy.

Pitagoras kręci głową:

– Mylisz się. Nasze losy są ze sobą powiązane. Jesteśmy od nich zależni, tymczasem istnieje rzeczywiste ryzyko, że ludzie znikną, jak niegdyś dinozaury.

– Czuję się w pełni gotowa, żeby żyć bez nich.

– Zmusiłoby to nas do wykonywania czynności, których do tej pory nie wykonywaliśmy.

– Cóż, ewoluujemy.

Zatrzymuje mnie łapą i spogląda na mnie:

– To nie takie proste, Bastet. Rozprzestrzeniająca się stopniowo wojna jest kłopotliwa nawet dla kotów.

Zauważam, że Pitagoras już kilkakrotnie wypowiedział moje imię. Być może stałam się dla niego ważniejsza. Jestem przekonana, że zaczyna rozumieć, że ja również jestem wyjątkowa.

Idę dumnie obok niego, z podniesionym ogonem. Nie martwię się, ta cała nowa wiedza na swój sposób dodaje mi odwagi. Odkąd wiem już znacznie lepiej, kim jestem, jak wyglądam, gdzie mieszkam i co się dzieje wokół mnie.

Nauka wydaje mi się jednym z największych przywilejów i żal mi tych, którzy żyją w niewiedzy.

## Świetlisty narkotyk

Nathalie chrapie z otwartymi ustami, ma zmierzwiłone włosy, a jej powieki lekko drżą.

Zaczynam mrużyć tuż przy jej uchu.

*Śpij, ludzka służąco, podczas gdy twój świat wali się pod ciosami terroryzmu i wojny. Nie martw się, Pitagoras i ja tu jesteśmy, wykształceni i gotowi do działania.*

Gdy wstaje świt, postanawiam uciąć sobie małą drzemkę, żeby zgromadzić pomysły i siły. Układam się w moim koszyku i powoli pogrążam we śnie, myśląc o Pitagorasie. Nie mogę uwierzyć, że wystarczy mieć dziurę w głowie, żeby zrozumieć ludzi.

Nie, musi być coś jeszcze. Mówił o sekrecie. Chcę go poznać.

Pitagoras zna nazwy i zastosowania ludzkich przedmiotów, nazwy zwierząt, znaczenie zachowań ludzi. Ja znam tylko imiona otaczających mnie osób, gdyż wielokrotnie je przy mnie powtarzano.

W końcu zasypiam.

We śnie widzę ryby podobne do Posejdona wychodzące z wody i czołgające się po łądzie. Dotykam ich łapą. Następnie widzę, jak ryby te zmieniają się w jaszczurki. Chwytam je i odcinam im ogony, ale te odrastają. Potem jaszczurki rosną i stają się olbrzymie. Uciekam. Spadająca gwiazda uderza w Ziemię. Niebo ciemnieje i wszystkie jaszczurki umierają. Wtedy spomiędzy traw wyłaniają się mali i duzi ludzie oraz małe i duże koty. Duzi ludzie zostają usunięci przez małych ludzi. Duże koty są odpychane przez małe koty. Mali ludzie karmią małe koty, które pomagają im, zabijając myszy i ofiarowując im je, więc dziękują tym kotom i zasypiają obok nich w dziurach w ziemi.

Potem w moim śnie pojawia się Pitagoras ścigany przez psa. Ratuję go i kochamy się.

Pitagoras gryzie mnie w szyję.

Budzi mnie dźwięk dzwonka do drzwi.

Ziewam, przeciągam się, czuję się doskonale.

To znowu Thomas, samiec mojej służącej. Naprawdę go nie lubię. Rozmawiają w języku ludzi, potem idą do kuchni, żeby zjeść brązową potrawę pachnącą

ciepłym mięsem, podaną z białymi i miękkimi wstążkami, które niczym nie pachną. Następnie zatapiają łyżeczki w miseczkach z żółtym kremem i jedzą łapczywie. Moja służąca pamięta, żeby nakarmić mnie i Félixa, ale czuję, że jej wibracje się zmieniły pod wpływem obecności samca. Jeśli o mnie chodzi, czekam do nocy, żeby spotkać się z moim.

Postanawiam krążyć wokół ich nóg, ocierając się o nie, żeby przesiąkli moim zapachem. Ponieważ wciąż jedzą i nie zwracają na mnie uwagi, wysuwam pazury i drapię krzesło. Thomas wreszcie zaczyna się mną interesować. Wypowiada moje imię i wyciąga z kieszeni marynarki srebrną tubkę. Jeszcze kilkakrotnie woła mnie po imieniu, po czym wypuszcza z tubki... krążek czerwonego światła, który pada na podłogę. Jest nie tylko piękny, ale na dodatek porusza się we wszystkich kierunkach w sposób, który nie pozwala mi pozostać obojętną. Skaczę, jednak kiedy tylko zbliżam się do czerwonego krążka, ten przesuwa się na ścianę. Wybijam się wysoko, ale czerwony krążek przenosi się na zasłonę. Próbuję złapać krążek na zasłonie, na krześle, na kanapie, przede mną, dalej ode mnie, na suficie, w końcu... na moim własnym ogonie. Tym razem nie chcę pozwolić mu uciec, więc mocno zaciskam zęby na ogonie – wyrywa mi się krzyk bólu. Czerwony krążek znika...

Ludzie pokazują mnie sobie palcami i głośno kłapią ustami.

Jestem urażona, a jednocześnie zawstydzona, że wykazałam się słabością i oddałam się tej głupiej zabawie.

Nikt nie ma prawa mnie upokarzać. A już na pewno nie ludzie, których zadaniem jest mi służyć.

Rozmyślałam nad zemstą, a tymczasem dwoje ludzi ponownie udaje się do salonu, żeby po raz kolejny wpatrywać się w swój żaloszny telewizor.

Ja również obserwuję pojawiające się obrazy. Teraz, dzięki Pitagorasowi, wiem, że są ludzie, którzy zabijają się między sobą daleko stąd, w innych miastach. Sceny wojenne przerywają wystąpienia siedzącego prezentera, którzy przemawia monotonnym głosem. Ma kwadratowe ramiona i lakierowaną sierść na głowie, sprawia wrażenie, jakby szokujące obrazy wcale go nie dotyczyły. Nieustannie się uśmiecha.

Tym razem Nathalie panuje nad sobą i żaden płyn nie wypływa z jej oczu. Chyba zaczyna przyzwyczajać się do przemocy.

Następnie pojawiają się kolejne obrazy związane z piłką nożną i czuję, że ludzie są bardzo podekscytowani. Thomas przemawia, zwracając się do telewizora. Wstaje, wzdycha, zdaje się przeżywać emocje znacznie silniejsze od tych, które budziła w nim wojna.

Wykorzystuję okazję i bez namysłu realizuję swój odwet polegający na

oddaniu moczu do jego butów, które ustawił w wejściu, jak zwykle, żeby nie brudzić.

Potem sadowię się w miejscu poza jego zasięgiem – na szczycie lodówki – i czekam. Kiedy Thomas odkrywa mój mały prezent, wydarza się to, co przewidziałam: krzyczy, biega, tupie nogą, denerwuje się, pokazuje buty, wypowiada moje imię tonem świadczącym o szczerej wrogości. Nathalie odpowiada mu zdaniami, w których moje imię również się powtarza, lecz ze znacznie większą sympatią. Nie udaje jej się go jednak przekonać. Szuka mnie wszędzie, a ja kulę się coraz bardziej, żeby mnie nie zobaczył.

Ton głosu obojga ludzi narasta. Thomas staje się coraz bardziej agresywny.

Ostatecznie wychodzi z domu w skarpetkach, z butami w rękę, i trzaska drzwiami.

Po chwili oszołomienia moja służąca rzuca się na fotel i wybuch płaczem. Schodzę z lodówki i zbliżam się małymi kroczkami. Wspinam się na jej kolana i pocieram nosem o jej nos, ale ona nie chce mnie pocałować. Mruczę na niskiej częstotliwości coś, co oznacza: *Ten samiec był ciębie niegodny*.

Od Nathalie nadal emanuje smutek, więc zlizuję łzy z jej policzków i wymrukuje inną myśl: *Natomiast na mnie możesz zawsze liczyć*.

Ponieważ wciąż nie wydaje się uspokojona, stwierdzam, że najlepiej by było dać jej do zrozumienia, że powinna poszukać innych samców. Jestem zdania, że w swojej kategorii ludzi powinna się podobać (mnie osobiście wszyscy ludzie wydają się bardzo brzydki, ale skoro oddają się czynnościom reprodukcyjnym, muszą znajdować w sobie nawzajem jakiś urok).

Wyjaśniam jej, że przyciąganie samców nie jest skomplikowane. Wystarczy pospacerować poza domem, demonstrując wyraźnie odbyt. Jeśli jest różowy i nieco nabrzmiały, wzmocni to pożądany efekt. Zapachy seksualne oraz przekaz wizualny dotrą do niezaspokojonych ludzkich samców, którzy zbiegną się, żeby spółkować. Nathalie mnie nie rozumie i odmawia pokazania odbytu i wrzeszczenia z dachu, co jej doradzam – nadal ukrywa ciało pod kilkoma warstwami materiału.

Poprawienie naszej komunikacji wymaga jeszcze wiele pracy. Jak gdyby tego jeszcze było mało, Nathalie ponownie oddaje się najgorszej możliwej czynności: zapala papierosa.

Nigdy jej nie pojmę. Dlaczego celowo wciąga do płuc brudne powietrze?

Pełna obrzydzenia i nie chcąc, żeby moje futro nasiąkło tym ohydny odorem, wspinam się na drugie piętro i wychodzę przez drzwi balkonowe, żeby usadowić się w miejscu, z którego wczoraj zobaczyłam Pitagorasa.

Wzywam go, miaucząc. Wydobywam z siebie dźwięki o różnych tonach.

Wreszcie pojawia się jego sylwetka.

Jednym gestem ustalamy, że wybierzemy się do Sacré-Coeur, gdzie porozmawiamy na wysokości.

Kiedy znajdujemy się na ulicy, stykamy się czołami, pocieramy nosami, po czym ruszamy w drogę.

Na miejscu wspinamy się na szczyt najwyższej wieży. Dziś wieczorem jest chłodno, jeszcze chłodniej niż za pierwszym razem. Jestem cała rozczochrana, ale nie ma mowy, żebyśmy poszli gdzie indziej.

– Zostałam dzisiaj upokorzona przez czerwone światełko – mówię.

– Laser? Sam się już kilkakrotnie na nie nabrałem. Trzeba silnej woli, żeby mu się oprzeć, ale przy odrobinie treningu niektórym się udaje.

– Na dodatek kłapali ustami.

– To się nazywa „śmiech”.

Zmieniam temat.

– Co sprawia, że ludzie zabijają się z wściekłością?

– Istnieje wiele powodów: chodzi o zdobywanie większych terytoriów, wykradanie bogactw sąsiadów i ich młodych płodnych samic, nawracanie na wiarę w ich Boga.

– Czym jest „bóg”?

– Chodzi o postać fikcyjną. Przedstawia się go często pod postacią olbrzyma żyjącego w niebie. Ma brodę i ubrany jest w białą szatę. To on wskazuje, co jest dobre, a co złe. Wydaje osądy. Decyduje o tym, co się stanie z ludźmi.

– I twierdzisz, że wymyślili sobie tę postać?

– Tak bardzo lubią fikcyjne postacie, że są gotowi dla niego zabijać albo umierać. Szczerze mówiąc, Bóg jest od pewnego czasu główną przyczyną terroryzmu i wojen.

– Ale powiedziałeś mi, że jeszcze żaden człowiek go nie spotkał.

– Dla nas, kotów, może się to wydawać pozbawione logiki, ale wygląda na to, że ludzie stworzyli Boga, ponieważ nie mogli znieść wolności i odpowiedzialności za własne czyny. Dzięki temu pojęciu mogą się postrzegać jako istoty posłuszne jednemu panu. Wszystko, co się wydarza, jest „jego” wolą. Umożliwia to również duchownym przemawianie w jego imieniu i podporządkowywanie sobie najsłabszych umysłów. My, koty, potrafimy czuć odpowiedzialność za nasze działania i znieść fakt, że jesteśmy wolne. Nie mamy potrzeby wymyślania sobie olbrzymiego kota w niebie, który by nas pilnował.

Dumam nad tymi słowami, liżąc się. Nie obarczam nikogo odpowiedzialnością za to, co mnie spotyka, próbuję zawsze samodzielnie poprawić swoją egzystencję. Pitagoras najwyraźniej pojął moją myśl i ciągnie dalej:

– Istnieje jednak kilka powodów, żeby obawiać się nieba... W przeszłości

śmierć uderzała znienacka, wszędzie na świecie. Pięć razy doszło do wielkiej zagłady. Niemal wszystko, co żyło, zginęło. Ostatnim razem wydarzyło się to sześćdziesiąt sześć milionów lat temu, zniknęło wtedy siedemdziesiąt procent zwierząt, w tym dinozaury.

– Uważasz, że mogłaby nastąpić szósta zagłada gatunków?

– Terroryzm. Wojna... Ludzie posiadają obecnie moc masowej i szybkiej destrukcji. To, co dzieje się dzisiaj, ukazuje, że zachowują się tak jak ty podczas pierwszego spotkania z lustrem: chcą zniszczyć to, co jest do nich podobne. Nie mają już przeciwników, zwrócili swoją agresję przeciwko samym sobie.

Potrząsam głową, a Pitagoras rozwija swoją myśl:

– Zastanawiałem się nawet, czy fakt, że jest ich zbyt wielu na tej planecie, nie nakłania ich podświadomie do redukcji liczebności w celu ochrony pozostałych gatunków.

Pitagoras oblizuje łapy i drapie się nimi po kolei za uchem. Z niecierpliwością czekam na dalszy ciąg opowieści.

– Jesteś gotowa na drugą lekcję historii, Bastet?

Uginam łapy i chowam ogon pod brzuch, sadowiąc się w wygodnej pozycji.

– Po Cyprze – Egipt. To daleki i ciepły kraj, w dużej części pustynny. Kraj, w którym dwa i pół tysiąca lat przed Jezusem Chrystusem (to imię mężczyzny, którego narodziny stanowią punkt odniesienia w czasie; urodził się dwa tysiące lat temu; zatem dwa i pół tysiąca lat przed Jezusem Chrystusem oznacza cztery i pół tysiąca lat temu) cywilizacja egipska stworzyła religię opartą na kulcie Sechmet, bogini o głowie lwa. Ale lwy miały tendencję do... pożerania karmiących je kapłanów. Zginęło tyle osób, że Egipcjanie wymyślili siostrę Sechmet, boginię o głowie kota, którą nazwali... Bastet.

– Ależ to ja! Noszę imię egipskiej bogini niegdyś czczonej przez ludzi!

– Egipcjanie zorientowali się, że koty są ciekawsze od lwów. Przede wszystkim dlatego, że są mniej uciążliwe, łatwiejsze do karmienia i częściej pozwalają się głaskać. Poza tym polują na myszy i szczury, a więc lepiej chronią zapasy zbóż. Wreszcie ponieważ bronią domów przed skorpionami, węzami i wielkimi jadowitymi pajakami.

Usiłuję wyobrazić sobie świat, w którym ludzie wznoszą świątynie, żeby nas czcić.

– W tamtych czasach nazywano nas „miau”. Zresztą warto zauważyć, że w większości krajów nazwano nas słowami, których brzmienie przypomina odgłos, jaki wydajemy.

– Powiedz coś więcej o Bastet, chcę się dowiedzieć, co reprezentuje.

– Była boginią piękna...

Normalne.

– ...i płodności.

Oczywiście.

– Kult Bastet praktykowano głównie w świątyni z czerwonego granitu w egipskim mieście Bubastis. Świątynię tę zamieszkiwały setki kotów, a raz do roku odbywało się wielkie święto, podczas którego tysiące ludzi zjeżdżały się zewsząd, żeby wychwalać boginię i ofiarowywać jej prezenty.

Odpowiada mi to.

– Ludzie tańczyli, wyśpiewywali na różne sposoby imię Bastet. Jedli, pili i radowali się w kulcie bogini o głowie kota.

– Muszę przyznać, że ta religia całkiem mi się podoba.

– Bastet miała też leczyć choroby dzieci i czuwać nad wędrówką dusz zmarłych. Egipskie kobiety chciały upodabniać się do kotek. Poddawały się zabiegom skaryfikacji na policzkach, co miało imitować wąsy, nacinały ramiona i wlewały do ran kilka kropel krwi kota w nadziei, że przybędzie im naszej urody i inteligencji.

– Interesująca epoka!

– Egipcjanie ubierali też naszych przodków podobnie do siebie. Zakładali im biżuterię, naszyjniki, kolczyki. Kiedy egipskie koty umierały, miały prawo do własnego pogrzebu.

– Nawet jeśli ich służący nadal żyli?

– Ludzie na znak żałoby golili sobie brwi. Zmarłe koty były mumifikowane, ich ciała owijano bandażami, a pyszczki zakrywano maskami z ich podobizną.

Przy okazji wnioskuję ze słów Pitagorasa, że my również możemy umrzeć.

– Jeśli jakiś człowiek skrzywdził kota, był bicowany. Jeśli zabijał kota, podrzynano mu gardło.

– Uwielbiam ten kraj. Czy nadal istnieje?

– Egipt wciąż figuruje na mapie dzisiejszego świata, ale cywilizacja kultywująca te wartości zniknęła właśnie z powodu wojny. W pięćset dwudziestym piątym roku przed Jezusem Chrystusem król Persów Kambyzes II obległ wielkie miasto Peluzjum, nie zdoławszy go zdobyć. Kiedy dowiedział się, że Egipcjanie czczą koty, rozkazał swoim żołnierzom przyczepić do swoich tarcz żywe zwierzęta.

– Niemożliwe.

– Egipcjanie nie ośmielili się strzelać z łuków i ryzykować zranienie świętego zwierzęcia, woleli poddać się bez walki. Kambyzes II ogłosił się nowym faraonem, poddał męczarniom poprzedniego i skazał na śmierć wszystkich kapłanów i arystokratów egipskich. Niszczył świątynie, łącznie z tą w Bubastis poświęconą Bastet. Rozkazał, żeby złożyć w ofierze perskim bogom zbezczeszczone koty

zamieszkujące to miejsce. Tym sposobem położył kres kultowi kotów i Bastet w Egipcie.

Co za okropność! Liżę się i mam wrażenie, że tym sposobem ścieram z futra brud tej smutnej historii.

– Dlaczego ludzie pozwolili sobie na decydowanie o naszym losie?

– Ponieważ są od nas silniejsi.

– Przecież jestem panią mojej służącej.

– Mylisz się. To oni mają władzę. Z wielu powodów: po pierwsze, są od nas więksi, po drugie, posiadają dłonie o przeciwstawnych kciukach, które umożliwiają im wytwarzanie skomplikowanych i potężnych przedmiotów, po trzecie, żyją średnio osiemdziesiąt lat, tymczasem my umieramy po piętnastu. Pozwala im to na zdobycie większego doświadczenia. Wreszcie po czwarte – śpią około ośmiu godzin na dzień, a my średnio dwanaście.

– Czyli spędzają na śnie jedną trzecią swojego czasu, a my połowę naszego...

– Trzeba by jeszcze mieć pewność, że śnienie stanowi zaletę w procesie ewolucji.

– Potrafimy wspinać się na drzewa i biegać lepiej od nich. Oni mają sztywny kręgosłup, tymczasem nasz jest giętki. Mamy ogon, który ułatwia nam utrzymanie równowagi. Widzimy w ciemności. Odbieramy wąsami fale. Oni nawet nie potrafią mrużyć!

– Niewiele znaczące zalety. Nie zdajesz sobie sprawy z możliwości, jakie dają dłonie! Mogą nimi...

– Co?

– Mogą... „pracować”!

– Cóż to takiego?

– Chodzi o czynność, której oddaje się twoja służąca, kiedy wychodzi rano z domu. Musi ona bezpośrednio lub pośrednio przyczyniać się swoją pracą do produkcji, tworzenia lub utrzymywania czegoś.

Wszystkie te informacje tłoczą się w mojej głowie i po raz kolejny zastanawiam się, w jaki sposób ten kot może dysponować taką wiedzą na temat ludzkiego świata.

– Czyżbym więc była mniej inteligentna od mojej służącej?

– Przede wszystkim musisz się jeszcze wiele nauczyć...

Dość już na dzisiaj. Mam ochotę wrócić do domu i porozmyślać nad tymi wszystkimi zadziwiającymi i cudownymi sprawami. Najbardziej zapada mi w pamięć informacja, że noszę imię czczonej swego czasu przez wszystkich ludzi bogini egipskiej przedstawianej jako kobieta z głową kota.



## Groza pracy

Śnię.

Śnię, że jestem Bastet, boginią o ludzkim ciele i głowie kota. Stoję na dwóch nogach. Odziana jestem w niebiesko-pomarańczową szatę, moją szyję i nadgarstki zdobi drogocenna biżuteria. Mam śliczne różowe dłonie pozbawione pazurów i poduszczyk, wyposażone za to w palce ze stawami, które przypominają pajęcze odnóża. Wokół mnie, w świątyni w Bubastis, tłoczą się tysiące ludzi skandujących moje imię.

„Bas-tet! Bas-tet!”

Zamiast jednej służącej mam ich setki. Wszystkie przynoszą mi pożywienie, wiadra wypełnione drgającymi jeszcze myszami, spodki z mlekiem i talerze z suchą karmą.

Wśród ludzi, którzy składają mi dary, jest jedna osoba w szczególności przyciągająca moją uwagę. Ma ludzkie ciało i głowę Pitagorasa. Ujmuję go za rękę, zbliżam się do niego, nasze usta stykają się, a języki splatają. Okazuje się to mniej nieprzyjemne, niż sądziłam w pierwszym odruchu.

Pitagoras szepcze mi do ucha. „Twoja służąca wychodzi codziennie do pracy”, „Ludzie żyją osiemdziesiąt lat, a my umieramy po piętnastu”, „Taki jest proces ewolucji: ryby, dinozaury, ludzie”.

Następnie pokazuje mi tłum naszych wielbicieli i miauczy: „Czyja kolej nadejdzie po nich?”.

Dary od naszych egipskich adoratorów wciąż napływają, nagle jednak pojawia się człowiek w osobliwym kostiumie. Ma twarz Thomasa i otoczony jest uzbrojonymi ludźmi, którzy przytwierdzili sobie szarpiące się i miauczące koty do tarcz. Koty zostają zabite w nierównej walce między naszymi wielbicielami i uzbrojonymi ludźmi. Następnie napastnicy zabijają nasze służące, niszczą nasze wielkie posągi i mordują Pitagorasa.

Czuję się bardzo smutna i, ponieważ jestem istotą ludzką, z moich oczu wypływa słona woda.

Budzi mnie Félix, liżąc mnie po powiekach. Żeby go ukarać za przekroczenie granicy i zbliżenie się do mojego legowiska, drapię go w policzek. Nie narzuca się więcej i przyjmuje uległą pozycję.

Prostuję się, zeskakuję na ziemię, przeciągam się, ziewam, liżę się, żeby usunąć jego ślinę.

Wstałam dość wcześnie, żeby zobaczyć, jak moja służąca szykuje się do wyjścia. Jestem bardzo zaciekawiona, więc postanawiam podążyć za nią na zewnątrz, żeby sprawdzić, na czym dokładnie polega jej „praca”.

Kiedy zatrzaskuje drzwi, wychodzę przez otwór w nich. Oto jestem na ulicy.

Jedyny raz, kiedy oddaliłam się od domu w ciągu dnia, był wtedy, gdy odciągałam psa zagrażającego Pitagorasowi, ale nie skorzystałam w pełni z tej wyprawy.

Rano chodnik przesycony jest zapachami psiego moczu i odchodów. Brak tu kocich woni. Ludzie mijają mnie szybkim krokiem. W pewnej chwili moja służąca schodzi do tunelu – ruszam dyskretnie za nią.

Mrowie ludzi kłapie podszewkami. Wślizguję się między rajstopy i spodnie. Nikt nie zwraca na mnie uwagi.

Tłum zatrzymuje się przed fosą i czeka nieruchomo. Nagle w głębi tunelu rozlega się ponury łoskot. Zastanawiam się, co za potwór wyłoni się z ciemności, kiedy pojawiają się dwa światła, które zapewne są jego ślepiami. Zwierzę ryczy, musi być ogromne. Może jednak dinozaury przeżyły trzecią zagładę? Świetliste oczy zbliżają się i wreszcie dostrzegam paszczę bestii. Ma płaski pysk i brakuje jej nóg. Jest bardzo długa. Nagle otwierają się jej boki. Ludzie, w tym moja służąca, wchodzi do środka i upychają się ciasno. Idę ich śladem. Dociera do mnie mnóstwo ostrych zapachów. Nathalie ma wzrok wbity przed siebie. Ręce zwisają jej wzdłuż ciała, nie rusza się. Sprawia wrażenie, jak gdyby spała na stojąco.

Nie mogę się zdrzemnąć, tyle tu nieprzyjemnych odgłosów, drzwi zamykają się i skrzypi metal. Od czasu do czasu bestia zatrzymuje się, jej boki otwierają się ponownie, a ludzie wychodzą albo wchodzi, czasami równocześnie, potrącając się.

Wreszcie Nathalie wychodzi z potwora i zapuszcza się w głąb tunelu, który kończy się schodami sunącymi na powierzchnię. Idzie szybko, zatrzymuje się, żeby przepuścić samochody, zmienia chodnik, unika psich odchodów, przyspiesza kroku. Drepczę dyskretnie za nią.

Dociera do osobliwego miejsca pełnego piasku i błota. Na rozległej powierzchni stoją pojazdy, niektóre bardzo duże, buchające czarnym dymem, i wąskie metalowe wieże podnoszące trójkąty. Wśród nich krążą ludzie w żółtych kaskach. Nathalie dołącza do jednej z grup i potrząsa ręką każdej z osób, wypowiadając jej imię.

Wreszcie sama zakłada żółty kask i wydaje polecenia innym ludziom noszącym szare kostki, kawałki drewna albo długie czarne pręty. Nieco dalej maszyny drążą w ziemi. W pewnym momencie wszyscy zbierają się i zatykają uszy dłońmi,

wpatrując się w stary budynek. Nathalie wciska czerwony przycisk i budynek eksploduje w czterech miejscach jednocześnie, po czym zapada się, znikając za chmurą pyłu. Praca mojej służącej polega na wysadzaniu domów. Kiedy chmura pyłu opada, pojazdy rozpoczynają spychanie gruzów.

Jakże żałuję, że nie ma ze mną Pitagorasa, który wyjaśniłby mi dokładnie, co oznacza ta cała ludzka krzątanina.

Na tym polega praca? Chodzi o te czynności, które codziennie wykonuje moja służąca, kiedy nie zajmuje się mną? Żeby lepiej to zrozumieć, przechadzam się po okolicy. Jestem tak zaabsorbowana zwiedzaniem, że nie zauważam pojazdu, który cofając się, nieomal mnie miażdży. W ostatniej chwili odskakuję w bok. Łąduję w czarnej kałuży, w lepkim oleju, którego konsystencja spowalnia moje ruchy. Jestem cała pokryta kleistą substancją, nie potrafię się podnieść. Miotam się, miauczę, aż wreszcie zwracam na siebie uwagę kilkorga ludzi.

Czyjeś ręce chwytają mnie, wyciągają z czarnej melasy i otulają ręcznikiem. Poddaję się. Dwaj mężczyźni, którzy mnie ocalili, wydają z siebie krótkie skowyty (Pitagoras nazywa to „śmiechem”) i powoli robi się wokół nas zbiegowisko. Nathalie rozpoznaje mnie i z początku zaskoczona, a następnie zdenerwowana, chwytą mnie za skórę na szyi. Wciąż się nie wyrywam, przypomina mi się dzieciństwo, kiedy matka nosiła mnie, trzymając w ten sposób.

Spodziewam się najgorszego i, oczywiście, najgorsze się wydarza.

Nathalie zabiera mnie do pomieszczenia wyposażonego w umywalkę i tam, nie puszczając mnie, otwiera kurek wolną ręką. Miauczę, zdzierając sobie struny głosowe, i po raz kolejny nie mogę odżałować, że nie udało mi się jeszcze nawiązać sprawnego dialogu. Nathalie uparcie wykonuje kolejne gesty, które nie wróżą dla mnie nic dobrego na przyszłość. Chociaż wie, że nie znoszę wilgoci, a już na pewno bezpośredniego kontaktu z wodą. Zaczynam się wyrywać, ale ona trzyma mnie mocno i nie rozluźnia uchwytu.

Następnie wsypuje do umywalki biały proszek, który zmienia się w pianę, po czym – mimo iż w panice udaje mi się podrapać jej dłonie – popełnia nieodwracalny czyn i... zanurza mnie w kąpeli! Cóż za okropne uczucie!

Wciska mnie do wody. Moja długa czarno-biała sierść nabiera wagi, a dla zwiększenia mojej męki Nathalie zaczyna nacierać mnie białą pianą. Czarny olej stopniowo się rozpuszcza. Myślałam, że zdołam przejść przez życie, nie doświadczywszy kąpeli, tymczasem moja ciekawość, chęć odkrycia, czym jest ludzka praca, skutkują taką karą.

Wreszcie Nathalie wyławia mnie, robi zdjęcie i suszy mnie, powtarzając moje imię kpiącym tonem, tymczasem inni ludzie uczestniczący w widowisku nadal się śmieją. Następnie zamyka mnie w skrzyni. Ponieważ jest dzień, i żeby zapomnieć

o upokorzeniu, zasypiam w miękkim więzieniu. (Dręczy mnie jedno pytanie: czy kiedykolwiek wyschnę, czy też na całe życie pozostanę lekko wilgotna?)

Kiedy się budzę, wciąż jeszcze jestem w skrzyni, ale zrobiono w niej otwory, więc mogę wyglądać na zewnątrz, na miejsce pracy Nathalie. Światło przybladło, zapewne więc dzień zmierza ku końcowi. Wreszcie wrócę do domu, na kanapę przy kominku i pozbędę się tej ohydnej substancji, jaką jest woda. Nawet pożywienie się wydaje mi się sprawą drugorzędną.

Co mnie podkusiło, żeby chcieć sprawdzić, co robią ludzie za dnia? Siedząc w skrzyni, zdaję sobie sprawę, że wkraczamy do brzucha podziemnego potwora.

Kiedy się liżę, czuję irytujący smak mydła, posmak czarnego oleju, do którego wpadłam, i wody. Na domiar złego, kiedy tylko docieramy do domu, Nathalie zapala papierosa!

Następnie włącza telewizor i pojawiają się obrazy ludzi rozmawiających ze sobą, martwych ludzi leżących w kałużach krwi, ludzi biegnących, ludzi mocno zezłoszczonych, którzy krzyczą, dzierżąc czarne flagi...

Nathalie sprawia wrażenie bardziej zdenerwowanej niż zazwyczaj, ale karząc ją za to, co mi zrobiła (upokorzenie życia!), nie przychodzi mi pomrużyć jej na piersi, żeby dodać jej otuchy.

Służąca zapewne wyczuwa mój żal i chcąc zapracować na przebaczenie, sięga po suszarkę do włosów i kieruje ciepły strumień powietrza na moje futro. Wolę jednak uciec na lodówkę. Przez okno kuchenne widzę, że słońce wkrótce zajdzie i zapadnie noc, ale za bardzo się wstydzę mojego mokrego futra i nie idę na spotkanie z Pitagorasem.

Trudno. Postanawiam opuścić kryjówkę, żeby najeść się do syta.

Félix wita się ze mną i pyta, gdzie byłam. Mam ochotę opowiedzieć mu moją historię, szybko jednak uświadamiam sobie, że angora czystej rasy nie zrozumie nic z tak subtelnych pojęć jak praca, wojna, dinozaury, Egipcjanie, śmiech albo Bóg.

Nieomal zaczynam go żałować. Jego świat ogranicza się do miski, kuchni, salonu i naszej służącej. Skurczony świat dla ciasnego umysłu.

Nawet pewnie się nie domyśla, że Bastet to imię egipskiej bogini o ciele ludzkiej samicy i głowie kota.

Czy powinnam go pouczyć? Na razie priorytetem jest moje własne kształcenie, niby dla czego miałabym niepokoić go pojęciami, które i tak go przerastają.

Co mogłabym mu powiedzieć?

W końcu Félix jest szczęśliwy, bo żyje w niewiedzy.

Żal mi go i jednocześnie mu zazdroszczę.

Patrzy, jak przyglądam mu się i kręcę głową. Jego błędna ocena świata każe mu myśleć, iż mam mu za złe, że już się ze mną nie kocha, wskakuje więc na szafkę, gdzie stoi słoik z jego jądrami, i wskazuje na nie z nostalgią.

Ach, te samce, wszystko sprowadzają do jednego.

Odwracam się do niego plecami i unoszę ogon, żeby dać wyraz mojemu brakowi zainteresowania, i wracam do obserwowania Nathalie. Rozmawia przez telefon w salonie, idzie do kuchni, je żółte pożywienie i wypala papierosa. Następnie udaje się do sypialni, rozbiera się, idzie do łazienki. Podążam za nią w bezpiecznej odległości. Myje się (wodą i mydłem, ale wygląda na to, że czerpie przyjemność z faktu bycia mokrą), po czym staje przed umywalką, zmywa makijaż, wmasowuje w twarz pachnący ziołami krem i kładzie się do łóżka.

Woła mnie, ale udaję, że jej nie słyszę. Nie przyjdę mruścić przy jej stopach ani nawet nie położę się obok niej, nie pomogę jej zasnąć.

Zamiast tego wychodzę na balkon i dostrzegam mojego syjamskiego towarzysza. Wydaję z siebie ciche miauknięcie, które zwraca jego uwagę.

– Chętnie bym się z tobą zobaczyła, Pitagorasie, ale źle się prezentuję. Musiałam poddać się... kąpieli.

– Nie oceniam cię, Bastet. Chodź, podrepczemy razem po ulicach Montmartre’u, szybciej wyschniesz.

Kiedy spotykamy się na dole, Pitagoras wykonuje czuły gest, nasze pyszczki stykają się kilkakrotnie. Czuję jego różowy i wilgotny nosek przy moim, co wywołuje u mnie lekkie wyładowania elektryczne. Jestem pewna, że moje uczucie do niego jest bardzo silne. Im mocniej mi się opiera, tym bardziej uczucie to narasta.

Nasze umysły spotykają się. Jestem zafascynowana.

Przełykam ślinę i powstrzymuję się przed wyrażeniem mojego pociągu.

Kiedy idziemy, wiatr przenikający moje wilgotne futro sprawia, że odczuwam nieznośny chłód. Drzę.

Docieramy na szczyt wieży Sacré-Coeur i opowiadam mu o śledztwie w sprawie ludzkiej pracy i jego straszliwym finale.

– ...Śmiali się!

– Chciałbym umieć się śmiać – stwierdza Pitagoras.

– My potrafimy mruścić.

– Mam wrażenie, że czasami śmiech dostarcza im wyjątkowej rozkoszy, nieomal seksualnej. Moja służąca parska dokładnie w ten sam sposób, kiedy się śmieje i kiedy spółkuje.

Nagle, w oddali, dostrzegamy eksplozję.

– Widziałam to dzisiaj na placu budowy, ale nie wiedziałam, że pracują również w nocy.

– Nie, jeśli coś takiego wydarza się w nocy, nie jest to wybuch w ramach pracy. To zamach terrorystyczny. Biorąc pod uwagę lokalizację, wydaje mi się, że ucierpiała wielka biblioteka. Odkąd wojna szerzy się po świecie, terroryści próbują zdestabilizować nasze miasto, organizując masakry. Wiele ostatnio ich tu było. Czasami, jak sama zdążyłaś zauważyć, strzelają do uczniów albo sami się wysadzają w powietrze pośród tłumu, zazwyczaj w miejscach związanych z kulturą.

– Dlaczego to robią?

– Wypełniają rozkazy.

W oddali eksplozja zmienia się w pożar.

– Kto im nakazuje tak się zachowywać?

Pitagoras nie odpowiada. Przeciagam się na różne strony, żeby zachować zimną krew, po czym zmieniam temat.

– Martwi mnie, że nasi służący podejmują decyzje, nie pytając nas o zdanie. Pamiętam moje pierwsze spotkanie z Nathalie. Byłam wtedy bardzo młodą kotką i mieszkałam na wsi. Hasałam wśród traw. Wspinałam się na drzewa. Żyłam wśród ślimaków, jeży i jaszczurek. Pewnego dnia zostałyśmy zaprowadzone, moja matka i ja, w miejsce pełne klatek z różnymi zwierzętami, mówiącymi ptakami, kolorowymi rybami, psami, kotami, wiewiórkami i królikami.

– Zapewne był to „sklep ze zwierzętami”...

– Minęło wiele dni, aż w końcu rozdzielono mnie i mamę. Zostałam umieszczona wśród innych kociąt za przezroczystą szybą wychodzącą na ulicę.

– Umieszczają najładniejsze na widoku, żeby przyciągnąć klientów.

– Pewnego ranka pojawiła się Nathalie. Przyjrzała się wszystkim kociętom, aż w końcu wskazała palcem na mnie i wypowiedziała jakieś zdanie.

– Pewnie powiedziała: „Chcę tego”.

– Wtedy czyjaś ręka mnie złapała i zostałam przeniesiona w jej ramiona.

– Typowy koci los.

– Następnie popatrzyła na mnie i zaczęła powtarzać słowo „Bastet”.

– Wielu by ci pozazdrościło. Kocięta, których nikt nie wybrał, zostały zapewne... wyeliminowane. Nazywa się je „niesprzedanymi”.

Pitagoras wciąż obserwuje jasny punkt, w którym nastąpiła eksplozja i gdzie wciąż widać płomienie.

– Nie wiem, czy to wyczułaś, Bastet, oglądając telewizję twojej służącej, ale sprawy toczą się w złym kierunku. Coraz więcej osób umiera, coraz więcej osób chce też zabijać swoich współbraci.

- Moim zdaniem religia mogłaby ich ocalić – mówię.
- Religia? Na razie to właśnie ona ich dręczy i popycha do autodestrukcji.
- Bo pomylili bóstwo, które powinni czcić. Jestem za powrotem do kultu Bastet.

Pitagoras kręci głową i uświadamiam sobie, jak bardzo eksplozja wielkiej biblioteki go poruszyła.

- Czy chcesz wysłuchać trzeciej lekcji historii ludzi i kotów? – pyta.

Siadam na kamiennym murku najwygodniej, jak to tylko możliwe, i nadstawiam uszu. To moja ulubiona chwila.

– Egipcjanie tworzyli więc cywilizację, która rozwijała się gwałtownie, dopóki nie została zniszczona przez wojnę.

- I straszliwego Kambyzesa II, mordercę kotów.

– Hebrajczycy, swego czasu niewolnicy w Egipcie, zostali uwolnieni i uciekli na północny wschód, na terytorium Judei, gdzie się osiedlili, założyli miasta i rozwijali handel portowy.

- Co to jest handel?

– To jedna z najstarszych form pracy polegająca na wymienianiu jedzenia albo przedmiotów pochodzących z jednego miejsca na towary z innego. Trzy tysiące lat temu Hebrajczycy, za rządów królów Dawida i Salomona, utworzyli flotę statków handlowych, zorientowali się jednak, że zapasy jedzenia, jakie ze zabierały one sobą, były często niszczone przez szczury i myszy. Królowie rozkazali więc, żeby ludziom na statkach zawsze towarzyszyły koty.

- Tym sposobem koty zaczęły podróżować na duże odległości?

– Z początku w basenie Morza Śródziemnego, a następnie na stałym lądzie, karawanami na wielbłądach.

– Wykorzystywano nas do ochrony ludzkiego jedzenia przed gryzoniami? To jednak dość rozczarujące.

– Wszędzie tam, gdzie kupcy dobijali do brzegu, porzucali narodzone na pokładzie kocięta. Cieszyły się one dużą popularnością wśród ludzkich populacji, które ich jeszcze nie znały. W miarę jak koty się rozprzestrzeniały, pojawił się rozłam między ludźmi, którzy cenili sobie towarzystwo kotów, i tymi, którzy woleli psy.

Pożar biblioteki w oddali powoli traci na sile.

– Amatorzy kotów wychwalali zazwyczaj ich inteligencję, miłośnicy psów natomiast ich siłę. Pierwsi lubili wolność, drudzy posłuszeństwo. Jedni kochali noc, drudzy dzień.

- Dwa obozy uzupełniały się więc wzajemnie.

- Oni widzieli to inaczej. Już w tamtych czasach zdarzało się nierzadko, że

miłośnicy psów szczuli je na koty. W niektórych miasteczkach urządzano obławy, podczas których starano się złapać i zabić ich jak najwięcej.

– Mówiłeś, że nasi przodkowie pływali na statkach, ale sami nie potrafili przecież pływać?

– Właśnie: ludzie na statkach wiedzieli, że koty zrobią wszystko, żeby statek nie zatonął. Koty stawały się coraz bardziej inteligentne: wiedziały, pomagały ludziom w przewidywaniu problemów, które mogłyby je zmusić do stawienia czoła wodzie. Koty wyczuwały burze z wyprzedzeniem.

– Swoją drogą, skoro wiesz wszystko, chciałabym się dowiedzieć, dlaczego psy potrafią pływać, a my nie.

– O ile mi wiadomo, to dlatego, że nasza skóra i sierść różnią się. Podobno jednak niektóre koty lubią wodę. Osobiście jestem taki jak ty, nienawidzę nawet samej myśli, że mógłbym zmknąć.

Na wspomnienie niedawnej kąpieli przeszywa mnie dreszcz. Oboje mamy za sobą trudne chwile.

– Koty rozprzestrzeniły się więc po świecie, wypływając z Judei. Teksty datowane na rok tysiąc dwudziesty przed Jezusem Chrystusem wspominają o pojawieniu się pierwszych kotów w Indiach.

– Indie? Co to takiego i gdzie?

– To wielki kraj na wschodzie. Kupcy zaczęli wymieniać nas na przyprawy. Od razu spodobałyśmy się Hindusom. Przywrócili kult bogini o ciele człowieka i głowie kota, ale nadali jej inne imię: Sati. Była również uważana za boginię płodności.

– Ci hinduscy ludzie musieli być bardzo bystrzy, skoro wznowili „mój” kult.

– Posągi Sati były puste w środku, a oczy bogini świeciły dzięki lampie oliwnej umieszczonej wewnątrz, żeby odstraszać gryzonie i złe duchy.

– Musiały być piękne.

– Hindusi uważają, że to koty nauczyły ludzi jogi (gimnastyki opartej na przeciąganiu się podobnym do naszego) i medytacji (pochodna naszych głębokich sjest).

To ostatnie zdanie sprawia, że nachodzi mnie ochota, żeby się znów poprzeciągać, więc przekładam prawą łapę za głowę i liżę sobie brzuch.

– W tysięcznym roku przed Jezusem Chrystusem koty dotarły do Chin: kraju położonego jeszcze dalej na wschodzie i jeszcze większego. Kupcy wymieniali naszych przodków na delikatne jedwabne tkaniny, przyprawy, oliwę, wino i herbatę. Dynastia Zhou, panująca w owej epoce, uczyniła z kotów symbol pokoju, równowagi i szczęścia. Oni również stworzyli bóstwo ku naszej chwale: boginię Li Shou o wyglądzie kota.



– Kult Bastet przetrwał.

– Koty opanowały ziemie nie tylko na wschodzie, lecz także na północy. W dziewięćsetnym roku przed Jezusem Chrystusem wspomina się o pojawieniu się naszych przodków w Danii. Tym sposobem zrodził się kult bogini płodności Frei, której wóz zaprzężony jest w dwa święte koty. Pierwszy zwie się „Miłość”, a drugi „Czułość”.

Nie wiem, czym są Dania, Chiny albo Indie, ani tym bardziej Judea, ale z opowieści Pitagorasa wnioskuję, że koty, które w pewnej epoce zamieszkiwały jedynie Egipt, wykorzystywały podróżujących ludzi, aby rozszerzyć swoje wpływy na coraz dalsze terytoria.

Po raz pierwszy proszę Pitagorasa, żeby powrócił do swojego wywodu i wyjaśnił mi każde słowo, którego nie zrozumiałam. Chcę, żeby opisał mi krajobrazy, stroje, wygląd i jedzenie wspomnianych ludów. Nie uchyla się przed zaspokojeniem mojej ciekawości. Od tej pory chcę rozumieć każde słowo, które wypowiada.

Pitagoras nie wydaje się zdziwiony moją prośbą. Jest cierpliwy, wraca do każdego wyrażenia i wyjaśnia mi ludzką mentalność, żeby poszerzyć moje horyzonty.

Po raz kolejny pytam go, w jaki sposób zdobył całą tę wiedzę.

Kołysze głową, jak gdyby się wahał, wydaje się gotów wyjawić mi sekret, który ukrywa od czasu naszego pierwszego spotkania.

W tym momencie w pobliżu rozlega się huk eksplozji.

Pitagoras daje mi znak, żebym podążyła za nim. Pokonawszy schody, pędzi w stronę, skąd dobiegł niepokojący odgłos. Docieramy biegiem do szerokiej oświetlonej alei. Tysiące ludzi zgromadziły się w dwóch grupach naprzeciw siebie. Pitagoras uważa, że będziemy lepiej widzieć z wysokości gałęzi drzewa. Wspinamy się więc na platan.

– Czy to wojna?

Pitagoras nie odpowiada i każe mi obserwować zachowanie ludzi.

Ci z grupy po prawej dzierżą czarne flagi i skandują w kółko to samo zdanie.

Grupa naprzeciw nich złożona jest z ludzi ubranych w granatowe stroje i kaski z żółtymi pasami. Trzymają tarcze i kije. Nie mają flag i zachowują się cicho. Obydwie grupy zdają się na coś czekać. Czuć silny zapach męskich hormonów i moje wąsy odbierają fale czystej egzaltacji.

Ktoś rzuca płonąca butelką w stronę granatowej grupy, która jednak cofa się na czas. Pocisk eksploduje na ziemi, rozlewając się w płonąca kałużę.

Tamci natychmiast ripostują, rzucając przedmiotami, za którymi ciągną się długie pióropusze dymu.

– Nie, to nie jest wojna, jeszcze nie. To, co widzisz, to tylko zapowiedź konfrontacji. Ludzie w mundurach są obrońcami istniejącego systemu. Pozostali chcą go zniszczyć.

– Kto ma rację?

– Czy to naprawdę ma znaczenie?

Nagle ludzie z czarnymi flagami napierają na granatowe mundury. Dwie grupy ścierają się, walczą wręcz.

Płoną kosze ze śmieciami. Dym z pocisków staje się coraz bardziej uciążliwy. Ludzie krzyczą, wrzeszczą, biegną, zadają sobie ciosy pięściami, kopią, niektórzy gryzą. Krzywią się, rozdzierają ubrania.

Powietrze zaczyna mnie drażnić, boli mnie brzuch. Wymiotuję.

– I twierdzisz, że „to” naprawdę nie jest jeszcze wojna?

– To już nie jest terroryzm, ale też jeszcze nie wojna domowa. Jedynie „degenerująca się manifestacja”. Używają jedynie koktajli Mołotowa (płonących butelek) i gazu łzawiącego (pociski dymne). Będiesz wiedziała, że rozpoczęła się wojna, kiedy zamiast granatowych mundurów czy zwykłych ubrań oba obozy będą miały na sobie zielone uniformy.

Jestem zdziwiona zaciekłością, z jaką ludzie niszczą się wzajemnie.

– Mam trudności z oddychaniem. Ten dym jest jeszcze gorszy od papierosowego – miauczę. – Po co mnie tu przyprowadziłeś?

– Chciałem, żebyś się temu przyjrzała z bliska. Musisz wiedzieć, że to, co się tu dzieje, odbywa się również w innych miastach Francji, Europy, świata. Jest niczym historyczna gorączka agresywności, na którą wszyscy cierpią. Niektórzy ludzie myślą, że to związane z plamami na Słońcu, które zakłócają zmysły i popychają ich do zabijania się nawzajem. Podobno coś takiego wydarza się co jednaście lat. W każdym razie to, czego byłaś świadkiem, dowodzi, że ludzie weszli w fazę autodestrukcji. Tym razem ma ona zadziwiający zasięg. Odnoszę wrażenie, że osiągnęli oni ostatni etap ewolucji.

Przyglądam się, zahipnotyzowana widowiskiem, chociaż pieką mnie oczy i płuca. W pewnym momencie strzygę uszami: czas wracać.

Zostawiamy ludzi i ich „manifestację” i wracamy do naszych domów.

Wchodzę przez otwór w drzwiach i wyciągam się w koszyku. Wreszcie mam ambitny życiowy cel: wznowić tu i teraz, w tym i w innych krajach, kult bogini o głowie kota.

Dzięki temu wśród zjednoczonych nabożnością ludzi zapanuje pokój.

## Incydenty w Paryżu

Śpię długo.

Być może cały dzień albo dwa. Zdarzało mi się już przesypiać trzy dni z rzędu bez zdawania sobie z tego sprawy.

W każdym razie budzę się, kiedy na zewnątrz jeszcze nie zapadł zmierzch, a ja jestem kompletnie wycieńczona.

Obwąchuję się. W mojej sierści wciąż wyczuwam woń gazu z manifestacji. Liżę futro w miejscach, gdzie zapach jest najbardziej wyraźny. Następnie przelękam kulki kłaków, które toczą się przede mną.

Wracam myślami do tego, co mi powiedział Pitagoras ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy. Będę musiała znaleźć sposób na zapamiętywanie informacji, aby pewnego dnia również móc uczyć moich współbraci.

Jeśli się dobrze zastanowić, gdyby Pitagoras zdradzał swoją wiedzę innym, mniej inteligentnym kotom, te ostatnie nie tylko wzięłyby go za szaleńca, ale też mogłyby chcieć na dodatek się go pozbyć.

Ja jestem rozwinięta, potrafię zrozumieć, ale dla innych jego wiedza mogłaby się wydać... dziwna... abstrakcyjna... wręcz szalona.

Kiedy jest się przyzwyczajonym do kłamstw, prawda wydaje się podejrzana.

Félix zajada z własnej miski: co ktoś taki jak on mógłby zrozumieć z niezwykłych wiadomości, które dane mi było poznać?

Wiedza zmusza do zmiany stanu umysłu, tymczasem nikt nie chce podawać w wątpliwość swojej ograniczonej wizji świata.

Ponownie wymiotuję czymś gorzkim z głębi gardła (do licha, wojna naprawdę jest niezdrowa, gdyż jeszcze następnego dnia odczuwa się jej zgubne efekty; chyba jej nie trawię).

Félix podchodzi do mnie, nie miał odwagi mnie budzić i wydaje się, że się cieszy, iż wreszcie ma okazję się ze mną przywitać.

Uświadamiam sobie, że mieszkamy już razem od wielu tygodni i że sporo utył. Oto co nasz gatunek stracił, wchodząc w sojusz z człowiekiem: zapomnieliśmy o konieczności podejmowania wysiłku. Nie biegamy wystarczająco, nie boimy się za często, nie rzucamy sobie wyzwania, żyjemy tylko straszliwie wygodną i powtarzającą się codziennością.

Jeśli nic się nie zmieni, być może ja również tak skończę: otyła, nieruchoma,

bez planów na życie, a na dodatek... zadowolona z takiego stanu rzeczy.

Wspinam się na górę do pokoju mojej służącej, wślizguję się do łazienki i wskakuję na umywalkę, gdzie chyba widziałam lustro. Teraz, kiedy już wiem, do czego służy, nie boję się stanąć naprzeciwko, utrzymując równowagę na porcelanowej krawędzi. Przyglądam się sobie.

No proszę! Zauważam, że i ja zwiększyłam objętość! Czyżbym była chora? Dzisiaj rano wymiotowałam, a na dodatek przybyło mi ciała.

Zamykam oczy i analizuję wewnętrzne odczucia: nagle uderza mnie oczywistość.

Jestem... w ciąży.

Zastanawiam się, czy to możliwe, żeby to było dziełem Félixa?

Prawdopodobne.

Nachodzi mnie ochota, żeby jako pierwszemu przekazać tę informację mojemu syjamskiemu sąsiadowi.

Ponieważ jestem zbyt ciężka, żeby ryzykować skok z balkonu na balkon, schodzę na dół i wydostaję się na zewnątrz przez otwór w drzwiach. Następnie wchodzę do jego domu.

– Pitagorasie! Pitagorasie! Będę mamą!

Brak odpowiedzi. Ani śladu również służącej Sophie.

Czyżby się wyprowadzili? W jaki sposób poznam dalszy ciąg historii ludzi i kotów?

Robię inspekcję domu. Coś tu nie gra.

Automatyczny dystrybutor suchej karmy jest pusty, poidło suche, kuweta czysta. Idę do sypialni, łóżko służącej jest pościelone, nie widzę żadnego śladu wskazującego na jej niedawną obecność.

Spoglądam na siebie w lustrze jego pokoju, mając nadzieję, że przekaże mi odmienne informacje. Ale nie, nie mogę mieć co do tego wątpliwości, nabrałam ciała. Na dodatek zaczynam czuć, że coś porusza się w moim brzuchu. Swędzą mnie sutki. Liżę je, żeby załagodzić nieprzyjemne uczucie.

O, ty nieszczęsna, twoje życie bez Pitagorasa będzie o wiele nudniejsze – stwierdzam.

„Bastet!”

Krzyk dobiega z mojego domu.

Nathalie wróciła. Idę do siebie i drepczę do salonu na spotkanie z moją służącą. Trzyma niewielką torebkę, a ze sposobu, w jaki głaska mnie po głowie, wnioskuję, że znów ma dla mnie niespodziankę.

Sądząc po względnej jakości jej ostatnich prezentów, hamuję swój entuzjazm.

Nathalie otwiera plastikowe etui i wyciąga z niego obrożę ze złotym wisiosem

w kształcie kuli.

Nie wiem, jak powinnam to odebrać. Czyżby wreszcie pojęła, kim jestem? Czy to ofiara?

Nathalie mówi coś do mnie, wypowiadając zdania, w których pojawia się dźwięk mojego imienia, ale ponieważ nie zostałam obdarzona Trzecim Okiem, nic nie rozumiem z tego bełkotu.

Następnie moja służąca siada przed telewizorem, a ja domyślam się, że mowa jest o wydarzeniach z poprzedniego wieczoru. Szkody spowodowane eksplozją są pokazane z bardzo bliska. Potem widzę sceny kręcone podczas konfrontacji między ludźmi w granatowych mundurach i pozostałymi, którzy rzucają w nich... jak to się nazywało? Ach tak! „Koktajle Mołotowa”.

Poziom stresu Nathalie sięga zenitu. Wykonuje ruchy, których do tej pory nigdy u niej nie widziałam, coś kompletnie szalonego: gryzie paznokcie zębami, odrywa małe ich kawałeczki i wypluwa je na podłogę.

Na ekranie telewizora widać teraz ludzi, którzy przemawiają surowym tonem.

Odnoszę wrażenie, że zwracają się bezpośrednio do nas. Niektórzy mają długie brody, inni krawaty, pokazują pięści, krzyczą, marszczą brwi. Żałuję, że Pitagoras nie może mnie poinformować o rozwoju sytuacji.

Kiedy Nathalie kończy obgryzać paznokcie, zapala papierosa i nalewa sobie płyn, który mocno pachnie alkoholem.

Ponownie ogarniają mnie nudności. Nie mam głowy, żeby pocieszać służącą, gdyż sama czuję się równie rozgorączkowana.

Przechodzę obok śpiącego Félixa, po czym sunę na piętro, gdzie wyładowuję się, zatapiając pazury w poduszce tak długo, aż pojawia się białe pierze.

Mam wrażenie, że nadchodzą najtrudniejsze dla mnie dni.

Ależ głupia się czuję.

A tak bardzo chcę stać się inteligentna.

## Z moich trzewi

Minęło mniej więcej trzydzieści dni, podczas których nie przestawałam spać i tyć. Czuję się niezdolna do wyjścia z domu. Wstawałam tylko po to, żeby jeść, spotykając czasami na swojej drodze moją służącą albo Félixa.

Trzydzieści dni bez lekcji Pitagorasa to trzydzieści zmarnowanych dni, w mojej głowie wszystko jest mętne. Mój umysł nie jest już obłokiem, lecz gęstą mgłą. Czuję się niezdolna do myślenia o wojnie czy też historii.

Nie mam ochoty wychodzić.

Istoty, które żyją w moich wnętrznościach, postanawiają zmanifestować swoją obecność.

Liżę się po brzuchu.

Czuję lekką wypustkę, która porusza się w okolicy mojego pępka.

„Nowe pokolenie”?

Niech lepiej nie próbują mnie denerwować, zanim jeszcze się urodzą.

Nie muszę przeglądać się w lustrze w łazience, żeby wiedzieć, że podwołam swoją objętość. Zresztą nie byłabym nawet w stanie utrzymać równowagi na krawędzi umywalki. Gruba? Nie, właściwym określeniem byłoby raczej: otyła. Najlżejszy ruch mnie męczy, wzdycham, stękam, jestem głodna.

Podejście do miski to jedyna rzecz, do jakiej jestem zdolna. Istoty wewnątrz mnie poruszają się. Bawią się w chowanego w moim brzuchu czy co? Grają w piłkę nerkami? Mam wrażenie, że się kłócą.

Wiecie, co by mi teraz sprawiło przyjemność? Żeby wszystkie wyszły z mojego ciała.

Kolejne wypukłości przemieszczają się pod skórą mojego brzucha. Mam wrażenie, że chcą rozdrapać mnie od wewnątrz, żeby się wydostać.

Pojawia się pierwszy skurcz. Potem drugi. Są coraz liczniejsze i coraz bardziej bolesne. Każdy skręca mi wnętrzności.

Stało się, urodzę.

Miauczę, wyteżając struny głosowe.

*Nathalie! Szybko! Musisz się mną pilnie zająć!*

Służąca po raz kolejny siedzi przed telewizorem. Egoizm tej istoty ludzkiej mnie zadziwia. Naprawdę myśli wyłącznie o sobie.

Staję między nią i ekranem, ale ona, zamiast mnie pogłaskać albo pójść za mną,

podnosi mnie i przekłada, żebym nie zasłaniała jej widoku.

Równie dobrze mogłabym mówić do złotej rybki. Postaram się więc zrobić „to” sama, w moim koszyku. Po raz kolejny potwierdza się przecucie, że w życiu jest się samotnym i nie można na nikogo liczyć.

Félix oferuje mi swoją asystę, ale wiem, że na nic się nie przyda. Jeśli ma mi się tylko plątać między nogami, bardziej utrudni sprawę, niż pomoże.

Biały kot angora wbija we mnie swoje żółte ślepia z kompletnie oszołomioną miną.

Pozwalam mu zostać, ale przykazuję, żeby nie przeszkadzał. Nawet jeśli jest ojcem, to jest tylko nim.

Moim brzuchem wstrząsają konwulsyjne i coraz bardziej bolesne ruchy. Skurcze są coraz częstsze. Czuję, że Félix mi współczuje, ale jak samiec mógłby naprawdę zrozumieć, co przeżywa samica w takich chwilach?

Poza tym czuję, że coś schodzi przeze mnie w dół.

Przyjmuję wygodną pozycję w koszyku i po chwili mokra główka o zalepionych oczach wyłania się z mojego ciała. Wypycham ją trzema silnymi skurczami.

Proszę, sprawa załatwiona. Urodziłam kocię.

Mała czarna kulka porusza powoli łapkami, wciąż ma zamknięte oczy. Instynktownie przerywam pępowinę. Ma specyficzny smak, ale ostatecznie całkiem dobry, więc połykam ją. Rozkoszuję się własnym ciałem! Następnie zlizuję płyn, który wylał się ze mnie, i również smakuje doskonale.

Kiedy przymierzam się do oblizania kocięcia, czuję nowy skurcz. Po nim nadchodzi kolejny. W ten sam sposób pojawia się jeszcze jedno kocię, tym razem całkiem białe.

W sumie wydaję na świat sześcioro kociąt.

Czarne, białe, dwa w czarno-białe plamki, jedno szare i jedno... pomarańczowe.

Mają zamknięte oczy i pokrywa je lepka substancja. Po kolei je oblizuję.

Jedno się nie porusza, szare. Intuicyjnie wiem, co trzeba zrobić (muszę je zjeść), ale nie znajduję w sobie na to odwagi.

Odpycham je nieco dalej i pomagam pięciorgu pozostałym umieścić się przy moich śwędzących sutkach.

Wszystkie moje młode, z zamkniętymi oczyma, zapewne wiedzione zapachem, gramolą się i przytykają pyszczki do mojego brzucha.

Łapczywie ssą mleko. To nowe uczucie, przyjemne, a jednocześnie nieco bolesne (pomarańczowy kotek mnie gryzie; zupełnie go nie rozumiem).

Czuję się opróżniona, ale odczuwam ulgę. Przenika mnie łagodna, specyficzna

fala.

Jest mi dobrze, bardzo dobrze.

Ostatecznie na myśl, że mam dzieci, czuję się szczęśliwa, jak gdyby po tym całym wyczekiwaniu i bólu życie wybrało mnie, żeby się odnowić.

Félix liże mnie w czoło. Muszę przyznać, że w tym momencie doceniam ten konkretny gest.

– Możesz zająć się szarym, dobrze?

Félix zabiera ciało i znika. Kiedy wraca, pochyla się łagodnie nad pięcioma kulkami futra.

– To nasze dzieci – mówi ze wzruszeniem.

Nie śmiem mu wyjawiać, że miałam inne stosunki z okolicznymi samcami zaledwie na kilka dni przed naszym aktem miłosnym.

– Są piękne – dodaje.

Strzygę uszami, usiłując sprawdzić, co robi Nathalie, i dobiegają mnie odgłosy telewizora. Wciąż jest więc zafascynowana wojną.

Energia życia gaśnie wśród ludzi, ale tryska ze mnie.

– Co zrobiłeś z szarym, Félixie?

– Położyłem go przed Nathalie. Kiedy przestanie być tak zajęta, zobaczy i zrozumie.

Istotnie, w pewnej chwili słyszę okrzyk. Przypomina ten, jaki wydała z siebie, kiedy odkryła mysz podarowaną w prezencie. Widzę, że biegnie, krząta się, sięga po szufelkę i plastikowy worek.

Wreszcie poświęca mi uwagę. Nie dostrzegam u niej ani wyrzutu, ani nagany. Uśmiecha się do mnie, głaska czubek głowy i wielokrotnie przesuwając palcem po mojej brodzie pod włos.

Zapewne mi gratuluje. Dobrze się składa, ostatnio potrzebuję wsparcia i podtrzymania na duchu.

Głaska mnie po czole i podaje miskę mleka (pewnie myśli, że jeśli będę je pić, pomoże mi to je produkować). Chłepczę, żeby jej sprawić przyjemność.

Wracam myśląc do szarego kotka, którego wsadziła do worka. Być może w przeszłości odruch zjadania własnych dzieci pomagał ocalić wygłodniałe i wycieńczone matki. Teraz, kiedy jestem „ucywilizowana”, wydawało mi się to nie na miejscu. Uważam nawet, że my, koty, mamy prawo do mumifikacji po śmierci – do owijania nas bandażami, nakładania maski z naszą podobizną i składania do ziemi z odrobiną ceremonii.

Byłoby na przykład rzeczą odpowiednią, gdyby moja służąca zgoliła sobie brwi, żeby okazać swój smutek w związku ze stratą mojego szarego noworodka.

Na razie wydaje się dość zajęta robieniem zdjęć smartfonem moim kociętom



i wykonywaniem rozmów telefonicznych, podczas których słyszę wielokrotnie swoje imię powtarzane radosnym tonem.

Wtedy pojawia się Pitagoras.

Musiał wejść do mnie przez otwór w drzwiach. Powoli się do mnie zbliża.

– Brawo – miauczy, liżąc mnie po plecach, co mnie zachwyca.

– Gdzie byłeś?

Félix, pojawiwszy, że chcę zostać sama z kotem syjamskim, nie robi scen i rusza do swojej miski, żeby umożliwić nam chwilę intymności. Doceniam tę delikatność.

– Zniknąłeś, martwiłam się, bałam się, że już nie wrócisz – wyznaję mu.

– Moja służąca musiała przeprowadzić na mnie pewne eksperymenty. Zabrała mnie do domu na wsi, gdzie mogła użyć sprzętu, którym tutaj nie dysponuje.

– Eksperymenty?

– Chciała poprawić moje Trzecie Oko.

– Żebyś stał się jeszcze bardziej inteligentny?

– Żebym jeszcze lepiej rozumiał ich świat. Historia przyspiesza i muszę być gotowy do interwencji.

Ponownie przybiera tę tajemniczą minę, która mnie fascynuje. Nie wiem, o czym mówi, ale zdaje się, że ma to związek z pewnym procesem, który mnie przerasta.

– Kiedy wróciłeś?

– Kilka chwil temu. Czuję, że muszę się z tobą zobaczyć.

Bez pytania mnie o zgodę liże moje kocięta.

Wskazuje mu tego najbardziej agresywnego, pomarańczowego.

– Félix, który najprawdopodobniej jest ojcem, jest biały, ja jestem czarno-biała. Jak to możliwe, żeby ten miał taki kolor?

– Prawo genetyki – wyjaśnia Pitagoras.

Pokazuję mu moją nową obrozę.

– Bardzo ładna, ale to nie tylko biżuteria. Twoja służąca podarowała ci tę konkretną obrozę, bo zawiera lokalizator GPS. Zapewne zaniepokoiła się po twojej wycieczce na plac budowy i nie chce, żeby to się powtórzyło.

Choć to dość złoszczące, mimo wszystko czuję się pewniej, wiedząc, że nigdy więcej się nie zgubię.

Pitagoras wskazuje na moje kocięta.

– Nie będziesz mogła ich wszystkich zatrzymać – stwierdza.

– Co? Jak to?

– Ludzie rzadko zachowują cały miot.

– Co z nimi robią?

– Sprzedają, rozdają albo... topią je.

– Co?!

– Tak się dzieje od zawsze. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Twoja służąca ma dwa dorosłe koty: ciebie i Félix, nie może zająć się pięcioma dodatkowymi.

– Ale to moje dzieci!

– Jej ludzki umysł uważa, że twoje kocięta należą do niej.

– To *mój* dom i *moja* służąca.

– Nathalie jest człowiekiem, działa zgodnie z ludzkimi zasadami. Nie zapominaj, że uważa się za gatunek wyżej postawiony.

– Tym bardziej więc musi mi się udać z nią porozmawiać, choćby po to, żeby jej powiedzieć, że chcę zatrzymać moje kocięta i jestem gotowa sama się nimi zająć, wszystkimi.

– Zdziwiłbym się, gdyby to zadziałało.

– Pomóż mi, Pitagorasie, przecież posiadasz Trzecie Oko.

– Przypominam ci, że opanowałem odbiór informacji ludzkich, ale nie ich emisję.

– Pewnego dnia zdołam nadawać, przekazywać myśli z jednego umysłu do drugiego – ogłaszam zdeterminowana. – Powiem im wtedy, co mają robić.

Pitagoras wpatruje się we mnie swoimi dużymi niebieskimi ślepiami.

– Sądzę, że ludzie są teraz zajęci innymi sprawami niż słuchanie opinii kotów. Nie wiem, czy oglądałaś ostatnio ludzkie wiadomości, ale po terroryzmie, manifestacjach i potyczkach zbliża się prawdziwa wojna.

– „Prawdziwa” wojna, która powoduje jeszcze większy kaszel i wymioty niż „manifestacje”?

– Zamiast rzucać pociskami z gazem łzawiącym i koktajlami Mołotowa, ludzie strzelają do siebie z karabinów (wiesz, chodzi o te kije plujące ogniem) i rzucają granatami albo bombami, które eksplodują jak ta, którą widzieliśmy z daleka. Powoduje to znacznie większe szkody.

– Zatem dzień zaczyna się od dwóch interesujących informacji: moja służąca ma zamiar oddać (sprzedać albo zabić) moje dzieci i niedługo dotrze tu wojna.

– Wolałbym przynieść ci lepsze nowiny, Bastet.

Rozlega się dzwonek do drzwi. Sophie, sąsiadka, wpada z wizytą do Nathalie. Ta natychmiast sięga po moje dzieci i kładzie je na aksamitnej poduszce. Dwoje ludzi zachwyca się moim potomstwem, powtarzając moje imię. Robią zdjęcia smartfonami i wysyłają wiadomości. Następnie pada imię Pitagorasa.

– Streszczę tę wymianę zdań – mówi kot syjamski. – Mam wrażenie, że moja służąca martwi się, iż tutaj przychodzę.

– Czego się boi?

– Że za bardzo cię uczę.

Pocieramy się nosami na pożegnanie. Uwielbiam kontakt z jego małym noskiem. W tej samej chwili nasze wąsy się splatają, potem on kładzie mi głowę na karku i porusza nią tak, jak gdyby mnie odpychał.

Lubię, kiedy to robi.

Następnie służąca bierze go na ręce i wychodzą z domu. Nathalie kładzie kocięta z powrotem przy mnie, a one natychmiast powracają do ssania.

Przez kontakt z ich wygłodniałymi pyszczkami mam wrażenie, że są do mnie przyklejone i nikt nie zdoła nas rozdzielić.

Czekam, aż skończą pić i zasną, żeby je wylizać i złapać każde za skórę na karku, jak to robiła ze mną moja mama.

Nawet się nie budzą.

Chowam je w kącie piwnicy, żeby Nathalie nie mogła ich znaleźć.

Następnie mruczę, żeby przyzwycząić je do tego dźwiękowego punktu odniesienia.

Rozmyślam. Musi przecież być jakieś rozwiązanie. Muszę wymyślić strategię, która ocali je od śmierci.

Upewniam się, że moje kocięta są spokojne, po czym udaję się do sypialni mojej służącej. Leży na łóżku, z twarzą pokrytą kremem, który pachnie ogórkiem. Siadam na niej i czuję bicie jej serca.

Mruczę na średniej częstotliwości.

*Nie wolno oddawać ani zabijać moich kociąt. Chcę je zachować i zajmować się nimi.*

Powtarzam tę wiadomość kilkakrotnie.

Widzę, że jej rogówki poruszają się pod powiekami – znak, że jej mózg pracuje intensywnie. Jakże chciałabym wpłynąć na jej sny i skłonić ją do porzucenia ponurego projektu. Nathalie otwiera i zaciska lewą dłoń.

Odwraca się i zaczyna chrapać. Jej ciało się rozluźnia.

Mam nadzieję, że zrozumiała.

Wracam do moich kociąt i również zasypiam.

Mam niezwykle przyjemny sen. Jestem w nim ponownie wyjątkowo szczupła, umięśniona i zwinna, biegam po lesie z moimi pięcioma kociakami. Biegniemy obok siebie ścieżką. Docieramy na polanę porośniętą żółtymi kwiatami i tarzamy się razem w trawie.

Promienie słońca sączą się przez paprocie, a pyłki kwiatów wzbijają się w powietrze, unoszone ciepłem. Nad nami śpiewa gil. Wirują motyle. Pięć kociąt biega, zachwycając się każdym zakątkiem lasu i każdym kamyczkiem.

## Zbrodnia

Czuję uszczyplenie.

Budzą mnie małe pyszczki moich dzieci, które zabierają się do ssania. To bolesne i uspokajające zarazem.

Wciąż mają zamknięte ślepka. Miauczę, ale one nie reagują. Wygląda na to, że przez pierwsze dni są nie tylko ślepe, lecz także głuche. Tylko powonienie pozwala im dotrzeć do matczynego mleka.

Nie bardzo wiem, jak zajmować się dziećmi. To dość skomplikowane i muszę się przyzwyczaić do pięciu absorbujących istnień.

W kółko liżę je i mruczę.

Po raz kolejny stwierdzam, że pomarańczowy kotek gryzie najmocniej i odpycha pozostałe, żeby dotrzeć do najbardziej nabrzmiąłych sutków. Ciekawe, że ta istotka o zamkniętych oczach już zdaje sobie sprawę, że powinna wyeliminować konkurencję.

Niektórzy rodzą się jako władcy.

Tak się zaczyna walka o przeżycie – wyjaśniłby mi zapewne Pitagoras. Ale na razie mam inne sprawy na głowie niż uczestnictwo w dyskusjach z moim syjamskim mentorem. Rozlega się dzwonek do drzwi wejściowych. Wychodzę z piwnicy, żeby sprawdzić, co się dzieje. Ku mojemu niezadowoleniu Nathalie ponownie przyjmuje Thomasa.

Po epizodzie z butami łudziłam się, że pozbyłam się go na zawsze. Moja służąca przemawia do niego przejętym tonem i – co mi się nie podoba – wielokrotnie powtarza moje imię. Następnie prowadzi go do piwnicy, gdzie kocięta miauczą, znów domagając się jedzenia.

Biegnę, żeby stanąć w ich obronie, ale jest już za późno. Thomas pochyła się i przygląda im się z miną, która wcale mi się nie podoba.

Przyjmuję pozycję do ataku, z rozszerzonymi źrenicami, wąsami przy policzkach, uszami po sobie, najeżonym i zagiętym ogonem. Napuszam się i wyginam grzbiet, otwieram paszczę, odsłaniając kły, wysuwam pazury i drapię w podłogę.

*Nie zbliżaj się!*

Jestem gotowa rzucić się na Thomasa, ale on zamiast uciekać albo walczyć, wybucha śmiechem, pokazuje na mnie palcem i powtarza moje imię.

Mam wrażenie, że ten człowiek nie zrozumiał jeszcze, z kim ma do czynienia.

Mnożę onieśmielające pozycje, żeby mu pokazać, jak bardzo jestem zdeterminowana. Przeraziłyby każdego, ale najwyraźniej nie jego. Wzruszywszy ramionami, wyciąga długopis z laserem i celuje nim prosto przede mną.

Och nie, tylko nie to! Tylko nie punkcik czerwonego światełka! Kto może oprzeć się takiej pokusie?

Naturalnie nie mogę się powstrzymać przed próbą złapania niepokojącego punktu, który wciąż się przemieszcza. Muszę za wszelką cenę dopaść to czerwone światło, chociaż wiem, że to Thomas nim steruje. Kieruje promień na mój ogon i, jak poprzednio, kręcę się wokół własnej osi, starając się go pochwycić.

Dywersja umożliwia Nathalie zabranie czworga moich kociąt. Kiedy dochodzę do siebie, ona i Thomas są już w łazience, za zamkniętymi drzwiami. Pędzę tam i skaczę do klamki. (Że też nie umiem otwierać drzwi!)

Słyszę miauczenie moich kociaków.

Na próżno usiłuję zatopić pazury w drewnianych włóknach. Zza drzwi dobiega mnie odgłos wody lejącej się do umywalki.

Nathalie wychodzi pospiesznie i zamyka za sobą drzwi, zanim mam czas wślizgnąć się do środka. Próbuje mnie pochwycić, ale nie pozwalam jej się do mnie zbliżyć.

Coraz silniej drapię w drzwi. Nie wiem, co dzieje się w łazience, ale wiem, że muszę zrobić wszystko, żeby temu zapobiec. Moje kocięta miauczą i ja również. Wysuwam pazury na całą długość i rozoruję drewno drzwi.

Nathalie schodzi do piwnicy, sięga po jedyne ocalałego kotka, pomarańczowego, głaska go, jak gdyby chciała mi pokazać, że właśnie tego lubi.

A co z pozostałymi?!

Nathalie chyba pojmuje moje pytanie, bo przemawia do mnie niezrozumiałym ludzkim językiem o łagodnej intonacji.

Po drugiej stronie drzwi do łazienki miauczenie umilkło.

Nagle rozlega się charakterystyczny odgłos spłukiwanej wody w toalecie.

Przenika mnie dreszcz przerażenia.

Potem kolejny szum spłuczki. Po nim trzeci i czwarty.

Nie! To niemożliwe, nie zrobił tego!

Wreszcie Thomas otwiera drzwi. Ani śladu jakiegokolwiek kocięcia.

GDZIE ONE SIĘ PODZIAŁY?

Thomas doprowadził do zniknięcia czworga moich dzieci!

Skaczę na niego, z łapami naprzód, celując w twarz. Ale zanim zdołałam przeorać mu oczy ostrymi pazurami, on odpycha mnie gwałtownie na ścianę.

Ach, jakże niesprawiedliwa jest władza ludzi, wynika tylko z faktu, że są

więksi, dwunożni i mają ręce zakończone dłońmi o przeciwstawnych kciukach...

Przypuszczam kolejny atak, który Thomas blokuje tym razem nogą. Następnie Nathalie chwyta mnie, uniemożliwiając mi zemstę. Przemawia do mnie łagodnie, mam wręcz wrażenie, że łka, po jej policzku chyba spływa łza. Czy lituje się nade mną? Dlaczego więc nie staje w mojej obronie? Mimo moich protestów odnosi mnie do piwnicy i zamyka za sobą drzwi.

Zdrajczyni.

Rozumiem już teraz, że sprowadziła Thomasa wyłącznie po to, żeby zabił moje małe, bo sama nie miała odwagi tego zrobić.

Siedzę w ciemności, roztrząsając swoją złość. Nienawidzę jej. Jakim prawem pozwala sobie wycinać jądra samcowi i wykraść dzieci matce? Ten gatunek musi uważać się za znacznie lepszy od nas, skoro zachowuje się w stosunku do nas z taką pogardą!

Nienawidzę ludzi.

Jak mogli mi to zrobić?

Obmyślam zemstę. Chcę ich śmierci. Wszystkich. Niech więc się zniszczą wojną i terroryzmem. Nie, to potrwa zbyt długo, muszę zaatakować szybko.

Moja wściekłość jest tak wielka, że niszczę wszystko, co wpadnie mi w łapy w piwnicy. Przewracam słoiki z konfiturami, tłukę butelki z winem, rozdieram każdą tkaninę czy papier.

Za kogo uważają się ci ludzie! Zmienili las i trawę w cementowe miasto, zmienili drzewa w meble, a nas zmienili w zabawki, które można wyrzucić!

Czyż nie jesteśmy dla nich istotami, które trafiają do śmietnika po użyciu, jak wszystkie inne przedmioty, których pozbywają się, kiedy te przestają ich już bawić?

**NIENAWIDZĘ GATUNKU LUDZKIEGO.**

Nie chcę z nimi rozmawiać, chcę ich tylko zniszczyć. Wszystkich. Niech żaden się nie ostanie. Nawet Nathalie.

Uspokajam się. Oddycham.

Zniszczywszy możliwie najwięcej przedmiotów w piwnicy, wycieńczona, wciskam się w kąć, gdzie schowałam moje młode z nadzieją, że uda mi się je zachować. W powietrzu unosi się jeszcze ludzki zapach.

W końcu zasypiam. Znów śni mi się, że jestem egipską boginią Bastet. Jestem w świątyni w Bubastis. Mam nogi, stopy w butach, suknię, biżuterię dość podobną do mojej obroży z GPS-em, ale ze znacznie większym wisiołem.

Tysiące ludzi chylą przede mną czoła i czczą mnie, skandując moje imię.

„Bas-tet! Bas-tet!”

Proszę, żeby złożyli mi swoje dzieci w ofierze. Matki przynoszą mi je w koszykach. Wydaję polecenie, żeby ocalić tylko jedno na pięcioro – co pozwoli stworzyć nowe pokolenia usługnych i uległych. „Najlepiej oszczędzajcie rudzielców”.

Noworodki wyrzucane są do olbrzymich toalet, a ja spuszczam wodę, unicestwiając jedne po drugich.

Pitagoras miauczy mi u boku.

– Jesteś surowa, Bastet.

– Zachowując się jak oni, być może sprawię, że uświadomią sobie, co robią.

Następnie proszę ludzkich samców, żeby ustawili się gęsiego. Moi strażnicy zabierają ich po kolei. Następnie mężczyźni wracają z bandażem wokół bioder, niosąc słoje, w których pływają beżowe kulki.

– Możecie je odtąd podziwiać do woli. Jeśli chcecie, możemy je oprawić, będziecie nosić je na szyi w formie naszyjnika – oznajmiam im wszystkim wspaniałomyślnie.

Następnie daję znak moim strażnikom, żeby rozdrażnili Thomasa czerwonym nieustannie poruszającym się światłem lasera. Walczy ze sobą, nie potrafi jednak uciec przed męką. Skacze i biega za światłem, aż w końcu czerwony punkcik zatrzymuje się na jego ramieniu, wtedy Thomas wgryza się w nie aż do krwi, a ja wybucham śmiechem.

Następnie proszę, żeby przyprowadzono do mnie służącą Nathalie. Chyli się do moich stóp.

– Wybacz mi, Bastet, nie wiedziałam – mówi, miaucząc w moim języku.

– Za późno na żal.

– Litości, Bastet!

– Niegdyś może i bym się nad tobą zlitowała, gdyż byłaś utalentowaną służącą, ale to, co zrobiłaś, jest nie do naprawienia.

Rozkazuję moim strażom zamknąć ją w pomieszczeniu, w którym nie sięga ona do klamki u drzwi. Nathalie skacze, drapie drewno, ale nie udaje jej się wyjść.

Pitagoras dotyka mojego ramienia.

– Jesteś zbyt okrutna względem ludzi, w końcu skazywali nas na mękę nieświadomie.

Odpowiadam z powagą:

– Wszyscy ludzie zapłacą za morderstwo czworga kociąt. Powinni byli się zastanowić, zanim popełnili takie okrucieństwo.

Budzi mnie skrzypienie piwnicznych drzwi. Na szczycie schodów, pod światło, pojawia się czyjaś postać. Zbieram się w sobie, gotowa skoczyć w kierunku twarzy

nowo przybyłej dwunożnej istoty.

To Nathalie. Trzyma w ramionach pomarańczowego kotka i wymawia „Angelo”, głaskając go.

Ponieważ powtarza kilkakrotnie to imię, domyślam się, że tak go nazwała.

Kotek miauczy, bo jest głodny.

Nie mam odwagi zaatakować.

Jestem rozdarta.

Pozwalam służącej umieścić małą puszystą rudą kulkę przy moim brzuchu i natychmiast odczuwam ulgę, gdy wsysa się we mnie wygłodniały pyszczek.

Kładę się, żeby zapewnić mu wygodniejszą pozycję.

Zemsta może poczekać.

Taki już mój los, nie wybrałam swojej służącej, nie wybrałam domu, nie wybrałam imienia, nie wybrałam samca, nie wybrałam kotka, który ocaleje.

Odsuwam od siebie nasyconego Angela i pozwalam mu zasnąć w kącie. Następnie wykorzystuję fakt, że drzwi do piwnicy zostały uchylone, i krążę po domu.

Nathalie usadowiła się w kuchni.

Je posiłek w samotności. Thomasa nie ma.

Ponieważ drzwi są otwarte, wchodzę do łazienki.

Pochylam się nad muszlą klozetową i chłopcę stojącą w niej wodę, żeby sprawdzić, czy znajdę w niej jeszcze trochę „ich” smaku. Następnie podchodzę do rolki papieru toaletowego i rozwijam ją pazurami na całą długość. Rozrywam papier i zbijam w małe kuleczki (zazwyczaj to bardzo wkurza Nathalie). Następnie ruszam w stronę kanapy, zrywam z niej pompony i tępię pazury na aksamicie, wyrywając duże kawałki miękkiej i białej materii. Co jeszcze mogłabym zniszczyć, żeby ją ukarać?

Przewracam wazon, który rozpryskuje się na kawałki.

Atakuję liście zielonej rośliny przy wejściu, przeżuwam je i wypluwam (proszę, służąco, oto co robię z twoim filodendronem!). Gryzę kabel myszki od komputera na jej biurku, następnie ten od wieży stereo, aż... przyjmuję w zęby wyładowanie elektryczne. Ponieważ i to wydaje mi się niewystarczające, udaję się do sypialni, gdzie obficie zraszam moczem poduszkę na jej łóżku.

Na koniec rozrzucam piasek z kuwety wraz z odchodami, używając tylnych łap (jak gdybym była psem) i wymiotuję lepкими kulkami kłaków do jej torebki.

Wreszcie, zmęczona zniszczeniami, wracam do Angela i pomagam mu umieścić się przy moich sutkach. Niełatwo jest być zarazem matką i wojowniczą mścicielką! Mały znów jest głodny. Zdaje się kompletnie nie zwracać uwagi na to, że zniknęli jego bracia.



– Smacznego, Angelo. Ty nic nie zawiniłeś.  
Kładę łapę na jego sercu i wyczuwam lekkie bicie.  
Życie.  
Wszyscy jesteśmy wehikułami pomagającymi życiu rozprzestrzeniać się.

## Bez pożądania nie ma cierpienia

Czas mija i każdego dnia niszcę jeden – mam nadzieję cenny – przedmiot w domu. Podoba mi się przenikliwy odgłos szkła rozbijającego się na podłodze. Lubię też szelest gąbki, kiedy wysypuje się z poduszek rozoranych moimi pazurami. Wolę, kiedy mają frędzle. Sukienki i płaszcze służącej? Przerabiam je, tworząc w nich dziury. Rajstopy w koszu na brudną bieliznę? Lubię je pruć i robić z nich duże motki. Następnie zatapiam w nich kły, jak gdyby chodziło o dojrzały owoc. Nie sądzę, żeby ostała się tu choć jedna nietknięta zielona roślina. Jeśli są obdarzone świadomością, muszą mnie nienawidzić.

Ale mój zamiar systematycznej destrukcji zdaje się nie wzruszać mojej służącej. Nathalie (być może dla czystej prowokacji) okazuje mi mnóstwo względów. Mam prawo do większej ilości pożywienia, pieśczot, miłych słów, a drzwi pozostają odtąd zawsze otwarte.

Uwielbia mojego pomarańczowego kotka, którego otacza opieką, obsypuje pocałunkami i pieśzczotami. A on piszczy, kiedy tylko Nathalie podrapie go po szyi.

Odkąd siódmego dnia Angelo otworzył oczy, jego zachowanie się zmieniło. Nie tylko coraz częściej podgryza mi sutki, i to coraz boleśniej (rosną mu zęby), lecz także wszędzie biega i uderza mnie łapą.

Uważacie to za normalne, żeby kocię maltretowało własną matkę?

I gdyby jeszcze bił tylko mnie! Podrapał też Félix. Zawsze uważałam, że stare samce powinny uczyć młode polowania i szacunku dla starszych, ale obawiam się, że w przypadku Angela sprawa jest przegrana.

Ten gruby leń Félix nie wypełnia swoich obowiązków i tylko je i śpi. Poza tym Nathalie dała mu do spróbowania kocimiętki i Félix zajada się nią bez ograniczeń. Sądzę, że narkotyk umożliwia najszybsze zapanowanie nad prostymi umysłami, takimi jak umysł kota angory. Félix pochłania kocimiętkę całymi kępkami, wacha ją, żuje, potrząsa głową, po czym nagle przetacza się na grzbiet i odgrywa ekstazę. Z pewnością nie pomoże mu to w wypełnianiu obowiązków ojca. Częstuje mnie, ale nie trzeba wielkiej inteligencji, żeby pojąć, że karmiąca matka nie powinna przyjmować środków halucynogennych.

Czekam, aż poczuję się nieco lepiej, żeby odnowić kontakt z Pitagorasem.

Na ulicy rozlega się ludzki krzyk, po którym następuje detonacja. Jestem rozdarta między ciekawością a potrzebą karmienia. Trudno. Uwalniam się od mojej jedynej progenitury. Umieszczam Angela na mojej poduszce, żeby wyczuwał mój zapach, po czym wspinam się na piętro i wychodzę na balkon.

Na ulicy krzyczą ludzie. Jeden człowiek grozi innemu bronią. Mówią coś szybko. Następują dwa strzały, jeden człowiek upada, a drugi ucieka.

Widok ludzkiego szaleństwa fascynuje mnie równie mocno, jak telewizja fascynuje Nathalie.

Wokół człowieka leżącego na ziemi powiększa się kałuża krwi. Jestem zdziwiona, że ciało może zawierać takie ilości płynu.

Wkrótce pojawiają się inni ludzie wydający z siebie przeróżne krzyki. W końcu furgonetka zabiera ciało tego, który upadł, a pozostali się rozchodzą.

Co osobliwe, po raz pierwszy dociera do mnie, że śmierć ludzi już mnie wcale nie wzrusza. Dawniej czułam lekkie ukłucie, zakłopotanie, przykrość, kiedy jeden z nich cierpiał lub upadał, teraz jest mi to obojętne.

Czy stałam się nieczuła?

Myślę, że będę potrzebowała czasu, żeby przetrwać szok związany ze stratą moich dzieci. Poza tym sądzę, że podobnie jak Nathalie przyzwyczyłam się do ludzkiej przemocy i uznaję ją za coś nieuniknionego.

Zwracam głowę w stronę sąsiedniego domu i widzę Pitagorasa obserwującego scenę z balkonu.

Zbiera się w sobie, bierze rozpęd i jednym susem pokonuje przestrzeń między naszymi dwoma domami, lądując w piękny sposób na balustradzie mojego balkonu.

Pocieramy się nosami, po czym on wykonuje ten delikatny ruch, zsuwając głowę wyposażoną w Trzecie Oko w zagłębienie mojej szyi.

– Wiem, co cię spotkało – oznajmia. – Twoja służąca rozmawiała z moją. Utopili czworo twoich kociąt. Wiedziałem, że jesteś smutna i nie chciałem ci przeszkadzać, żebyś mogła przeżyć swoją żałobę.

– Zemszczę się.

– Nie zadawaj sobie tego trudu. Widziałaś przed chwilą, że oni niszczą samych siebie. Stało się, to już nie terroryzm, lecz wojna domowa ogarnia nasze miasto. Po co się męczyć i podejmować ryzyko starcia? Na razie zajmij się przekazywaniem Angelowi umiejętności ewoluowania w mutującym świecie.

Proponuję Pitagorasowi, żeby wspiał się ze mną na dach.

Siadamy na ciepłych dachówkach, opierając się o komin.

– Myślałem o tobie wczoraj wieczorem – mówi. – Moja służąca oglądała film w telewizji, *Catwoman*. To historia dzisiejszej kobiety, która zachowuje się jak kot,

i stwierdziłem, że to rodzaj współczesnej Bastet.

– Co to jest „film”?

– Historia, która pojawia się w telewizorze, ale nie przedstawia rzeczywistości.

Powstaje w wyobraźni scenarzysty.

– Jak się zachowywała ta twoja „Catwoman”?

– Biła się z ludźmi i wygrywała wszystkie walki.

Kołyszę głową. Przenika mnie niekontrolowany dreszcz.

– Bić się. Wciąż chodzi o bicie się. Dlaczego świat jest taki brutalny?

– Być może, gdyby nie istniała przemoc, nudzilibyśmy się. Dni byłyby do siebie podobne. Wyobrażasz sobie, jak by to było, gdyby codziennie była ładna pogoda? Przemoc jest trochę jak burza. Nagle eksplodująca koncentracja energii. Kiedy się wyładowuje, czarne chmury zmieniają się w krople deszczu, a kiedy wszystkie krople spadną, burza się kończy i wracają piękne dni. Przemoc jest wszędzie. Nawet rośliny walczą. Bluszcze duszą drzewa. Liście konkurują ze sobą, kradnąc sobie dostęp do promieni słońca.

Przypomina mi się mężczyzna ubrany na czarno, który zabijał ludzi przed szkołą podstawową, wracam myślami do obrazów, jakie moja służąca oglądała w telewizji, wspominam historię Kambyzesa II, który atakował z żywymi kotami przytwierdzonymi do tarcz... Zwykle burze?

– Moim zdaniem przemoc wynika z prastarych instynktów, drapieżcy i zwierzyny. Z początku potrzeba destrukcji służyła walce o przeżycie. Byli silni i słabi, dominujący i zdominowani, ale później przemoc straciła sens bytu i teraz jest tylko formą odreagowania. Myślę, że ludzie odczuwają potem ulgę, jak gdyby oddali moc.

– Ależ to głupie!

– Nie sądzisz, że sama stosujesz swego rodzaju przemoc wobec pcheł, kiedy drapiesz się za uchem? Te niewinne insekty nawet nie wiedzą, kim jesteś.

– Pchły! Ale to tylko małe...

– Dlaczego rozmiar miałyby coś zmieniać? Nie uważasz, że wszystko, co żyje, obdarzone jest świadomością?

– Owszem.

– Więc dlaczego te pchły miałyby jej nie mieć?

– Nie można porównywać śmierci moich kociąt, ludzi, którzy zabijają się nawzajem na ulicy, i pcheł!

– Dlaczego nie? Wiesz, Bastet, być może nasza planeta również jest żywym organizmem i dla niej ludzie, tak jak i koty, są tylko pasożytami mrowiącymi się na jej powierzchni, przyprawiającymi ją o śwędzenie.

– Ziemia nie jest zwierzęciem.

– Moim zdaniem posiada swego rodzaju świadomość. Jest ciepła, oddycha, żyje. Posiada atmosferę, roślinną sierść, ma...

– Nie można tego porównywać.

– Każdy z nas patrzy z perspektywy własnego gatunku. My, koty, widzimy innych z naszego punktu widzenia: życie kotów jest więc święte.

– Pchły też muszą uważać się za święte.

– Planecie zależy zapewne przede wszystkim na jej własnym życiu.

Nigdy nie posuwałam się tak daleko w moich rozważaniach, ponieważ ograniczałam się do „widzialnego” świata. Pchły i planeta były mi obojętne po prostu dlatego, że nie mogłam ich zobaczyć.

Po raz kolejny Pitagoras wyprzedził mnie sposobem myślenia.

Nie mogę powstrzymać się przed podrapaniem się pod brodą, żeby przepędzić pchły. Odczuwam ulgę i łatwiej jest mi się odnieść do ostatnich wydarzeń.

– Naprawdę sądzisz, że wojna ludzi mogłaby doprowadzić do ich całkowitej eliminacji, bez konieczności naszej interwencji?

– Opracowali nowe systemy destrukcji: trujące gazy, śmiertelne wirusy, promieniowanie bomb atomowych, nie mówiąc już o swego rodzaju „praniu mózgu”, dzięki któremu ludzie stają się jeszcze większymi fanatykami, obojętnymi na własną śmierć. Fanatyzm jest być może najskuteczniejszą bronią masowego rażenia.

– „Pranie mózgu”? Naprawdę myją sobie mózgi?

– Nie, to wyrażenie: powtarzając w kółko nieprawdę, w końcu przekonujesz innych, że masz rację.

– Przyszło mi do głowy zdanie, które to podsumowuje: „Kiedy jest się przyzwyczajonym do kłamstw, prawda wydaje się podejrzana”.

– Obecnie ludzie wmawiają tym bardziej naiwnym, że zabijając wielu swoich współbraci, otrzymają niesamowitą nagrodę w niewidzialnym świecie po śmierci.

– I to działa?

– Wystarczająco, żeby podać wszystko w wątpliwość. Nikomu do tej pory nie udało się udowodnić, że nie mają racji, więc duchowni przekonują coraz więcej młodych ludzi, żeby zabijali, jeśli chcą dostać się do rajów.

– Czy to może doprowadzić do totalnej zagłady?

– Nie można ich nie doceniać. Ludzie potrafią przetrwać wszystko. Zawsze udawało im się dostosować do najtrudniejszych sytuacji. Przy każdym kryzysie pojawiały się istoty wystarczająco inteligentne, żeby umożliwić społeczeństwu odrodzenie się.

Pocieram pazurami o dachówki aż do bólu.

Pitagoras wzdycha.

Spoglądałam mu prosto w oczy: coraz bardziej mnie pociąga.

– Wygłoszę ci czwartą lekcję historii. Na czym to skończyliśmy?

Nadstawiam uszu.

– Ostatnia lekcja była o tym, że nasi przodkowie zaczęli osiedlać się na dużych terytoriach dzięki handlującym ludziami – przypominam mu.

– Następnie to wojskowi pomogli kotom rozprzestrzeniać się po świecie. W trzysta trzydziestym roku przed Jezusem Chrystusem greccy żołnierze opanowali wielkie królestwo Egiptu (i małe królestwo Judei), przejęli zapasy żywności, bogactwa, płodne samice i koty. Grecy używali do tej pory fretek, łasic i kun, żeby chronić zbiory i domy, jednak te zwierzęta miały swoje wady: nie tylko były agresywne i trudne do udomowienia, ale na dodatek śmierdziały.

– Nie mogę zrozumieć braku higieny otaczających nas zwierząt.

– Grecy, lud wojowniczych najeźdźców, mieli psy wytresowane do polowań i wojny, ale zajęli się hodowlą kotów, które wręczali w prezencie samicom, chcąc je uwieść.

– Jak zwykle.

– Jeden z ich słynnych poetów, Arystofanes, opowiada, że w stolicy Grecji, Atenach, znajdował się targ przeznaczony tylko do sprzedaży kotów, które były zresztą bardzo drogie. Do czcicieli egipskiej bogini Bastet dołączyli greccy wyznawcy bogini Artemidy, która otrzymała tytuł „królowej kotów”.

– Czyli Grecy ostatecznie zrozumieli, że jesteśmy godne oddawania nam czci...

– Następnie Rzymianie (inny wojowniczy lud żyjący na zachodzie) podbili Grecję, przejęli jej kulturę, technologię, bóstwa i... koty. Grecka bogini Artemida stała się rzymską boginią Dianą, także królową kotów. Rzymianie również uwodzili swoje samice, wręczając im w prezencie koty, tak jak się wręcza kwiaty czy smakołyki.

– Ale... czy nas kochali?

– Nieważne, zajęliśmy miejsce w ich domach i tylko to się liczyło. Psy sypiały na zewnątrz, a my w ciepłe, przy ogniu.

– Zatem nas kochali.

– Płodność naszych przodków pociągnęła za sobą szybki przyrost populacji. Z początku tylko bogaci Rzymianie posiadali koty, wkrótce mieli je już wszyscy. Legioniści zwykle wyruszali na wojnę z własnymi kotami.

– Nie żeby je przyczepiać do tarcz, mam nadzieję.

– Zabierali je, żeby mieć przy sobie przyjazną istotę podczas obozowania w trudnych warunkach. Dlatego też ekspansji Imperium Rzymskiego towarzyszyło rozprzestrzenianie się kotów.

– Sądziłam, że było to dzieło hebrajskich kupców.

– Ci ostatni docierali jedynie do miast portowych i stref przybrzeżnych. Rzymscy żołnierze zapuszczali się na równiny, w góry i doliny. Podbijali tereny położone w głębi lądu. Mieszkańcy tych regionów odkrywali koty po raz pierwszy.

– A rzymscy żołnierze jednocześnie okradali ich i zabijali?

– Widzę, że zaczynasz pojmować pewne paradoksy ludzkiej logiki. Rzymianie uznawali koty za symbole wyrafinowania swojej cywilizacji. Niektóre legiony umieszczały nawet głowę kota na swoich godłach. Najdziwniejsze jest to, że dowódca, który przyprowadził armię rzymską tutaj, do Francji (wówczas nosiła ona miano Galii), nienawidził kotów. Nazywał się Juliusz Cezar i cierpiał na chorobę zwaną „ailurofobią”: sama nasza obecność wywoływała u niego paniczny lęk.

– Tylko jeden człowiek dowodził całą armią?

– Ludzie to istoty stadne, a w tamtym okresie podążali za tym Juliuszem Cezarem. Wraz z ekspansją Imperium Rzymskiego koty rozprzestrzeniły się po całej Europie, a kult kotów pojawiał się spontanicznie wśród odkrywających nas ludów.

– Kult Bastet? Artemidy? Diany?

– Boginie nosiły inne imiona w różnych krajach. W Galii Celtowie, Wizygoci i Owerniacy oddawali nam wyjątkową cześć. Ale w trzysta trzynastym roku Imperium Rzymskie przyjęło religię chrześcijańską, monoteistyczną, gdzie czci się tylko jednego boga o ludzkiej postaci. W trzysta dziewięćdziesiątym pierwszym roku nowy przywódca Rzymian, cesarz Teodozjusz I, zakazał oficjalnie kultu kotów i ogłosił, że powinny być traktowane jako złowróźbne zwierzęta.

– Co to znaczy „złowróźbne”?

– Związane z siłami Zła. Od tamtej pory każdy mógł nas zabijać, nie musząc się tłumaczyć ani przeproszać. Co gorsza, zostałyśmy uznane za zwierzęta szkodliwe i eliminowanie nas, podobnie jak karaluchów, szczurów czy węży, należało do obowiązków obywatelskich.

– Ten Teodozjusz I miał naturę Kambyzesa II...

– Ale wieśniacy trzymali nas nadal, żeby chronić zbiory, a hebrajscy kupcy wciąż zabierali nas w podróże na swoich statkach i w karawanach.

Zbliżam się do Pitagorasa, żeby go powąchać.

– Skąd wiesz to wszystko? Jakim sposobem potrafisz ich tak dobrze zrozumieć?

– Pewnego dnia powierzę ci sekret mojego Trzeciego Oka.

– Kiedy?

– Kiedy uznam, że jesteś gotowa. Na razie cenię sobie, że mogę dzielić się tymi informacjami. Jeśli umrę, będziesz musiała przekazać moje nauki innym kotom.

Pocieram pyszczkiem o jego szyję, pokładam uszy po sobie na znak uległości, po czym odwracam się i podnoszę wysoko ogon.

– Zrób mi dzieci, które zastąpiłyby mi te utracone.

Czekam, ale on nic nie robi.

– Nie podobam ci się? – pytam.

– Postanowiłem poświęcić życie wiedzy i odciąłem się od pierwotnych potrzeb, takich jak jedzenie czy seks.

– Czy z tym związana jest twoja tajemnica?

– Przyjąłem zasadę: „Bez pożądania nie ma cierpienia”.

– Boisz się cierpieć, jeśli będziesz się ze mną kochał?

– Boję się, że poczuję taką rozkosz, iż uzależnię się od ciebie. Tymczasem czerpię inną satysfakcję: jestem wolny i oderwany od wszystkiego. Nikt i nic nie jest mi niezbędne. Tym się szczycę.

Spoglądam na niego inaczej. Ma tę dziwną przykrywkę z fioletowego plastiku na czubku głowy. Wiem, że pod nią znajduje się otwór prowadzący aż do mózgu. Może to mu zniszczyło umysł. Może jest szalony i wymyślił wszystko, co mi opowiada. A ja, naiwna, chłonę jego słowa.

A jednak jego opowieść o spotkaniu dwóch gatunków wydaje się wyjątkowo spójna. Jeśli to wymyślił, to jest autorem skomplikowanego systemu o solidnej logice.

Pozostaje jedno pytanie: dlaczego odmawia współżycia ze mną?

Żaden zdrowy na umyśle samiec nie potrafiłby oprzeć się widokowi mojego odsłoniętego zadu. Jestem przecież młoda i olśniewająca, z gęstym i miękkim futrem, tymczasem on jest starym kotem syjamskim o krótkiej i szarej sierści. Niemożliwe, że nie wzbudzam w nim natychmiastowego fizycznego pożądania.

– Weź mnie, tutaj, natychmiast! – rozkazuję.

On nawet nie drgnie.

– Nie chcesz mnie, bo tobie także wyjęli jądra i wsadzili do słoja, tak?

Pitagoras kładzie się na plecach i eksponuje swoje męskie atrybuty – stwierdzam, że są nienaruszone.

– Więc dlaczego nie chcesz się ze mną kochać?

– „Bez pożądania nie ma cierpienia” – powtarza tonem, który coraz bardziej mnie złości.

– Nie wiesz, co tracisz – odpowiadam, nieco urazona.

– Owszem, wiem, i właśnie dlatego wolę ci odmówić – odpowiada.

Rozżalona jego zachowaniem postanawiam wrócić do domu.

Mam wielką ochotę na seks. Jak zaspokoić popęd? Czy powinnam wyruszyć w miasto i oddać się pierwszemu lepszemu dachowcowi?



Od czasu porodu mam wielką potrzebę przypominania sobie, że nie jestem jedynie matką, ale też samicą.

Ostatecznie wracam do koszyka i oddaję się zmysłowym marzeniom.

## Niesmak

Budzi mnie Angelo.

Zaczyna mnie na serio denerwować. Ssał mnie, jeszcze kiedy spałam, a teraz wygina i gryzie moje wąsy (nie znoszę, kiedy ktoś dotyka moich wąsów).

Zero szacunku dla matki.

Czekam, aż znajdzie się w odpowiedniej odległości, i wymierzam mu cios łapą (mimo wszystko ze schowanymi pazurami), który rzuca nim o podłogę. Oto jak pojmuję nowoczesny model edukacji. Społeczeństwo, w którym nowe pokolenia nie szanowałyby tych, którzy dali im życie, byłoby przegrane.

Angelo wraca, żeby mnie drażnić, więc uderzam go ponownie.

Myślę, liżąc się, że problem leży w komunikacji. Czasami trzeba coś powtórzyć, żeby zostać zrozumianym. Źle się komunikuję z synem. Źle się komunikuję z moim człowiekiem. Źle się komunikuję z moim samcem. Źle się komunikuję z... zarozumiałym kotem syjamskim z sąsiedztwa, który z kolei... gardzi mną.

Dobiegają mnie odgłosy z ulicy. Zaczyna się widowisko. Odnajduję swoje miejsce w kącie balkonu i obserwuję. Tym razem grupa ludzi ściga jednego faceta. Doganiają go i okładają pięściami. Przypomina to sytuację z wczoraj, z tym że teraz jest ich więcej. Przyglądam się scenie, trzy osoby mają noże i wykrzykują slogan, który podejmują pozostali.

Następnie znów pojawiają się ludzie w granatowych mundurach, żeby obronić człowieka leżącego na ziemi, a inni osobnicy w kolorowych strojach pomagają trzem mężczyznom i wszyscy biją się na kije i noże. Po raz kolejny rzucają pociskami i rozprzestrzenia się drażniący dym.

Trudno, nawet jeśli mam kaszleć, zostanę, chcę zobaczyć, jak to wszystko się skończy.

Jeden z członków grupy trzech mężczyzn wyciąga broń. Słychać strzał, po czym jedna z sylwetek w granatowym mundurze pada na ziemię.

Wychyliam się, żeby zobaczyć dokładnie dalszy przebieg zdarzeń.

Pojawiają się posiłki w granatowych strojach. Ci z naprzeciwka również nadbiegają. Trzecia grupa ludzi, różniąca się od dwóch pierwszych, zaczyna strzelać. Słychać krzyki, kolejne strzały. Panuje całkowite zamieszanie.

Mam wrażenie, że wyciągają nieznaną mi, większą broń, która powoduje też

większe szkody. W pewnej chwili jeden z mężczyzn dobywa rurę zakończoną gruszką i strzela w kierunku jednego z domów. Ten wybucha i zapada się wśród chmury pyłu.

Ci z naprzeciwka natychmiast odpowiadają. Ciężarówka z wieżyczką rozpoczyna ostrzał i wysadza w powietrze samochody, za którymi ukrywają się ludzie.

Walczący w zielonych mundurach przybywają z pomocą tym w granatowych strojach. Pitagoras mówił, że to sygnał, po którym można rozpoznać początek wojny.

Ludzie biegną, krzyczą, strzelają. Słyszę też wybuchy w okolicy.

Ludzie chowają się za murami albo za samochodami – niektóre płoną. Strzelają z dachów. W powietrzu unosi się zapach spalenizny.

Nagle cały ten zamęt, niczym burza, ustaje gwałtownie. Ci, którzy mogą – uciekają, pozostali leżą nadal wśród ruin. Zapada cisza.

Nathalie nie wróciła.

Wciąż obserwuję ulicę. Jeden ranny człowiek czołga się, inny, również mocno pokiereszowany, pełza w jego kierunku. Dopadają się, tarzają, usiłują gryźć.

Wszystko to wydaje mi się niewiarygodne. Czy ludzie kiedykolwiek znów będą się lubić? Powinnam pomruczeć na bardzo niskiej częstotliwości, żeby uspokoić ich wojownicze zapędy i zachęcić do odpoczynku.

Być może to właśnie zrobiła swego czasu bogini Bastet. Widząc ludzką rozpacz, ich przytłaczającą potrzebę ograniczenia swojej liczebności, zaproponowała im usypiające wibracje. W podzięce oni zbudowali dla niej świątynię i zaczęli ją czcić.

Fala. Tak, jestem pewna, musi istnieć fala miłości, którą mogłabym emitować, mrużąc, żeby uspokoić te wszystkie napięcia, które wyczuwam wokół siebie.

Po długim czasie Nathalie wreszcie pojawia się w progu domu.

Objuczona jest torbami z jedzeniem, które stawia w korytarzu przy wejściu. Wydaje się zdenerwowana. Ma rozczochraną grzywę, często mruga powiekami, podarła ubranie. Wydaje się zdyszana.

Opada na fotel. Na jej policzkach widać ślady łez.

Jej umysł wibruje w całym tym zamieszaniu.

Zbliżam się, siadam jej na kolanach i zaczynam mrużać. Nathalie powoli odzyskuje uśmiech. My, koty, mamy moc wchłaniania wszystkich złych fal i przekształcania ich w dobre. Tam, gdzie psy wolą uciekać, my się sadowimy, chłoniemy, czyścimy. Na tym polega nasza moc „wibracyjnej higieny”.

Nathalie waha się, głaska mnie, a ja czuję pod jej silnie drżącą dłonią

namacalny strach.

Nagle moja służąca sięga po telefon. Mówi szybko, z tremolami w głosie. Imię „Sophie” powraca wielokrotnie, z czego wnioskuję, że rozmawia z sąsiadką.

Kilka chwil później przenosimy się wszyscy do domu Pitagorasa.

Rozumiem, że w czasie kryzysu dwie ludzkie samice postanowiły połączyć swoje zapasy żywności oraz koty.

Oczywiście niezbyt lubię zmieniać moje zwyczaje, ale okoliczności są wyjątkowe: muszę się przystosować.

Félix również nie marudzi. Angelo biega po nowym domu, znajdując dla siebie mnóstwo zabawek.

Wyrywa frędzle z dywanów.

Gryzie kable elektryczne, wspina się po firankach.

Dwie ludzkie samice zamykają drzwi wejściowe, przekręcając wielokrotnie klucz w drzwiach. Następnie przytwierdzają gwoździami deski do wszystkich okien i wyjść na zewnątrz. Zatykają nawet otwór dla kota.

Nie widać już ulicy, ale możemy mimo wszystko wychodzić na balkon w sypialni. Obie samice ustawiają mur obronny z mebli.

Po skończonej pracy zapalają papierosy, piją mocny alkohol i oglądają telewizję na ekranie trzy razy większym od tego w moim domu i na znacznie wyższym poziomie głośności. Obrazy w wiadomościach powtarzają się.

Pitagoras podchodzi miękkim krokiem i siada obok mnie.

– Czy nasze służące zarażą się destrukcyjnym popędem? – pytam go.

– Są bardziej inteligentne i lepiej wykształcone niż przeciętny człowiek. Dowodem na to jest fakt, że chronią nas i siebie w tym domu. Sophie wie też, że potrafimy być użyteczne w przypadku zranień, dzięki terapii mručeniem.

– Co to takiego?

– Chodzi o nową naukę, która bada wpływ niskich częstotliwości naszego mruczenia na zrastanie się złamanych kości.

Na zewnątrz eksplozje zostały zastąpione przez burzowe grzmoty. Wychodzimy na balkon, żeby podziwiać, jak deszcz zmywa cały ten brud z powierzchni planety.

W oddali burza huczy i produkuje nowe błyski.

Podczas gdy nasze istoty ludzkie oglądają wciąż wojnę w telewizorze, my obserwujemy pioruny, które chyba chcą pokazać ludziom, że zawsze będą miały nad nimi przewagę.

– Na razie nasze służące mają zamiar siedzieć tu w zamknięciu.

– Nathalie przyniosła zapasy żywności.

– A Sophie ma broń.

– Boję się – miauczę cicho.

Tulę się do Pitagorasa. Nienawidzę deszczu. Już sam jego odgłos wprawia mnie w drżenie od stóp do głów.

– Myślisz, że umrzemy?

– Kiedyś umrzemy, ale nie dzisiaj.

Jaśniejsza niż wcześniejsze – gdyż bliższa nas – błyskawica przecina niebo.

Przylegam do niego całym ciałem. Czuję, że serce bije mu mocno, i wtedy wyrywa mi się:

– Kocham cię... Pitagorasie.

– Ledwo się znamy, Bastet.

– Nigdy się nie kochaliśmy, to prawda, ale to ty odmawiasz.

– Masz Félixą.

– Félix nigdy mi się nie podobał. Nie wybrałam go. Narzucono mi go. Poza tym on już nie ma jąder.

– Gdybyśmy uprawiali miłość, przywiązałbym się do ciebie, a to byłoby przyczyną wielu problemów.

– Pokochajmy się tylko raz – proponuję. – Teraz. Zanim umrzemy.

Deszcz nasila się. Mam wrażenie, że Pitagoras ulegnie.

– Gdybym się z tobą kochał, nie umiałbym ograniczyć się do jednego razu – twierdzi.

Zaczynam go poznawać: jest sentymentalny. W końcu go zdobędę, a wtedy da mi wszystko, ale na razie lepiej wykazać się cierpliwością. Próbuję zmienić temat.

– Opowiedz mi dalszy ciąg historii naszych przodków.

Nie każe się dwa razy prosić.

– W dziewięćset pięćdziesiątym roku koty docierają do Korei (kraj położony jeszcze dalej na wschód niż Chiny), a w tysięcznym roku do Japonii (wyspa położona jeszcze dalej na wschód niż Korea) dzięki buddyjskim mnichom. Japoński cesarz Ichijō otrzymuje w prezencie kota na swoje trzynaste urodziny. Tak mocno przywiązuje się do zwierzęcia, że wszystkie damy dworu również ogarnia chęć posiadania kota i ten staje się atrybutem bogatych kobiet. Wobec rosnącego popytu cesarz Ichijō ogłasza oficjalny program reprodukcyjny, żeby wszystkich zadowolić.

Na zewnątrz pada rześisty deszcz.

– W tym samym czasie Europę atakują hordy czarnych szczurów z Azji. Wieśniacy wystawiają przeciwko nim armię kotów. I tym razem nasi przodkowie okazują się niezwykle skuteczni.

– Ale sądziłam, że uważano je za feralne.

– W rzeczywistości poza dużymi miastami były bardzo cenione. Kocie

odchody służyły do przygotowywania medykamentów, między innymi na spowolnienie wypadania włosów i zapobieganie symptomom epilepsji. Niektórzy znachorzy leczyli reumatyzm kocim szpikiem. Ich tłuszcz służył do łagodzenia hemoroidów.

– Ale żeby otrzymać tłuszcz i szpik, trzeba było je zabijać...

Pitagoras ciągnie, niewzruszony.

– W Hiszpanii polowano na koty, żeby je jeść. Królewski kucharz Ruperto de Nola wydał popularną książkę z przepisami, z których wiele bazowało na kocim mięsie.

Czy ja dobrze usłyszałam?

– Ludzie nas... jedli?

Pitagoras wzdycha.

– Nasze mięso było wręcz uważane za delikatniejsze niż królicze, do którego często je porównywano. Zazwyczaj podawano je z tymi samymi sosami i przyprawami.

Ogarniają mnie nudności, mam ochotę zwymiotować.

– To nie wszystko. Lutnicy sięgali po nasze jelita i robili z nich na przykład struny do gitar. Nazywali je „strunami z flaków kota”. Podobnie krawcy używali naszych skór do szycia futer, mufek, toczków i poduszek.

Wstrząsa mną dreszcz przerażenia.

Błyskawica rozświetla okolicę na ułamek sekundy.

– Nie przyniosło im to szczęścia. Padli ofiarą choroby zwanej „dumą”. Przenosiły ją szczury i to ona dokończyła zagładę ludzi za nas.

– Byłam przekonana, że przepędziliśmy szczury...

– Nie wszystkie. Ludzie posiadający koty byli lepiej chronieni przed chorobą, ale ci, którym towarzyszyły psy, pozostawali bezbronni. Między tysiąc trzysta czterdziestym ósmym i tysiąc trzysta pięćdziesiątym rokiem epidemia dżumy zabiła dwadzieścia pięć milionów ludzi, czyli połowę mieszkańców Europy.

– Dobrze im tak. Trzeba było nas nie jeść.

– Zamiast jednak podziękować naszym przodkom, ocalali doszli do wniosku, że to koty sprzysiężone z siłami zła sprowadziły na nich dżumę. Zabili naszych właścicieli, oskarżonych o to, że są czarownikami, a następnie same koty.

– Trzeba przyznać, że wszystko rozumieją na opak.

– Dekret papieża Innocentego VIII z tysiąc czterysta osiemdziesiątego czwartego roku głosił, że w noc świętojańską wszyscy przykładni chrześcijanie powinni łapać koty, włóczące się lub udomowione, i rzucać je na stos, żeby spłonęły żywcem.

– Co za głupota.

Nigdy nie brałam pod uwagę możliwości, że ludzie mogliby na zmianę kochać nas albo nienawidzić do tego stopnia.

Deszcz wciąż pada, a Pitagoras mówi, jak gdyby to wszystko wcale go nie wzruszało.

– Druga epidemia dżumy wybuchła w tysiąc pięćset czterdziestym roku. Po raz kolejny wyginęła połowa populacji i po raz kolejny ocalali właściciele kotów zostali oskarżeni o sprowadzenie tego nieszczęścia i zgładzeni.

– A ty mi mówiłeś, że ludzie są od nas inteligentniejsi...

– Musieli czekać jeszcze kilka stuleci, zanim lekarze zaczęli łączyć fakt posiadania kota z odpornością na epidemię. Wreszcie papież Sykstus V przestał uznawać koty za diaboliczne i pozwolił chrześcijanom na ich posiadanie. W tym czasie, zwanym „Odrodzeniem”, koty odzyskały pozytywny wizerunek we francuskim i europejskim społeczeństwie, a niektóre towarzystwa ubezpieczeniowe ogłosiły, że są one niezbędne do objęcia polisą żywności na statkach wypływających w morze.

Nagle deszcz ustaje. Chmury rozpraszają się i niebo się rozjaśnia. Nad nami pojawia się półokrąg złożony z kilku kolorów.

– To tęcza: reakcja zachodząca między promieniami słońca i powietrzem jeszcze przepelnionym wilgocią.

– Piękna.

– Ta planeta jest piękna. Codziennie odkrywam kolejne jej wspaniałości.

– Jesteś szczęśliwy?

– Oczywiście. Być szczęśliwym to doceniać to, co się ma. Być nieszczęśliwym to chcieć tego, czego się nie ma. Ja mam wszystko, czego chcę.

– Nie boisz się wojny?

– Moją jedyną obawą jest, że nie zdołam w pełni wykorzystać wszystkich moich umiejętności. O reszcie nie decyduję, ani o deszczu, ani o pięknej pogodzie, ani o błyskawicach, ani o tęczy, ani o wojnie czy pokoju.

W tym momencie naszą rozmowę przerywa huk eksplozji, po którym następują kolejne. Dochodzą z ulicy.

Wspinamy się na piętro i odkrywamy Nathalie i Sophie oparte o balustradę balkonu, uzbrojone w strzelby i ukryte za murem z mebli. Angelo wisi na zasłonie drzwi balkonowych, miaucząc, i prosi, żeby ktoś pomógł mu zejść. Nasze służące strzelają do innych ludzi ukrytych za samochodami na chodniku po drugiej stronie ulicy.

– To „rabusie” – oznajmia Pitagoras, który natychmiast pojmuję sytuację. – Prawdopodobnie chcą zgwałcić nasze służące, ukraść nasze jedzenie i nas zabić. Być może nie w tej kolejności.

Wymiana ognia trwa nadal.

– Chodź, Bastet. Trzeba działać. Użyjemy granatów – mówi Pitagoras.

Chwyta z koszyka z bronią czarny metalowy owoc i przenosi go w pysku, dając mi znak, żebym zrobiła to samo.

Podążam za nim. Przechodzimy po mokrych jeszcze dachach. Ślizgam się nieco po dachówkach. Kawałek dalej znajdujemy przejście prowadzące na ulicę i zachodzimy od tyłu tych, którzy strzelają do naszych służących. Pitagoras daje mi do zrozumienia, że powinnam położyć granat pod jednym z samochodów osłaniających napastników. Następnie pokazuje mi, jak można trzymać łapą granat, wrywając jednocześnie zawleczkę zębami.

Naśladuję jego gest.

– Mamy dziesięć sekund, chodź, Bastet, uciekajmy!

Nie wiem, czym jest sekunda, ale ponieważ on biegnie, pędzę za nim. Każe mi wspiąć się na drzewo i obserwować dalszy bieg wydarzeń. Siedząc na najwyższej gałęzi, jesteśmy świadkami dwóch eksplozji. Samochody rabusiów zostają zmiecione. Kawałki blachy latają w powietrzu i są rozrzucone po ulicy. Ludzkie ciała wiją się, po czym nieruchomieją.

Uświadamiam sobie, że po raz pierwszy w życiu... zabiłam ludzi! A więc to możliwe. Koty potrafią używać niektórych przedmiotów i mogą decydować o życiu lub śmierci ludzi.

Nathalie i Sophie wychylają się nad barykadę z mebli i zdają się zaskoczone, a następnie oddychają z ulgą. Wracamy, żeby schronić się w głębi domu.

Angelo w końcu puścił zasłonę i tym samym wykonał swój pierwszy duży skok. Miauczy, ile sił, uważając, że to ten wyczyn przyniósł wszystkim wytchnienie.

Nathalie przygląda mi się ze zdziwieniem i wypowiada moje imię pełnym podziwu tonem. Bierze mnie w ramiona i tuli.

Odnotowuję, że kiedy zabijam ludzi, wyraźnie cieszy to moją służącą.

Chyba nie lubię wojny. Stwierdzam, że życiowa energia świata może zostać gwałtownie przerwana z powodów, które wydają mi się niejasne, i jest mi z tego powodu przykro.

Rozumiem, że – paradoksalnie – aby zbyt wiele istnień nie zostało zniszczonych, czasami trzeba zabić.

Potwierdza to moje przecucie: muszę pomóc tym wszystkim istotom lepiej się porozumiewać, gdyż jestem przekonana, że gdyby lepiej się ze sobą komunikowały, nie musiałyby strzelać do siebie ze strzelb ani rzucać sobie w twarz granatami.



Nie tylko muszę zdobywać informacje o świecie ludzi dzięki Pitagorasowi, lecz także powinnam wysyłać im bezpośrednie wiadomości.

Jestem coraz mocniej przekonana, że nie wystarczy słuchać ludzi, trzeba też do nich przemawiać.

## Początek głodu

Mijają tygodnie.

Wyczerpaliśmy nasze zapasy pożywienia. Jemy teraz inne artykuły spożywcze – beżowe albo zielone. Pod względem gastronomicznym są na znacznie niższym poziomie niż sucha karma.

Nathalie i Sophie nie mają odwagi wychodzić na zewnątrz i dochodzi do tego, że gotują zupy z liści drzew, które dotykają balkonu. Smakują naprawdę mdło.

Nawet woda stała się brązowa i musi być zagotowana przed wypiciem.

Na zewnątrz wciąż rozlegają się odgłosy detonacji, a sporadycznie krzyki i wrzaski. Czasami ktoś puka do drzwi. Czasami dłonie – o ile nie pazury – drapią w okna na parterze.

Jestem bardzo głodna. Wszyscy jesteście bardzo głodni.

Brak pożywienia osłabia Nathalie i Sophie, które nie mają już siły, aby wykonać jakikolwiek gest. Leżą owinięte w koce, oglądają telewizję i śpią. Nie sądzę, żeby zdołały odeprzeć kolejny atak rabusiów.

Usiłuję leczyć moją służącą, poprawiając technikę mruczenia na niskiej, średniej i wysokiej częstotliwości. Jestem przekonana, że mogę leczyć ludzi falami, ale nie panuję jeszcze w pełni nad mocą uzdrawiania. Muszę trafić na ożywcze częstotliwości.

Félix znalazł interesujące tylko jego pożywienie. Je... wehnę! A dokładnie – rozkoszuje się włóczką z szala Sophie. Żuje ją i połyka. Wsypa ją niczym niekończące się spaghetti. Matka powtarzała mi, że niektóre koty to „zjadacze wehny”, ale nie spodziewałam się aż takiej formy degeneracji.

Angelo nieustannie przypuszcza na mnie ataki, chce ssać, ale dystrybutor mleka jest pusty.

Pitagoras z kolei właściwie przestał się poruszać. Znajduje się w stanie medytacji bliskim hibernacji, jego oczy są nieruchome pod zamkniętymi powiekami, oddycha powoli, niemal niezauważalnie.

Ocieram się o niego. Reaguje dopiero po chwili.

– Wszystko w porządku? – pytam go.

Odpowiada pomrukiem.

– Przeszkadzam ci?

Parska.

– Pitagorasie, mam wrażenie, że tym razem już po nas.

– Akceptuj świat takim, jaki jest, nie bojąc się go ani nie oceniając – odpowiada wreszcie.

– Trwa wojna, nie mamy nic do jedzenia, zapewne wszyscy umrzemy tu z głodu, unieruchomieni, pogrążając się stopniowo w otępieniu, z którego zapewne nigdy się nie otrząśniemy.

Kot angora potrząsa głową, jak gdyby chciał poukładać sobie myśli, po czym odzywa się, akcentując każde miauknięcie, żeby mieć pewność, że jego myśli wyraźnie zapadną mi w pamięć:

– „Cokolwiek się wydarzy, wyjdzie ci to na dobre. Wystarczy dostosowywać się do okoliczności, w miarę jak się pojawiają”.

– Zwariowałeś?

– Nie, przyswajam nowe pojęcia, ponieważ mam na to czas, a moje ciało nie jest już zajęte trawieniem i ruchem. Zmysły przestały mi przeszkadzać, mogę więc wreszcie zagłębić się w myślach.

– Mimo wszystko sytuacja jest...

Pitagoras zamyka oczy i ciągnie:

– „Twoi wrogowie i przeszkody, które wznoszą się przed tobą, pozwalają ci na poznanie granic twojej odporności. Wszystkie problemy, które wydają ci się poważne, mają jedynie za cel umożliwić ci lepsze poznanie siebie”.

– Ale...

– „Twoja dusza wybrała właśnie ten świat i to życie, żeby doświadczać i ewoluować.

Wybrałeś swoją planetę.

Wybrałeś swój kraj.

Wybrałeś swój zwierzęcy gatunek.

Wybrałeś swoich rodziców.

Wybrałeś swoje ciało.

Od chwili, w której uświadamiasz sobie, że to, co cię otacza, wywodzi się z twojej własnej woli poznawania, nie możesz już więcej narzekać, musisz odrzucić poczucie niesprawiedliwości. Możesz jedynie usiłować pojąć, dlaczego twoja dusza wybrała właśnie takie doświadczenia, żeby ewoluować. Co noc, we śnie, ten przekaz jest ci powtarzany w formie marzenia sennego, żebyś o tym nie zapomniał. Więc jeśli masz wątpliwość, rób jak ja: zamknij oczy i śnij”.

Pitagoras wymiauczał te słowa, będąc w innym stanie świadomości, jak gdyby nagle podłączył się do zewnętrznego źródła mądrości. Następnie dodał:

– W każdym razie taką właśnie wiadomość otrzymałem, medytując przez ostatnie dni.

Wpatruje się we mnie swoimi wielkimi, pięknymi niebieskimi oczyma.

Zastanawiam się nad tym, co powiedział. Chodzi o coś wielkiego. Jak gdyby zdradził mi sekret mądrości w czystej postaci. Szkoda, że nastąpiło to w chwili, kiedy istnieje obawa, że już nie będę mogła wykorzystać tej wiedzy.

– Powiedz mi, Pitagorasie, czy sądzisz, że...

Jego powieki zamykają się, zanim zdążyłam skończyć zdanie. Nie mam odwagi mu przeszkadzać.

Angelo zaczyna przejawiać pierwsze symptomy niedożywienia, jest chudy, drzy, wszystko go złości. Postanawiam więc wyjść i poszukać jedzenia poza domem.

Ponieważ drzwi i okna na parterze są zabarykadowane, wychodzę przez balkon. Przymusowa kuracja odchudzająca sprawiła, że odzyskałam zwinność konieczną do wykonania skoku na sąsiedni budynek. Ląduję, lekko ześlizgując się po cynkowanym dachu. Z pewnością jestem lżejsza, ale czuję, że brak pożywienia odebrał mi energię. Drepczę nieco i skaczę na kolejny dach.

Z góry łatwiej jest ocenić sytuację.

Nikt już nie usuwa śmieci.

Postanawiam zatrzymać się przy pierwszym lepszym stosie odpadków.

Wśród przeróżnych paskudztw krążą szczury. Nigdy ich nie jadłam, ale matka powtarzała mi: „Szczur jest tylko dużą myszą”.

Namierzam jednego, który wydaje mi się najbardziej chuderlawy. Jednak kiedy tylko zbliżam się do niego, gryzoń jeży sierść, otwiera pysk, szczerząc wyzywająco kły. Bez wątplenia nie napawam go lękiem – nie tak jak myszy.

Podjąć próbę komunikacji poprzez *Dzień dobry, szczurze?*

Mama uczyła mnie też, żeby nie rozmawiać z jedzeniem. Odzyskując instynkt, sprzed tysięcy lat zapewne, atakuję.

Tarzamy się w odpadkach. Pazury kontra pazury. Zęby kontra zęby. Moje rozmiary zdają się wcale nie robić wrażenia na zwierzęciu, które się broni. Czuję jego ostre siekacze w moim ciele, ale gęsta sierść nie pozwala mu wgryźć się we mnie głęboko. Również szukam odpowiedniego miejsca, żeby zaatakować, i kiedy szczur znajduje się w moim zasięgu, gwałtownie zatapia zęby w jego szyi. Ciepła krew tryska bezpośrednio do mojego gardła. Słona, oszalamiająca. Wypijam wszystko, nie wyciągając kłów z ciała. Ostatnia konwulsja, po czym nagle napięcie opada.

Chrupię kawałek szczura. Właściwie nie jest wcale taki zły, a ten szczęśliwie ma jeszcze tłuste udo. Uwielbiam tłuszcz w mięsie.

Pochłaniam spore kęsy, po czym, odzyskawszy siły, skupiam się na swojej misji: przynieść pożywienie innym. Na szczęście jest go dostatek. Do tego stopnia,

że w drodze powrotnej zauważa mnie gromada szczurów, które usiłują na mnie zapolować.

Nigdy bym nie uwierzyła, że będę kiedyś zmuszona uciekać przed zgrają gryzoni!

Pościg zbliża się i prawie już mnie dogania (do licha! gdyby matka zobaczyła, że goni mnie jedzenie...), kiedy nagle zbawcza gałąź drzewa pojawia się w zasięgu skoku. Wspinam się i docieram na dach domu, skąd przeskakuję na kolejne. Zaciskam szczęki, żeby nie wypuścić moich cennych szczurzych ogonów.

Jestem szczęśliwa, wkrótce będę mogła nakarmić mojego syna, towarzysza, przyjaciela i dwie ludzkie służące.

Kiedy wracam do domu, na widok moich zdobyczy Nathalie i Sophie robią zdegustowane miny i dają mi znak, żebym się oddaliła.

Czyżby niewdzięczność była wrodzoną cechą ludzi? Odwracam się do moich towarzyszy.

Pitagoras również nie jest zainteresowany.

Tylko Félix wykazuje entuzjazm i dziękuje mi, po czym zaczyna się opychać.

Ponieważ odzyskałam nieco sił, pozwalam Angelowi possać.

Następnie sama delektuję się owocem polowania, żując długo każdy kęs, zanim przełknę.

– Jak było na zewnątrz? – pyta Félix.

– Brudno i niebezpiecznie.

Félix je łakomie, wsysając głośno wnętrzności swojego jeszcze ciepłego szczura.

– Ludzie nigdy nie zdołają nas skrzywdzić, za bardzo nas potrzebują.

– Po co? – dopytuję.

– No, żeby nas...

Szuka odpowiedniego określenia.

– ...głaskać.

Mam ochotę rzucić ciętą uwagę, ale nie ma sensu go atakować. Zresztą ma trochę racji. Do czego tak naprawdę służyliśmy ludziom? Tutaj, w mieście, nie mamy już obowiązku bronić zapasów pożywienia przed gryzoniami. Nie polujemy już na węże, skorpiony czy pająki; nasz tłuszcz i szpik nie są już stosowane jako lekarstwo na hemoroidy ani jako pokarm dla koni. Po co im tak naprawdę jesteśmy?

W okresie wojny głaskanie nie wydaje mi się podstawową potrzebą... Nagle uświadamiam sobie, że wcale nie panuję tak do końca nad sytuacją, a w trybie pierwotnej walki o przeżycie istnieje obawa, że moja istota ludzka znudzi się moją

obecnością.

Félix jest pewien, że mnie przekonał. W jego świecie wszystko jest w porządku.

– Wiesz, Félixie, w przeszłości ludzie nas prześladowali. Palili nas na stosach, jedli nas, używali naszej skóry do szycia ubrań.

– Skąd bierzesz te bzdury?

– Od Pitagorasa.

– A on gdzie zdobył te informacje?

– Nie wiem – odpowiadam wymijająco.

– Ja wiem o świecie to, co na nim widzę. Jesteśmy żywi, ludzie nas kochają, zawdzięczają nam mnóstwo dobrego, zabijają się między sobą, ale w końcu się zmęczą. Ty, sprytna Bastet, rozwiązałaś problem pożywienia, polując na szczury. Wszystko gra.

Czy to możliwe, że Félix jest mędrce, który na swój sposób pojął najnowszy przekaz Pitagorasa, zgodnie z którym „wszystko, co się nam przydarza, służy naszemu dobru”?

Być może nie doceniłam angory.

– Ludzie nigdy nie zdołają żyć bez nas – nalega. – Spójrz na nich. Ich równowaga psychiczna związana jest z naszą obecnością. Wyobrażasz sobie, w jakim stanie byłyby nasze służące, gdyby nas zabrakło? Łagodźmy napięcia w domu. Dzięki nam nie oszalały jeszcze i dobrze śpią.

Sądzę, że nasze istoty ludzkie doskonale przeżyłyby i bez nas, ale nie chcę wszczynać dyskusji.

Na piętrze spotykam Pitagorasa, który patrzy w pustkę szeroko otwartymi oczyma.

– Opowiedz mi dalszy ciąg naszej historii – proszę.

Brak pożywienia osłabił go, ale zgadza się pójść za mną do pokoju z dużym lustrem, któremu dałam się nabrać swego czasu, i sadowimy się na łóżku.

– Zatrzymaliśmy się na renesansie i mówiłeś, że nauka i artyści wreszcie zaczęli się nami interesować.

Uszy Pitagorasa drżą niemal niezauważalnie, jak gdyby już pogrążył się w historii, którą zaraz mi opowie.

– We Francji to król Ludwik XIII oficjalnie zrehabilitował koty. Minister Richelieu miał ich około dwudziestu, co rano bawił się z nimi przed pracą. Uwielbiał nas. Ludwik XIII poradził wszystkim chłopom, żeby trzymali u siebie koty, które chroniłyby zbiory, po czym stworzył brygadę kotów stacjonującą na stałe w królewskiej bibliotece. Ich zadaniem było bronić książek przed atakami

podstępnych myszy. Niestety nie przekazał swojej pasji następcy. Już w wieku dziesięciu lat Ludwik XIV bawił się z kolegami, wrzucając żywe koty do ognia. Po nim jednak pojawił się nowy miłośnik kotów: Ludwik XV. Przychodził na zgromadzenia rady ministrów ze swoim białym kotem w ramionach. To on oficjalnie zakazał palenia stosów w noc Świętego Jana.

– Jakże nieprzyjemnie jest być zależnym od ludzkich humorów...

– Ludzie przy władzy, którzy nas nie znosili, jak Kambyzes II, Cezar, Ludwik XIV czy później Napoleon albo Hitler, często bywali despotami.

– A poza przywódcami?

– Również w tamtych czasach zaczęto wykorzystywać koty do doświadczeń naukowych.

– „Naukowych”?

– Nauka jest sztuką polegającą na usiłowaniu zrozumienia świata. Polityka jest posłuszeństwem względem praw, religia uległością wobec wielkiego niewidzialnego wymyślonego brodacza, który nad wszystkim czuwa, a nauka szuka czystości intelektualnej i zadaje nowe pytania. Właśnie w tamtym okresie naukowcy jako pierwsi wpadli na to, że koty mogłyby pomóc im lepiej zrozumieć wiele spraw.

Salwy z karabinów maszynowych, po których nastąpiły eksplozje i krzyki, dobiegają z zewnątrz, nie tracę jednak wątku opowieści Pitagorasa.

Kot syjamski kręci głową, po czym ciągnie dalej.

– Jeden z ich największych naukowców, Izaak Newton, odkrył uniwersalną zasadę grawitacji w tysiąc sześćset sześćdziesiątym szóstym roku, podczas trzeciej wielkiej epidemii dżumy, która dotknęła angielską stolicę, Londyn. Wyjechał na wieś, do Woolsthorpe, i pewnego popołudnia, kiedy odbywał sjęstę pod drzewem, jego kotka Marion wspinająca się po gałęziach spadła na niego. Newton obudził się gwałtownie i jego pierwszą myślą było: „Skoro Marion spadła na mnie z gałęzi, to dlaczego Księżyc nie spada na Ziemię?”. Obserwacja ta stała się punktem wyjścia do stworzenia prawa grawitacji, jednego z największych odkryć w fizyce. Nieco później francuski pisarz, który również uwielbiał koty, Wolter, opisał tę historię, zastąpiwszy kota jabłkiem.

Ciekawe.

– Żeby podziękować kotce Marion za inspirację, Izaak Newton wpadł na pomysł, żeby wyciąć kwadratowy otwór w drzwiach i ułatwić kotu wchodzenie i wychodzenie. Był więc nie tylko twórcą nowoczesnej fizyki, ale też... drzwiczek dla kota.

Chyba lubię naukę. Pitagoras mlaska językiem. Wiem, że jest bardzo głodny, ale jego umysł mimo to wydaje się w pełni pobudzony.

– Później inny naukowiec, Nikola Tesla, odkrył fenomen elektryczności statycznej, przyglądając się synowi głaszczącemu kota o imieniu Macek. Wywoływało to maleńkie iskierki widoczne w ciemności.

– Czyli nauka nas ocaliła.

– Niezupełnie...

Pitagoras wymiauczał to ostatnie zdanie nieco inaczej.

– Nauka uratowała nas przed prześladowaniami religijnymi, ale spowodowała nowe kłopoty.

Na zewnątrz rozlega się kolejny huk wybuchu, głośniejszy. Odczuwamy charakterystyczne drzenie walącego się budynku. Kota syjamskiego przebiega niemal niezauważalny dreszcz. Jego uszy poruszają się na wszystkie strony. Odślania zęby, jak gdyby powstrzymywał głuchą wściekłość, po czym oznajmia:

– Być może nadeszła pora, żebym zdradził ci mój sekret, Bastet. Chodź za mną.

Prowadzi mnie do kuchni, podskakuje do klamki drzwi od piwnicy i, zręcznie wykorzystując swój ciężar, naciska ją. Ukazują się nam schody o białych, idealnie gładkich stopniach.

– Jak udaje ci się oddziaływać na klamki?

– Ja również podszedłem do zadania „naukowo” i w końcu udało mi się opracować skuteczną metodę. Później cię nauczę. Chodź.

Schodzę ostrożnie po stopniach.

– Sophie jest naukowcem, a to jest jej laboratorium. Jestem rezultatem jednego z jej doświadczeń, dlatego udało mi się zdobyć tyle informacji na temat ludzi.

U stóp schodów stajemy przed metalowymi drzwiami. Pitagoras szykuje się do skoku na klamkę, nagle jednak za nami pojawia się jego służąca.

Na nasz widok marszczy brwi, spogląda na Pitagorasa i przemawia do niego tonem pełnym wyrzutu, wielokrotnie powtarza jego imię w surowy sposób.

Zmieszany, odwraca się do mnie i daje do zrozumienia, że lepiej będzie, jeśli wrócimy do salonu.

Czy ja dobrze usłyszałam? Pitagoras powiedział, że jest owocem ludzkiego eksperymentu? Muszę za wszelką cenę odkryć, co to oznacza.

Jaka szkoda, że przeszkodziła nam jego służąca, już miał zamiar wyjawić mi swoją tajemnicę. Telewizja wciąż emituje te same sceny, ukazując na przemian wojnę, piłkę nożną i pogodę. Wreszcie Sophie wciska przycisk na pilocie i pojawiają się zupełnie inne obrazy.

– Sądzę, że nasi ludzie nie mogą już znieść upokarzającego widoku ich świata targanego zawieruchą, więc pocieszają się wyobraźnią „kina”.



Na ekranie widać poruszające się narysowane koty. To musi być film.

– *Catwoman*?

– Nie. To kreskówka pod tytułem *Artystokoty*. Moim zdaniem to czysty przypadek sprawił, że mowa w niej o nas. Chociaż... wydaje mi się, że Sophie mimo wszystko ma do nas wyjątkowy sentyment.

Rysunki poruszają się wystarczająco szybko, żeby wywołać wrażenie płynności podobnej do rzeczywistości.

– Kolejna fałszywa historia wymyślona przez scenarzystę? Jaki sens ma opowiadanie o czymś, co naprawdę się nie wydarzyło?

– Wyobraźnia pomaga ludziom uciec od rzeczywistego świata, kiedy ten staje się zbyt przytłaczający. Obejrzyj ten film, a sama przekonasz się o pocieszającej mocy fikcji, która przeciwstawia się budzącym niepokój aktualnościom.

Wątpię, ale nie mając nic innego do zrealizowania w tej chwili, w końcu wciągam się w „kreskówkę”... Wyraźnie widać białą kotkę z cudaczną kitką na głowie i szarego kota o dziwnej minie. Pitagoras komentuje:

– On ma na imię O’Malley, a ona to Księżna. Trochę nas przypominają. Film jest amerykański, ale akcja rozgrywa się w Paryżu.

Z tego, co widzę, postacie są naprawdę osobliwe, dwa sztuczne rysunkowe koty poruszające się jak my i mówiące jak ludzie.

– Na czym polega intryga?

– Księżna jest kotką należącą do bogatej ludzkiej rodziny, ma troje dzieci i zawsze opływała w luksusy i wygody. Jej służąca, starsza zamożna dama, która ją uwielbia, postanawia zapisać Księżnej w spadku cały swój majątek, a majordom ma za zadanie czuwać nad wykonaniem testamentu. Ten jednak zamierza pozbyć się kotów i zagarnąć spadek dla siebie. Porywa więc Księżną i jej dzieci i wywozi daleko na wieś. Kotom udaje się uciec i wrócić do Paryża. Nie mają jednak schronienia i nie potrafią się dostosować do nowych warunków. Dachowiec O’Malley przychodzi im z pomocą, chroni ich i umożliwia powrót do domu.

– Piękna historia...

– Ale nie jest realistyczna. Majordom, który chce się pozbyć kotów, po prostu je zabija. A koty nie potrafią podróżować ciężarówkami, żeby wrócić do Paryża.

Pitagoras wydaje się zdenerwowany brakiem realizmu kreskówki.

Obserwuję dwie postacie o spiczastych uszach, które rozmawiają dokładnie tak jak Nathalie i Thomas, z tą samą intonacją i z takimi samymi spojrzeniami. Gdyby nie ich ciała, w pełni przypominałyby ludzi. To rzeczywiście nie ma sensu!

Widok trojga kociąt przypomina mi o moich kochanych zgubach. Prawdziwy świat jest zdecydowanie bardziej surowy niż ten z kresówek. Jak zachowałyby się ta „Księżna”, gdyby utopiono jej kociaki, odwracając uwagę promieniem lasera?

Co zrobiłby O'Malley, gdyby ludzie wokół niego strzelali do siebie i rzucali granatami, a na ulicach Paryża szerzyła się dżuma?

Akcja filmu toczy się dalej, a ja powoli się rozluźniam i zapadam się w objęcia snu.

Śni mi się, że jestem Nathalie.

Żyję za dnia, śpię nocą. Mam dwie nogi i lubię prysznice. W ciągu dnia wysadzam w powietrze domy i noszę żółty kask. Wieczorem, kiedy wracam do domu, moja kotka nie śpi i mruczy, gdy ją głaskam. Bawię się w uniemożliwianie jej przechodzenia z jednego pomieszczenia do drugiego, zamykając drzwi. Kiedy za długo miauczy, uwalniam ją. Jem kolorowe produkty. Oglądam telewizję. Idę do sypialni i przeglądam się w lustrze. Oglądam się pod postacią człowieka, nagle jednak pewien szczegół budzi mój niepokój. Nachylam się w stronę lustra i stwierdzam, że źrenice w moich oczach są wąskie jak u kota.

Gwałtownie się budzę.

Drzę na całym ciele.

Stwierdzam ostatecznie, że życie ludzi nie wydaje się specjalnie ciekawe.

Być może nasz koci wszechświat jest ciasny, ale ludzki wygląda na pozbawiony jakichkolwiek ciekawych emocji. Mam wrażenie, że ludzie odbierają ledwie połowę zewnętrznych bodźców. Źle słyszą (nie mają ruchomych uszu), źle odbierają fale i nie widzą w ciemnościach.

Sen pozwolił mi uświadomić sobie szczęście, jakie mam, będąc kotem z wiedzą na temat ludzkiego świata, a to wszystko dzięki Pitagorasowi. Tym sposobem zyskałam wiedzę o dwóch światach.

Zamykam oczy i ponownie pogrążam się we śnie. Tym razem śnię o tym, że Pitagoras sprowadza mnie po białych schodach do piwnicy i naciska kłamkę metalowych drzwi. „Wyjawię ci mój sekret”, oznajmia kot syjamski we śnie.

Zanim jednak mam czas zareagować, Sophie skacze na mnie, wciska do worka, po czym wiesza worek w ciemnym pomieszczeniu.

Pitagoras miauczy, a ona kiwa głową z aprobatą.

– Masz szczęście, Bastet, zgodziła się otworzyć ci Trzecie Oko – oznajmia.

Sophie przysuwa cienkie ostrze do mojego czoła, a Pitagoras szepcze mi do ucha:

– Nie bój się, z początku trochę boli, ale potem wszystko się rozumie. Niewielki ból jest ceną, jaką trzeba zapłacić za ogrom wiedzy.

## Niespodziewana wizyta

Kolejne dni następują po sobie, a my wciąż tkwimy na sofie w salonie, przed telewizorem emitującym obrazy. Coraz więcej śpię. Coraz więcej śnię. A to daje mi do myślenia.

Kiedy podnoszę powiekę, widzę nasze służące zafascynowane świetlistym monolitem przytwierdzonym do ściany.

Myślę sobie, że wielką słabością ludzi jest zapewne onnipotencja zmysłu wzrokowego. Do poznawania świata używają oczu i telewizji wysyłającej im informacje, które wywołują natychmiastowe emocje. Słuch, drugie źródło informacji, używane jest jedynie dla wzmocnienia efektów wywoływanych przez obrazy.

Nawet ich filmy fikcyjne składają się zazwyczaj z ciągu brutalnych scen, seksu albo pogoni. Wciąż potrzebują więcej szokujących obrazów, a telewizja ma na celu zaspokajanie tej potrzeby. Zapomnieli więc o rozwijaniu zmysłów psychicznych. Kiedy wchodzi do pomieszczenia, nie potrafią wyczuć złych fal, a kiedy poznają nową osobę, nie wiedzą, czy ona im sprzyja. Mam wrażenie, że jedynie podczas snu ich umysł oddaje się swojej aktywności, przez pozostałą część czasu mózg pozwala sobą sterować, porządkuje i filtruje wszystkie zewnętrzne obrazy, które nieustannie go zasypują.

Ja teraz potrafię słuchać mojego ciała.

Jest głodne.

Dzisiaj przekroczyłam próg, kiedy nie czuje się już nawet skurczu żołądka.

Uświadamiam sobie, że przyzwyczajamy się do wszystkiego: do huku eksplozji, do widoków wojny w telewizji i do braku jedzenia...

Tylko z początku jest to trudne, narzeka się, cierpi, po czym mija się pewien punkt i przyzwyczajają – to element nowego sposobu życia.

Od czasu do czasu wciąż przynoszę szczury, które ludzie zgadzają się w końcu jeść, pod warunkiem że odetnie się im łapy, głowę i ogon, żeby lepiej się prezentowały, i ugotuje. Przypominają szare owoce o białym mięszu. Utwierdza mnie to w przekonaniu, że wzrok tyranizuje pozostałe ludzkie zmysły.

Pitagoras zgadza się również w końcu jeść gotowane szczury, ale pozostaje zdystansowany, tymczasem Angelo z dnia na dzień jest coraz bardziej chętny do zabawy.

Leżąc na kanapie w salonie, ziewam i przeciągam się. Odpoczynek bez ruchu, w domu, wydaje mi się najlepszym zachowaniem w okresie wojny, pozwalającym gromadzić energię i ograniczyć uczucie głodu. Zmuszam się jednak do kolejnego wyjścia, żeby przynieść pożywienie moim towarzyszom.

O ile podczas poprzednich ekspedycji zauważyłam około setki ludzi, często uzbrojonych w karabiny, tym razem spotykam ich zaledwie tuzin, krążących nerwowo, biegnących, żeby się ukryć za samochodami. Wyczuwam ich strach, pot i wściekłość.

Nieliczne grupy przemierzają się powoli i strzelają do wszystkiego, co się rusza, łącznie z kotami.

Szczury, które próbuję podejść, zdają się bardziej wojownicze niż dawniej. Kiedy tylko zbliżam się do jednego z nich, wszystkie pozostałe przychodzą mu z pomocą. Pokonanie ich, kiedy mają przewagę pięciu do jednego, staje się trudne mimo atutu, jakim jest mój wzrost. Rezygnuję więc z polowania i kieruję swoją uwagę na nową zwierzynę: kruki. Coraz więcej ich szuka pożywienia w stosach odpadków.

Wybieram jednego i atakuję go od tyłu. Zatapiam zęby w jego szyi i szarpie pazurami skrzydła. Kotłujemy się wśród chmury piór i ciemnych kłaków. Udaje mu się wyrwać i zadaje mi cios dziobem, próbuje wznieść się w powietrze, ale jest już zbyt słaby, żeby rozłożyć skrzydła. Wzmacniam uścisk i nachylam się ku jego czaszce.

*Dzień dobry, kruku.*

Nie odpowiada, ale wyczuwam wrogą falę. Nie mając już czasu do stracenia i ze względu na ogólny nastrój panujący na ulicy, decyduję się go dobić.

Wracam z ptakiem, ciągnąc go po ziemi.

Wydawało mi się, że ludzie jedzą też ptactwo. Moim zdaniem kruk zostanie lepiej przyjęty niż moje szczury.

Kiedy zbliżam się do domu Pitagorasa, zauważam, że z komina unosi się ciemny, gęsty dym. Rodzi to we mnie złe przeczucie. Porzucam zdobycz, pędzę, wskakuję na drzewo, po którym docieram na nasz dach. Wślizguję się przez otwarte okno na drugim piętrze i zbiegam po schodach na parter. Oto co zastaję: drzwi zostały zmiecione, wyrwane z zawiasów, wyważone przez samochód. Salon jest istną ruiną. Serce mi przyspiesza, panikuję: Angelo? Pitagoras? Nathalie? Łapy pode mną drżą, z trudem łapię oddech. Ruszam naprzód i moim oczom ukazuje się przerażający widok: krew, kałuża krwi, a pośrodku ciało bez życia, twarzą do podłogi. Sophie! Wciąż ma jeszcze palce zaciśnięte na strzelbie, która najwyraźniej nie wystarczyła, aby ją obronić.

Przy kominku siedzi trzech ludzi, głośno rozmawiają i rechoczą.

Rabusie, zapewne. Zbliżam się do nich po cichu, żeby zobaczyć, co też trzymają nad paleniskiem. Szok! Trzech wychudzonych i brodatych mężczyzn – wśród których rozpoznaję Thomasa – nabiło na rożen Félixa i obraca go nad żarem. Biedak jest związany i brakuje mu jednej łapy.

A więc to prawda: ludziom może przyjść ochota nas... zjeść!

Przełykam ślinę i zalewa mnie fala nienawiści, która po chwili sprawia, że zaczynam trząść się z wściekłości.

Nie mogę pozwolić, żeby zawładnęły mną emocje.

Zastanawiam się naprędce i opracowuję plan ataku.

Po pierwsze, wykradam im dyskretnie granat. Kiedy jednak zbliżam się do nich, stąpając miękko, troje ludzi spogląda na mnie jednocześnie.

– Bastet! – woła Thomas.

Zanim mam czas zareagować, wyciąga swój laser i skierowuje promień czerwonego światła tuż przed moje przednie łapy.

Nie! Tylko nie to! Tylko nie laser!

Pokusa jest silna, ale przypominam sobie słowa Pitagorasa: „Bez pożądania nie ma cierpienia”. Być wolnym to nie zależeć od nikogo, a już na pewno nie od przemieszczającego się czerwonego światełka.

Thomas rusza w moją stronę, trzymając laser w prawej dłoni i wielki nóż w lewej.

Czerwone światełko hipnotyzuje mnie... ale widok nadzianego na rożen Félixa przywraca mi poczucie rzeczywistości. Przypominam sobie, że Thomas zabił już czworo moich dzieci: zbieram się w sobie, pędzę w stronę roztrzaskanych drzwi wejściowych i wyskakuję na ulicę.

Thomas biegnie za mną.

Muszę znaleźć sobie kryjówkę. Szybko! Wślizguję się do mojego domu przez otwór w drzwiach, ale Thomas depcze mi po piętach, wyważa drzwi wejściowe jednym kopniakiem. Nic już mnie nie chroni przed tym groźnym przeciwnikiem.

Wiem, że nie ma sensu chować się na piętach, bo człowiek ten zna doskonale całe miejsce. Więc tak jak myszka, którą kiedyś goniłam, kieruję się w stronę piwnicy. Thomas za mną. Skręcam w lewo, potem w prawo. Udało się! Drzwi do piwnicy na szczęście są otwarte. Zbiegam po schodach. Wciąż jednak słyszę za sobą ciężkie kroki.

Na szczęście elektryczność już nie działa, ale człowiekowi udaje się znaleźć świeczkę, którą zapala. Jednak płomień rozjaśnia mrok gorzej od żarówki. Chowam się wysoko na skrzyniach z winem, czujna, skulona, z położonymi płasko uszami, z wąsami przyklejonymi do policzków. Zaciskam i rozluźniam szczęki, jak gdybym ćwiczyła gryzienie.

Thomas przywołuje mnie łagodnym, życzliwym głosem.

Moje źrenice są rozszerzone i w panującym półmroku czuję lekką przewagę.

Widząc, że nie reaguję, Thomas wypowiada teraz moje imię znacznie mniej przyjaznym tonem. Uderza we wszystkie przedmioty, jakie znajdą się w jego zasięgu.

– Bastet!

Przewraca meble, wciąż dzierżąc nóż.

Ja pozostaję niewzruszona, czekam na swoją chwilę, wciąż starannie ukryta.

Wreszcie, kiedy Thomas znajduje się tuż pode mną, rzucam się i zatapiam mu pazury w oczach.

Mężczyzna wrzeszczy i upuszcza nóż, tymczasem ja drążę jeszcze głębiej w jego ciele. Stoczone walki ze szczurami i krukiem obudziły we mnie pradawne wojownicze instynkty.

Thomasowi udaje się złapać mnie za łapę i rzucić mną o ścianę. Chyba go nie oślepiłam, ale na pewno porządnie pokiereszowałam. Przypuszczam kolejny atak, miaucząc głośno dla dodania sobie odwagi, i ponownie ranię go w twarz. Po raz pierwszy walczę z człowiekiem, na dodatek w pojedynku, i muszę przyznać, że jest trudniejszy do pokonania niż szczur czy kruk. Thomas mnie odpycha. Łąduję łagodnie i wślizguję się w inny kąt na wysokości. Korzystając z faktu, że jest do mnie odwrócony plecami, zeskakuję mu na ramiona i gryzę ile sił w łopatkę.

Pod wpływem bólu mężczyzna upuszcza świecę, od której ogniem zajmuje się skrzynia pełna starych ubrań.

Do głowy przychodzi mi osobliwa myśl. Być może wojna, walki i rany stanowią podstawową formę komunikacji? Uderzamy, kiedy nie udaje nam się dialogować? (*Dzień dobry, Thomasie*).

Inna myśl rodzi się z poprzedniej: żeby zabić przeciwnika, trzeba się nim zainteresować i starać się mu coś przekazać.

Fakt, że Thomas powtarza moje imię, utwierdza mnie w przekonaniu, że on również ze swej strony próbuje dać mi coś do zrozumienia, co – w tej sytuacji – sprowadza się do: *Zdechnij, Bastet*.

Ogień się rozprzestrzenia, zajmują się stare skrzynie z gazetami, drewno skwierczy. Temperatura szybko wzrasta, jasność również. Dym przyprawia nas o kaszel. Zapada się część sufitu. Trzeba stąd zmykać, jeśli nie chce się spłonąć żywcem.

Płomienie otaczają mnie już ze wszystkich stron.

Zajmuje się czubek mojego ogona i muszę ugasić ogień, potrząsając nim gwałtownie.

Po chwili płonie już inna kępka mojego futra. Thomas krzyczy coraz głośniejsze,

powtarzając moje imię.

Pożar ogarnia wszystko, moje źrenice kurczą się maksymalnie, nie widzę żadnego wyjścia.

Nagle daje się słyszeć miauknięcie. „Tędy”.

Pitagoras stłukł szybę w okienku pod sufitem i daje mi znak, żebym do niego dołączyła. Rzucam się, żeby dosięgnąć wyjścia, kiedy z płomieni wyłania się dłoń i chwyta mnie za ogon.

Nienawidzę, kiedy ktoś dotyka tej części mojego ciała, a w szczególności, gdy ciągnie ją tak, jak Thomas teraz to robi. Ten brutal złamie mi ogon!

Z głową zwisającą ku dołowi, jestem więźniem jego zaciśniętej pięści.

Wyrywam się, ale nie mogę dosięgnąć go pazurami ani zębami.

Wtedy Pitagoras wskakuje na ramię Thomasa, zsuwa się po nim w stronę nadgarstka i gryzie ze wszystkich sił w dłoń tak długo, aż ta zwalnia uścisk.

Uwolniona, wyskakuję z piekła i pędzę za kotem syjamskim, który ucieka przez piwniczne okienko. Przebiegamy ulicę i chowamy się w gałęziach wysokiego drzewa. Serce bije mi mocno. Płuca powoli napełniają się świeżym powietrzem.

– Ładny pojedynek! Nigdy nie widziałem tak rozwścieczonego człowieka – przyznaje Pitagoras. – Sprawiał wrażenie, jakby żywił do ciebie jakąś osobistą urazę. To rzadkość.

Patrzę na płonący dom. Thomas nie wychodzi. Wzdycham z ulgą – chyba pomściłam Félixą. Wspominam białą angorę o żółtych oczach. Był do niczego, ćpał kocimiętkę, nie zrobił w życiu niczego interesującego, ale nie zasłużył sobie, żeby skończyć na roźnie.

Ochłonawszy, schodzimy z drzewa. W tym momencie zauważają nas dwaj kumple Thomasa. Rzucają się za nami i strzelają do nas z karabinów.

Biegniemy z zamiarem ukrycia się za rogiem przyległej ulicy.

– Gdzie reszta? – pytam.

– Po twoim wyjściu tych trzech wyważyło drzwi wejściowe samochodem. Efekt zaskoczenia zapewnił im przewagę. Sophie próbowała się im przeciwstawić, ale okazała się nie dość szybka i została zastrzelona. Złe przyzwyczajenia Félixą uczyniły z niego łatwy cel. Kiedy twoja służąca zobaczyła, że moja nie żyje, zdecydowała się uciec tylnymi drzwiami. Ja natomiast złapałem twojego syna Angela za skórę na karku i uciekłem po dachach.

– Angelo żyje!

– Umieściłem go w bezpiecznym miejscu, w naszej kryjówce na szczycie Sacré-Coeur.

Odczuwam ulgę.

– Kiedy uznałem, że małemu nie grozi już niebezpieczeństwo, wróciłem, ponieważ podejrzewałem, że i ty wrócisz.

Czyli wrócił... dla mnie?

– Zatem ruszajmy do bazyliki! Chcę jak najszybciej zobaczyć się z synem.



## Narodziny Trzeciego Oka

Angelo zniknął. Ślady moczu i małe odchody znaczą podłogę w wieży. Rozpoznaję jego zapach, ale kotek nie zdołał wytrzymać w miejscu, zgłodniał i ostatecznie opuścił swoją kryjówkę.

Pitagoras, przejęty, zamyka oczy, żeby pogрузić się w krótkiej medytacji, po czym oznajmia:

– Wiem, jak ich odnaleźć. Oboje. Angela i Nathalie. Uda nam się dzięki temu.

Wskazuje łapą na moją obrozę z czerwoną kuleczką.

– Już ci tłumaczyłem, że ma wbudowany czujnik GPS. W dowolnym momencie możemy zlokalizować tego, kto ją nosi.

– Nathalie nie ma obroży. Jeśli dobrze zrozumiałam, ona może mnie zlokalizować, ale ja jej nie.

– Ma smartfon, który umożliwia jej umiejscowienie twojej obroży na mapie. Zatem ja będę mógł zidentyfikować ją w Internecie, a wtedy dowiem się, gdzie się znajduje. Będziemy też mogli odnaleźć Angela, który nosi taką samą obrozę jak ty.

– „Internet”? Co to takiego?

– Wyjaśnię ci, na razie musimy jak najszybciej wrócić do mojego domu.

– Nie możemy. Dwaj rabusie na pewno już tam wrócili!

– W końcu odejdą. Na pobliskim dachu będziemy czekać, aż wyjdą. Kiedy tylko będzie to możliwe, wrócimy do mojej piwnicy i wyjaśnię ci to, czego poprzednio nie zdążyłem.

Czyli wreszcie zdradzi mi swój sekret? Z niecierpliwością czekam na rozwiązanie zagadki. Nie lubię, kiedy coś się przede mną ukrywa. Chcę też jak najszybciej odnaleźć Angela. Kiedy cały czas plątał mi się między łapami, nie znosiłam go, ale teraz, kiedy zginął, ogromnie za nim tęsknię.

Stajemy przed drzewem w pobliżu domu Pitagorasa i spoglądamy na moje dawne domostwo, które wciąż jeszcze płonie. Ponieważ nikt nie gasił ognia, a wiatr wieje, pożar się rozprzestrzenia. Wśród głośnego trzasku zapada się dach.

Z kolei z komina domu Pitagorasa nie wydobywa się już dym. Dwaj mężczyźni wychodzą, ale wolimy odczekać nieco dłużej, na wypadek gdyby wrócili.

Kiedy przekraczamy próg, już się zmierzcha.

Z mojego współtowarzysza zostały tylko rozrzucone kości... I biała czaszka

z pustymi oczodołami. Osobliwy widok. Czy ja też tak wyglądam „pod skórą”?

Oddaję mu krótki pośmiertny hołd.

– Mój biedny Félixie, zapewne nie był to twój najcenniejszy żywot. Z niewielu rzeczy w nim skorzystałeś, ani ze mnie, ani z Angela, ani z naszej służącej. Przynajmniej jednak nie zadawałeś sobie pytań, więc zaznałeś swego rodzaju spokoju. Mam nadzieję, że pojmanie cię nie było zbyt bolesne i śmierć nastąpiła szybko.

Ciało Sophie wciąż leży w salonie. Pitagoras siada na jej plecach.

– Co robisz?

– Ponieważ nie mogę zapewnić jej pochówku, ofiaruję jej to, co tylko kot może ofiarować martwemu człowiekowi: będę towarzyszył jej umysłowi do „zaświatów”.

Po raz kolejny nie mam pojęcia, o czym mówi, ale wyobrażam sobie, że to również wkrótce mi wyjaśni.

Pitagoras zamyka oczy. Gałki poruszają się pod spuszczonej powiekami. Uszy drżą. Pazury wysuwają się i chowają w niemal niezauważalnych skurczach.

Napina się, rozluźnia, ponownie kurczy się w sobie, wreszcie uspokaja się i otwiera oczy.

– Udało się – oznajmia. – „Wspięła się”.

– Co to znaczy?

– Czasami umysły ludzkie utykają „na dole”, ponieważ czują się przywiązane do istot lub emocji. Mój koci umysł pokazał jej, że nic jej tu już nie wstrzymuje, że może odejść w stronę Światła.

– Jak się do tego zabrałeś?

– Mój umysł towarzyszył jej aż do wejścia do tunelu ze światełkiem w oddali, wtedy podziękowałem jej za wszystko, co dla mnie zrobiła, za wszystkie dobrodziejstwa, które doceniałem. Przypomniałem jej, że nic jej już nie łączy z tym wymiarem. Nawet ja. Następnie życzyłem jej dobrej podróży i udanej reinkarnacji.

– Możesz zwracać się do ludzkich umysłów?

– Tylko kiedy nie żyją. Dlatego też Egipcjanie oddawali nam cześć. Zauważyli, że potrafimy towarzyszyć umysłom zmarłych. Nazywali nas „przewodnikami dusz zmarłych”.

– Skąd znasz te określenia i szczegóły dotyczące ich świata?

– Z Internetu. W Internecie znajdują się filmy, które wyjaśniają dokładnie ten skomplikowany proces.

Rozmyślałam o tym, czego właśnie się dowiedziałam.

Jeśli dobrze zrozumiałam: ciało umiera, umysł nadal żyje i dokonuje reinkarnacji.

A więc umysł jest... nieśmiertelny.

(Czyli ja jestem nieśmiertelna!)

Powtarzam sobie te informacje, chcąc mieć pewność, że ich nie zapomnę. Wciąż nie mogę uwierzyć!

Im więcej nowych pojęć poznaję, tym silniej uświadamiam sobie własną ignorancję. Pomyśleć, że gardziłam Félixem, tymczasem w porównaniu z kotem syjamskim jestem zapewne równie niedouczone jak on.

– Umysł Sophie przekazał mi pewną intrygującą wiadomość przed odfrunięciem – oznajmia Pitagoras. – Powiedziała mi, że jeśli będzie miała wybór, w przyszłym życiu będzie chciała odrodzić się pod postacią kota. Ja w kolejnym życiu chciałbym być człowiekiem.

– Po co się cofać w rozwoju?

– Podziwiam ich dłonie. Pozwalają na produkcję książek, sztuki, skomplikowanych maszyn. Chciałbym też dowiedzieć się, jak to jest się śmiać. My, koty, zawsze jesteśmy poważne i przyjmujemy wszystko z surowością. Chciałbym czasami pozwolić sobie na odrobinę kpiny czy autoironii, która umożliwia relatywizowanie.

– Zawsze pragniemy być inni, niż jesteśmy.

– A ty, Bastet, czym chciałabyś być w przyszłym życiu, gdybyś mogła wybierać?

– Oczywiście kotką! Kiedy znajdziemy się na szczycie piramidy ewolucyjnej, nie możemy chcieć się cofać. Czym byłoby moje życie, gdyby osaczały mnie jedynie obrazy i dźwięki, gdybym nie mogła wykorzystywać umysłu i dogłębnie pojmować otaczającego mnie świata? Czułabym się... upośledzona!

– Nie znasz jeszcze naprawdę świata ludzi. Jest ciekawszy, niż sądzisz.

– Jeśli chodzi w nim o prowadzenie wojny, pracę, chodzenie w równowadze na tylnych łapach albo spanie w nocy, to naprawdę nie widzę sensu.

Pitagoras porusza uszami.

– Teraz, kiedy droga jest już wolna, pokażę ci piwnicę i zdradzę mój sekret.

Drepcze przede mną w stronę białych schodów. Stajemy przed drzwiami, które Pitagoras otwiera zręcznie, skacząc na klamkę. Ponieważ lampa pod sufitem nie działa, ruszamy naprzód w półmroku, mając za jedyne źródło światła promienie słońca wpadające przez okienko.

Mam mocno rozszerzone źrenice, aby ogarnąć każdy najdrobniejszy szczegół pomieszczenia. Tutaj, zamiast butelek z winem, gazet i zakurzonych mebli, które wypełniały moją piwnicę, widzę metalowe maszyny, kable elektryczne, tubki i fiolki. Ściany nieskazitelnego pomieszczenia pomalowano na białą.

Przypomina trochę gabinet weterynaryjny, do którego zabrała mnie kiedyś Nathalie, żeby mnie odrobaczyć.

Pitagoras wspina się na stół z nierdzewnej stali.

– Urodziłem się w hodowli kotów laboratoryjnych – mówi. – To istoty stworzone do eksperymentów naukowych przeprowadzanych przez ludzi. Odebrano mnie rodzicom, kiedy byłem małym kocięciem. Nie znam ani matki, ani ojca. W młodości byłem jeszcze bardziej nieokrzesany niż ty. Nie wiedziałem nawet, że poza białymi pomieszczeniami oświetlonymi jarzeniówkami istnieje jeszcze jakiś inny świat.

Kot syjamski bierze głęboki wdech, jak gdyby musiał dodać sobie odwagi, żeby stawić czoło przykrej przeszłości.

– Żyłem w ciasnej klatce, karmiono mnie granulatem o stałych porach. Piłem z przezroczystego poidła. Żadnych pieszczot, żadnych spotkań z ludźmi albo innymi kotami. Bez czułości, emocji, bez uczuć. Dla ludzi, którzy tam przebywali, byłem jedynie przedmiotem. Nie miałem nawet imienia, tylko nazwę: „KD-683”. Co oznacza: „Kot doświadczalny numer 683”. Myślę, że nie potrafiliby mnie nawet rozpoznać, ponieważ wszystkie koty w laboratorium były kotami syjamskimi wyglądającymi dokładnie jak ja. Słyszałem, jak miauczą w oddali, nie mogłem jednak ich zobaczyć ani dotknąć. Cały dzień siedziałem sam, w małej klatce, czekając.

Usiłuję sobie wyobrazić, co mogłabym odczuwać w podobnej sytuacji. Nie potrafię pohamować dreszczu.

– Nie było to nie do zniesienia, ponieważ nie miałem z czym porównywać mojej sytuacji. Cierpienie rodzi się z poczucia, że można mieć lepsze życie, tymczasem jakaś niesprawiedliwa przeszkoda nam to uniemożliwia. W przeciwnym razie można naprawdę przyzwyczaić się do wszystkiego, nawet do tego, co najgorsze. Nie rozumiejąc, co w rzeczywistości się dzieje, nie miałem poczucia niesprawiedliwości, ponieważ dla mnie wszystko było normalne. Świat poza klatką nie istniał.

– Co za udręka!

Pitagoras milczy przez chwilę, po czym ciągnie:

– Ach, ależ niewiedza jest wygodna! Nigdy nie widziałem myszy, ptaka, jaszczurki ani nawet drzewa. Nie poczułem na sobie wiatru, deszczu czy śniegu. Nie widziałem słońca, księżyca ani chmur. Nie wiedziałem nawet, czy jest dzień czy noc. Żyłem w nieustannym zamknięciu, w ciepłym, białym, gładkim świecie, który nie miał nic wspólnego z naturą – był to świat laboratoriów. Przede wszystkim nie musiałem podejmować żadnych decyzji, dokonywać wyborów, nie ryzykowałem więc, że się pomylę. Kiedy twoim życiem kierują inni, nie musisz

używać wolnej woli: jako istota pozbawiona odpowiedzialności zawsze czujesz się dobrze. Uległa albo wreszcie szczęśliwa. Jednak nie trwało to wiecznie...

Pitagoras wskakuje na wyższy mebel.

Chcę pójść jego śladem, ale czuję zawrót głowy. Zauważam, że trzy z moich wąsów spłonęły w pożarze. Wyjaśnia to, dlaczego od czasu bójki z Thomasem tracę równowagę i odbieram mniej informacji z zewnątrz.

– Opiszę ci pierwsze doświadczenie, które ludzie na mnie przeprowadzili. Zostałem umieszczony w klatce dwa razy większej od tej, w której mieszkałem do tej pory. Już samo przeniesienie do większej przestrzeni wywołało nieprzyjemne uczucie. Pośrodku znajdował się przycisk z żarówką. Rozległ się dzwonek, lampa zapaliła się na czerwono. Dzwoniła i mrugała. Czułem, że trzeba coś zrobić. Zbliżyłem się więc do przycisku i położyłem na nim obie łapy. Natychmiast spadł z góry chrupek. Powąchałem, spróbowałem. Był pyszny. Sucha karma z drobiowym żołądkiem, lepsza od tej, którą do tej pory mi podawano.

Pitagoras przerywa, stopniuje napięcie.

– Oczekałem chwilę i ponownie rozległ się dzwonek i zapaliła się czerwona lampka. Ponownie nacisnąłem przycisk i spadł kolejny chrupek. Powtórzyło się to pięciokrotnie i system wydawał mi się prosty. Tymczasem, w pewnym momencie, naciskanie przycisku przestało skutkować pojawianiem się karmy. Naciskałem mocniej, szybciej. Nic się nie pojawiało. Było to dla mnie niezrozumiałe i nieznośne. Kolejny dzwonek, czerwone światło, przycisk nie działa. Zdenerwowałem się. Aż nagle, w niezrozumiały sposób...

– Tak?

– ...po kolejnym dzwonku i nowym naciśnięciu przycisku chrupek wreszcie się pojawił. Poczułem ulgę. Naturalnie pomyślałem, że doszło do awarii. Potem urządzenie psuło się w pewnych odstępach czasu. Usiłowałem zrozumieć dlaczego. Byłem jak w amoku. Czy przycisk działa, kiedy znajduję się daleko? A może kiedy naciskam mocno? Albo obydwoma łapami? A może jeśli miauknę kilkakrotnie przed działaniem?

– Jak brzmiało rozwiązanie?

– Chodziło o naukowy eksperyment. Uwarunkowano mnie. Chodziło o „odruch Pawłowa”: zwykły fakt pojawiania się dźwięku i światła sprawiał, że się śliniłem. Ale to nie ślina ich interesowała, ale moja zdolność do znoszenia tej osobliwej sytuacji.

– Na twoim miejscu byłabym zła.

– Szalałem z wściekłości! Chciałem zrozumieć, jak spowodować pojawienie się chrupka za każdym razem! Kiedy mi się to nie udawało, skakałem, miauczałem, piszczałem. Twarze ludzi obserwowały mnie zza krat. Błagałem, żeby naprawili

mechanizm. Nie czułem już nawet głodu, chciałem po prostu, żeby to działało. Zawsze. Systematycznie.

– Żal mi cię.

– Doświadczenie trwało jeszcze jakiś czas. Doprowadzało mnie do szaleństwa. Kot syjamski parska, a jego spojrzenie staje się surowe.

– Inne koty poddawane były tej samej próbie. Wszystkie naprawdę i nieodwracalnie oszalały.

Pitagoras wzdycha z rezygnacją.

– Dowiedziałem się później, że jako jedyny miałem wystarczająco silny umysł, żeby nie pęknąć.

Głodzi wąsy.

– Osoba prowadząca eksperyment nosiła biały kitel i miała białe, pachnące różą włosy.

– Sophie?

– Wybrała mnie do kolejnych doświadczeń. Eksperymentowano z moim snem, podczas którego filmowano mnie, żeby analizować, co dzieje się w moim mózgu. Czy wiedziałaś, że my, koty, jesteśmy zwierzętami, które śpią i śnią najwięcej z całego królestwa zwierząt?

– Tak, już to mówiłeś. Przesypiamy połowę doby, gdy tymczasem ludzie jedynie jedną trzecią.

Nie wydaje się dotknięty tym, że zwróciłam mu uwagę, iż czasami się powtarza.

– Moim zdaniem temu właśnie zawdzięczamy tak łatwy dostęp do niewidzialnych światów.

Drapię się po czubku głowy; chciałabym, żeby mi opowiedział, w jaki sposób otrzymał Trzecie Oko.

– Sophie przeprowadziła na mnie wiele doświadczeń i za każdym razem uświadamiała sobie, że jestem najodporniejszy i najbystrzejszy.

Pewnego dnia zoperowała mnie i wszczepiła mi Trzecie Oko.

Pitagoras zdejmuje plastikową fioletową pokrywkę, która zatyka dziurę w jego czaszce, i po raz kolejny oglądam niewielki prostokątny otwór o metalowych brzegach.

– To „interfejs komunikacyjny”. Wejście USB połączone cienkimi kablami elektrycznymi z wieloma konkretnymi punktami w moim mózgu. Nazwała je „OKO” od „Otworu Komunikacyjnego Obwodu”. Tym sposobem Sophie mogła wysyłać mi do głowy pierwotne uczucia, a następnie muzykę i obrazy.

– Bezpośrednio do twojego umysłu dzięki temu urządzeniu?

– Z początku to nie działało. Cierpiałem na migreny, wymiotowałem. Z czasem

Sophie zaczęła dostosowywać sygnały. Udało jej się połączyć dźwięk z wizją. Informacje stały się bardziej płynne. Następnie nauczyła mnie rozumienia swojego języka. Tym sposobem umożliwiła mi recepcję informacji z ludzkiego świata.

Na tym więc polega sekret Pitagorasa! Przyglądam się z bliska wejściu USB, wacham je, liżę. Ale ludzkie informacje nie mają żadnego smaku.

– Zajęło to siedem lat. Siedem lat prób po omacku, mniej lub bardziej bolesnych, żeby stworzyć kanał emisji dla wiedzy ludzkiej przyswajalnej przez kota. W dniu, w którym zaczęło to działać, poczułem się tak, jak gdyby otwarto przede mną drzwi, za którymi znajduje się światłość. Wreszcie mogłem zrozumieć ich zwyczaje. Rozszyfrować ich cywilizację.

Ostatecznie nie wygląda to skomplikowanie: drąży się otwór w czaszce, umieszcza w niej urządzenie z metalu i plastiku, podłącza kable elektryczne i to wystarcza, żeby zrozumieć ich „świat”?

– Po przyjęciu podstawowych informacji niezbędnych do zgłębienia arkanów ich systemu musiałem nauczyć się łączyć słowa, obrazy i pomysły ludzkie. Zapamiętywałem wszystko z tym większą zachłannością, że przez wiele lat byłem tego pozbawiony. Interesowałem się każdym szczegółem, chciałem wszystko zrozumieć. Bez trudności gromadziłem w pamięci nazwy innych zwierząt, terytoriów, abstrakcyjne idee, słownictwo. Najtrudniejsze było łączenie ze sobą właściwych elementów. Jeśli nie znasz klucza, według jakiego należy to zrobić, całość pozostaje niezrozumiała.

– Zrozumienie ich cywilizacji zajęło ci siedem lat?

Pitagoras potrząsa głową.

– Najbardziej zaskoczyło mnie, kiedy Sophie wyjaśniła, na czym polegało doświadczenie, któremu zostałem poddany. Otrzymywanie lub nie chrupka, kiedy zapalało się czerwone światło i rozlegał dzwonek, było losowe. Mogłem się głowić całe życie i nigdy nie byłbym w stanie pojąć systemu opartego na przypadku. Inni stracili przy tym rozum.

– Każdy z nas chce nadać sens temu, co wydarza się w jego życiu. Tymczasem ty byłeś w stanie zaakceptować myśl, że to, co działo się w klatce, przerasta cię. Jaki jednak cel miało dla ludzi doprowadzanie kotów do szaleństwa?

– Sophie wszystko mi wytłumaczyła. Było to doświadczenie dotyczące uzależnień. Chodziło o zrozumienie uczucia zakochania, które łączy ludzkich samców i samice. Jego badanie wykazało, że to uczucie jest formą emocjonalnego uzależnienia.

– Seksualność?

– Pociąg do niektórych partnerów seksualnych. To ich fascynuje. W jaki sposób samica ludzka może obudzić szaloną miłość w ludzkim samcu?

– Emitując właściwe zapachy?

– Nie, dając mu albo nie dając chrupka w sposób całkowicie losowy. Nazywa się ją wtedy „kobietą fatalną”. Nagroda przyznawana w irracjonalny sposób lub jej brak sprawia, że samce uzależniają się i potencjalnie... wariują.

Nie próbuję nawet tego zrozumieć.

– A ludzie badają „wpływ kobiet fatalnych” na sfrustrowanych mężczyzn... torturując koty?

– To doświadczenie naukowe zostało zamówione dla zilustrowania artykułu w psychologicznym czasopiśmie kobiecym.

– Ja, jeśli partner seksualny okazuje mi czułość, a następnie bez powodu jej mnie pozbawia, zmieniam go na innego, który zapewnia mi stałe i regularne uczucie...

– Wywnioskowałem z tego doświadczenia, że aby czuć się szczęśliwym, nie powinno się być uzależnionym od innej osoby.

Drapię się za uchem.

– Czy to dlatego nie chcesz się ze mną kochać? Dlatego jesz mało i nawet nie bronisz dostępu do swojej miski i swojego terytorium?

Pitagoras kiwa głową, podobnie jak ludzie.

– Ten, kto niczego nie posiada, nie ma nic do stracenia. Obawiam się tylko jednego – że ktoś będzie miał mnie na własność. Pozbawiam się więc wszystkiego i żyję, nie będąc uzależnionym od niczego ani nikogo.

Wspominam Félixa i pojmuję nagle, że to przez uzależnienie od seksu stracił jądra, a uzależnienie od kocimiętki pozbawiło go pierwotnych instynktów.

– Kiedy moje Trzecie Oko zaczęło w pełni sprawnie działać, Sophie „wyedukowała” mnie tak, jak ludzie kształcą własne dzieci. Podzieliła wiedzę na kategorie. Poznałem historię, geografę, naukę, politykę. Następnie, aby uzupełnić moją wiedzę, poprawiła jeszcze urządzenie w taki sposób, abym mógł uczyć się stale, już bez jej pomocy. Podłączyła mnie przez USB do Internetu i nauczyła mnie surfować po sieci.

– Czy powiesz mi wreszcie, czym jest Internet?

Pitagoras gładzi wąsy.

– To miejsce, w którym ludzie umieszczają swoje obrazy, muzykę, filmy. Internet jest swego rodzaju punktem stycznym wszystkich wspomnień ludzkich mózgow z całego świata. I nawet kiedy ludzie umierają, ich wiedza pozostaje w Internecie.

Nie do końca pojmuję tę koncepcję, ale przytakuję, chcąc, żeby mówił dalej.

– Tak więc dzięki Trzeciemu Oku mogłem sam krążyć po Internecie i szukać interesujących mnie informacji. Przestałem być uzależniony od Sophie.



– Czy mogłeś nadawać i udawać człowieka w Internecie?

– Nie, nie mam palca, więc nie mogę wystukiwać tekstów. Mogłem natomiast po powierzchni ekranu przemieszczać kursor, który wizualizowałem w głowie. Mogłem klikać, otwierać strony i przewijać teksty. Tym samym sposobem uruchamiałem odtwarzanie plików dźwiękowych i audiowizualnych.

– Czyli potrafisz czytać ludzkie słowa?

– Nie potrafię czytać tak jak oni (nie umiałbym przeczytać książki), ale rozpoznaję kształty liter i niektóre ich kombinacje tworzące słowa. Potrafię je interpretować i rozumieć.

– Zatem udaje ci się odbierać obrazy i dźwięki odpowiadające ich językowi, ale nie potrafisz im emitować.

– Tak czy owak, to oni mają więcej informacji do zaoferowania nam, niż my moglibyśmy im przekazać!

Czasami Pitagoras wydaje mi się paradoksalny. Dysponuje taką wiedzą, a jednocześnie jest taki naiwny.

– Ale teraz... nie jesteś do niczego podłączony. A Sophie nie żyje. Jak uda ci się podłączyć do Internetu?

– Właśnie w tym celu poprosiłem, żebyś tu ze mną przyszła. Pamiętasz, jak zniknąłem na tydzień? Chodziło o opracowanie nowego urządzenia. Sposobu na stały dostęp do Internetu, bez potrzeby podłączania się do komputera w piwnicy. Pomożesz mi, Bastet. Moim zdaniem cztery łapy kota mogą dorównać ludzkiej dłoni.

Pokazuje mi, czego ode mnie oczekuje.

– Sophie podejrzewała, że taka sytuacja może się wydarzyć – wyjaśnia – opracowała więc system przenośny. Żeby jednak zadziałał, musisz mi pomóc założyć tę uprząż, przymocować ten pokrowiec i ten smartfon.

Bierzemy się do dzieła, pomagając sobie pazurami i zębami. Trzeba nałożyć, poprawić i docisnąć uprząż na grzbiecie Pitagorasa. Następnie wsunąć smartfon do pokrowca doczepianego do uprzęży.

Następnie Pitagoras wyjaśnia mi, w jaki sposób wsadzić wąską wtyczkę znajdującą się na końcu białego kabla do konkretnego otworu w smartfonie. Ten sam kabel zakończony jest większą wtyczką, którą Pitagoras nazywa „interfejsem USB”. Rozumiem, że nigdy nie zdołałby sam podłączyć tego sprzętu do czaszki.

Kiedy już połączyłam kabel smartfona z jego głową, kot syjamski wyjaśnia mi, co powinnam robić dalej. Przede wszystkim włączyć smartfon. W tym celu muszę wcisnąć okrągły przycisk, a następnie przesunąć łapą z lewa na prawo po strzałce widocznej na ekranie.

Stosując się do jego instrukcji, naciskam następnie mały kolorowy kwadrat

służący do otwierania czegoś, co nazywa „aplikacją”.

Pitagoras siada i zamyka oczy.

– Brawo, moje Trzecie Oko otworzyło się na Internet – informuje mnie.

– Co widzisz?

– Słowo, które nic nie znaczy. Wiem tylko, że wymawia się je „gugl” w języku ludzi. Wystarczy, że będę teraz przesuwając kursor i surfować.

Zauważam, że jego oczy poruszają się pod powiekami, jak gdyby śnił. Śni „Internet”. Długo to trwa. Na jego pysku pojawiają się różne wyraziste grymasy, jak gdyby znajdował się w zupełnie innym miejscu. Wydaje się na zmianę zły i zadowolony.

– Wiem, gdzie znajduje się Angelo – oznajmia po dłuższej chwili. – Jego czujnik wskazuje, że jest na zachodzie, w Lasku Bulońskim. Zlokalizowałem też Nathalie. Jest na wschodzie w lesie w Vincennes. To dwa lasy poza obrębem miasta. Możemy tam dotrzeć na piechotę.

– Co oni tam robią?

– Tego nie wiem, muszę się jednak podzielić z tobą złą wiadomością.

– Chodzi o wojnę?

– Gorzej. O powód, dla którego wojna zwolniła tempo albo wręcz została przerwana.

– Rzeczywiście nie słychać już ani krzyków, ani wybuchów, ani bijących się ludzi.

– To normalne, boją się.

– Czego?

– Dżumy...

– Przecież mówiłeś, że to choroba, która dawno zanikła!

– Z powodu namnożenia się szczurów pojawiła się zmutowana odmiana dżumy. Szczury przyczyniają się do jej szerokiego rozprzestrzeniania się. Nic nie jest w stanie ich powstrzymać, gdyż przemieszczają się tunelami metra i kanałami. Kontrolują cały podziemny świat. Szerzą śmierć.

– A ta dżuma... czy ona może skrzywdzić nas, koty?

– Nie mam pojęcia. Ostatni naukowcy, którzy badają problem, nie wspominają o wpływie choroby na koty. Jako że ludzie nie rozpoznali na czas symptomów dżumy, ofiary śmiertelne na całym świecie liczy się w tysiącach. Zanim zdążyli opracować procedury kwarantanny albo izolacji tych, u których objawiła się choroba, liczba zarażonych wzrastała wykładniczo. Na świecie nie ma już ani jednego bezpiecznego miejsca. Dżuma jest wszędzie, we wszystkich większych i średnich miastach planety.

– Sądziłam, że ich naukowcy potrafią wszystko wyleczyć.

– Problem polega na tym, że większość naukowców została już zabita przez religijnych.

– Po co ludzie zabijają naukowców, skoro to oni znajdują sposoby na leczenie chorób?

– Od czasu skazania przez inkwizycję astronoma Giordana Bruna na początku XVII wieku dwie grupy oddają się zaciekłemu współzawodnictwu w wyjaśnianiu sensu życia. Przewagę zyskują często religijni, których jest więcej i mogą podburzać tłumy. Ogólnie rzecz biorąc, ludzie Boga nie lubią wiedzy. Kładą wszystko na karb boskiej woli.

– Czyli głupi ludzie zabijają inteligentnych?

– Obrońcy prostych systemów, na przykład totalitaryzmu, zawsze odnosili większe sukcesy wśród tłumów niż ci broniący systemów skomplikowanych typu demokratycznego. Często dlatego, że ich dyskurs bazuje na strachu. Strachu przed naturą, śmiercią, wyobrażonym wszechmogącym Bogiem.

– Jakiś czas temu widziałam ludzi palących książki na ulicy.

– Religijni często stoją w opozycji do sztuki, seksualności i nauki. Oferują świat, w którym ludzie przestają być odpowiedzialni za swoje czyny i mogą osiągnąć spokój jedynie dzięki posłuszeństwu.

Zaczynam mieć dość tych skomplikowanych historii ludzkich. Jeśli religijni chcą skazywać naukowców, niech sobie to robią. Proszę tylko, żeby szanowali nas, koty.

– Nie jestem zmęczona, chcę odnaleźć Angela – rzucam. – Mówiłeś, że znajduje się w lesie na zachodzie. Chodźmy po niego.

Ostatecznie, chociaż postrzegam siebie jako złą matkę, wciąż nie uwolniłam się w pełni od swojej progenitury. Może się to wydawać zaskakujące w chwili, gdy znajdujemy się w samym środku kryzysu, ale czuję się dobrze. Być może właśnie dlatego, że przeżyłam, doświadczwszy straszliwych rzeczy (pokonałam człowieka pięć razy większego ode mnie!), być może – ponieważ znalazłam w sobie ciekawość, aby wyjść na spotkanie sąsiada, i cierpliwość, aby wysłuchać jego nauczania. Co więcej: czuję się gotowa, ja, Bastet, z moją inteligencją i z moimi środkami, aby spróbować nieco zmienić ten świat i skierować go ku lepszej przyszłości.

## Na zachód

Ogon wzniosłam wysoko.

Pitagoras również.

Maszerujemy dzielnie przez miasto oświetlone pełnią księżyca.

Sceneria wokół nas jest coraz bardziej chaotyczna. Ulice, drogi, chodniki są pełne wyrw. Budynki w ruinie.

Czy to możliwe, żeby ludzie zniszczyli swoje miejsce do życia w imię olbrzyma, którego nigdy nie widzieli i który miałby ich obserwować z nieba? W imię podejrzliwości wobec naukowców? W imię zazdrości?

Pitagoras jest pod wrażeniem liczby wisielców na drzewach. Przypominają długie owoce pokryte krukami. Zauważam, że niektórzy mają jeszcze na sobie białe kitle, co potwierdza teorię antagonizmu religii i nauki.

Gdzieniegdzie zwłoki ludzkie leżą w stosach. Tworzą niewielkie pagórki, nieco tylko wyższe od stert śmieci. Dalej, wśród leżących na ziemi ciał, dostrzegam kilka pokrytych zielonymi obrzękami.

– Dżuma – potwierdza mój towarzysz podróży.

Chmury much brzęczą wokół nas.

Szczury przyglądają się nam.

Niektóre wyłaniają się z kanałów albo rynsztoków, zatrzymują w bezpiecznej odległości i wyzywająco odsłaniają siekacze.

– Czy szczury wiedzą, że roznoszą ludzką śmierć? – pytam Pitagorasa.

– Dany gatunek wie, że niszczy inny.

– Celowo, twoim zdaniem?

– Jestem o tym przekonany. Ale obawiam się, że ludzie nie są tego świadomi w równym stopniu.

Popędza mnie, żeby zdążyć przed świtem.

Do tej pory moja najdalsza wyprawa doprowadziła mnie na plac budowy, gdzie pracowała Nathalie. Idąc po dachach, nie wypuściłam się poza miejsce, które Pitagoras nazywa „wzgórzem Montmartre”.

Schodzimy stamtąd ku zachodowi i docieramy do okrągłego miejsca zwanego „placem Clichy”. Pośrodku znajduje się duży pomnik przedstawiający ludzką samicę stojącą na ruinach obok mężczyzny, który trzyma broń, i drugiego, który jest ranny.

Pomnik ten otaczają właśnie ranni i martwi ludzie i ruiny.

Nagle na plac wjeżdża ciężarówka i zatrzymuje się u stóp pomnika. Wsiadają z niej ludzie w pomarańczowych fluorescencyjnych strojach i maskach, w których wyglądają, jakby mieli płaskie dzioby.

– To szczelne kombinezony, służą do ochrony przed dżumą – wyjaśnia kot syjamski.

Kiedy tylko osobnicy wysiedli z pojazdu, zostali otoczeni przez szczury. Ludzie przepędzają je seriami z karabinu maszynowego. Następnie układają stos ze zwłok leżących na placu, polewają go benzyną i zmieniają w wielkie palenisko.

– Najpierw palili książki, teraz ciała – zauważam.

– Tym razem to konieczne, żeby powstrzymać dżumę.

Widok tych wszystkich spalonych zwłok przypomina mi, że Pitagoras przewidział, iż nastąpi koniec ludzkiego panowania, tak jak niegdyś nadszedł kres dominacji dinozaurów.

Kilku mężczyzn w pomarańczowych kombinezonach dzierży broń, z której buchają płomienie – celują w najbardziej bezczelne szczury.

– To miotacze ognia – wyjaśnia Pitagoras. – Chodź, nie zwlekajmy.

Docieramy na dach sąsiedniego budynku, wspiąwszy się po ścianie porośniętej bluszczem.

Kiedy przemieszczamy się po cynkowanej blasze między kominami, uświadamiam sobie, że my, koty, jesteśmy istotami wysokości, tymczasem ludzie przywiązani są do powierzchni, a szczury do podziemia.

Jak gdyby stając w opozycji do mojej teorii, nagle znikąd pojawia się nietoperz i atakuje mnie.

Nie mam czasu na wszczęcie dialogu (*Dzień dobry, nietoperzu*), bo on już usiłuje oślepić mnie swoimi skrzydłami i zatopić mi zęby w szyi.

Kiedy mówię „nietoperz”, mam na myśli bandę nietoperzy, gdyż jest ich około tuzina.

Razem z Pitagorasem opieramy się o komin i zmuszeni jesteśmy prawie stać na dwóch tylnych łapach, żeby stawić czoło atakowi czarnych skrzydeł, pomiędzy których dobiegają rozdzierające krzyki. Udaje mi się zabić jednego nietoperza. Łudzę się, że to wystarczy, aby zniechęcić pozostałe. Nic z tego jednak, bestie są tak zaciekle, a ich przenikliwe krzyki tak nieprzyjemne, że wolimy wycofać się i ukryć w budynku, wślizgując się przez uchylone okno. Trzymam w pysku pokonane zwierzę.

Od napastników dzieli nas teraz szyba.

Wewnątrz na łóżku leży człowiek o otwartych oczach i ustach. Jego ciało

pokrywają zielone obrzęki, które zauważyłam już na niektórych zwłokach, jakie napotkaliśmy po drodze.

Smród zapiera dech w piersiach.

Pitagoras proponuje, żebyśmy znaleźli miejsce, w którym moglibyśmy zjeść naszą zdobycz. Schodzimy więc piętro niżej i dzielimy się nietoperzem. On zjada głowę, a ja łapy, każde z nas po skrzydle. Zwierzę smakuje podobnie jak szczur, ale błony służące mu za skrzydła mają gumowatą konsystencję i lepią się do zębów. Żują długo i głośno cienką i miękką materię. Boję się, że się udławię.

Nasyчени, myjemy się śliną, po czym wyruszamy w celu zbadania reszty budynku i odkrywamy inne ciała na ziemi. Niektóre ruszają się jeszcze i jęczą.

Jeden z ludzi odzywa się do mnie, ale oczywiście niczego nie rozumiem. Z ruchów jego ust wnioskuję, że jest spragniony i głodny. Nieszczęsny człowiek.

W sąsiednim pomieszczeniu trafiamy na włączony telewizor. Zatrzymuję się, żeby przyjrzeć się scenom z dnia dzisiejszego. Na ekranie widać ludzi w białych kitlach, których rozstrzeliwują ludzie w zielonych mundurach.

– Głupi zabijają inteligentnych?

– W Chinach podczas rewolucji kulturalnej prezydent Mao wyeliminował wszystkich intelektualistów, a później w całej Kambodży przykazano analfabetom mordować ludzi wykształconych. Nazwano tę rzeź „rewolucją”, aby wytępienie elit uszło za formę poprawy warunków życia. Zazwyczaj nowi liderzy są jeszcze bardziej skorumpowani niż ci, których odsuwają od władzy, wszystkim jednak się to podoba, ponieważ przynajmniej następuje zmiana. Ale to tylko makijaż – wiesz, kolorowe kremy, jakie nasze służące nakładają sobie na policzki i wargi, żeby wyglądać jak ktoś, kim nie są.

– Nigdy nie było rewolucji o dobroczynnych skutkach?

– Które by osiągnęły swój cel? Nie. Zazwyczaj po początkowym entuzjazmie następuje faza dezorganizacji, aż wreszcie pojawia się totalitarny dyktator, który przywraca porządek i wszyscy czują się pewniej.

– Osobliwe...

– Ale cykliczne. Z tego, co zrozumiałem, ludzki świat ewoluuje w ten sposób: trzy kroki ewolucyjne naprzód (to okres, w trakcie którego następuje postęp w każdej dziedzinie), następnie przychodzi kryzys (najczęściej w postaci wojny) i wszystko się wali. Robią dwa kroki do tyłu. W czterysta siedemdziesiątym szóstym roku naszej ery w wyniku inwazji barbarzyńców upadło Cesarstwo Rzymskie, musiano czekać do tysiąc pięćsetnego roku, żeby rozwinął się renesans, okres słusznie tak nazwany, ponieważ po tym tysiącleciu ludzie wystartowali dokładnie z miejsca, w którym zatrzymały się medycyna, technologia, malarstwo, rzeźba, architektura i literatura.

– Stracili tysiąc lat?

Pocieram pyszczek, po czym zadaję dręczące mnie pytanie.

– Czy to możliwe, żeby ludzie wymarli... wszyscy?

– Poprzednie epidemie dżumy, w XVI i XVII wieku, zabiły połowę populacji.

Za każdym razem plagę zatrzymywała fala zimna.

– Fala zimna? Pogoda może ocalić ludzi?

– Do tej pory tak było, w każdym razie – dzięki niej przetrwali. Wreszcie, w tysiąc dziewięćsetnym roku, ludzki naukowiec Alexandre Yersin odkrył przyczynę epidemii: „przenoszona przez szczury i pchły”. Pozwoliło mu to na opracowanie skutecznego leku.

– Przecież mówiłeś mi, że nie ma leku na dżumę.

Pitagoras kręci głową.

– Chcę ci pokazać, jak daleko może posunąć się ludzki geniusz, kiedy się go do tego odpowiednio zachęci.

Zamyka oczy, skupia się na chwilę, po czym ze smartfona na jego grzbiecie wydobywa się ludzki głos.

– Co to takiego?

– Dzięki mojemu Trzeciemu Oku otworzyłem w Internecie plik dźwiękowy. To piosenka wykonywana przez kobietę o niezwykłym głosie. Nazywa się ją „Callas”. Nie żyje, ale jej zarejestrowany śpiew wciąż wywołuje emocje. Ten utwór nazywa się *Casta Diva* i pochodzi z opery *Norma* Vincenza Belliniego.

Muzyka wydobywa się z małych głośników wbudowanych w smartfon. Z początku jestem zdziwiona dźwiękami, które nieomal przypominają miauczenie. Głos faluje, wibruje, roznosi się. Zbliżam się do smartfona i widzę na ekranie czarno-białą twarz kobiety z długim nosem, która śpiewa.

Jakie to piękne.

Nagle pojmuję, dlaczego Pitagoras chce, żebyśmy zachowali zdobycze ludzkiej cywilizacji. Głos tej Callas wznosi się coraz wyżej, tymczasem chór innych ludzi wyśpiewuje refren.

Osobliwe, co ta muzyka wywołuje w moim ciele. Jest niczym doskonałe, energetyzujące mruczenie.

– Teraz wiesz już, co w nich podziwiam – oznajmia Pitagoras.

Serce ściska mi się na myśl, że wszystko to może zniknąć.

– Zatem ludzie odkryli znaczenie sztuki – stwierdza. – Niczemu nie służy. Ani jedzeniu, ani spaniu, ani zdobywaniu nowych terytoriów. Sztuka jest czynnością niepotrzebną, a jednak stanowi ich siłę. Dinozaury nie pozostawiły po sobie artystycznych śladów.

Muzyka płynie, cudowna, trwa przez jakiś czas, wreszcie ustaje.

– Pewnego dnia, jeśli chcemy im dorównać, jakaś kotka będzie musiała miauczeć równie pięknie jak Callas melodię równie piękną jak *Casta Diva* Belliniego.

Pitagoras rusza w stronę dziwnego mebla w kącie pomieszczenia. Daje mi znak, żebym ułożyła łapy tak jak on i pomogła mu unieść pokrywę.

Naszym oczom ukazuje się rząd około stu białych i czarnych klawiszy. Kot syjamski zaczyna się po nich przechadzać. Przy każdym jego kroku w powietrzu rozlega się inny dźwięk. Przypomina mi się scena, którą widziałam w *Arystokotach* w telewizorze Sophie.

Powoli kakofonia ustępuje miejsca muzyce, która wydaje mi się harmonijna. Pitagoras zaczyna miauczeć melodię, jaka wydobywa się z mebla.

– Co to jest? – pytam.

– „Fortepian”. Wejdz na klawiaturę, Bastet.

On drepcze w lewo po instrumencie, wywołując niskie dźwięki, ja skaczę na drugim końcu klawiatury, produkując wysokie tony.

Kot syjamski miauczy. Ja też miauczę.

On gra i śpiewa w niskiej tonacji, ja gram i śpiewam na wysokiej skali.

Nikt nam nie przeszkadza. Naszą muzykę na pewno słychać na ulicy, nad szczurami, śmieciami, nad zgliszczami ранego miasta. Chwila łaski dla chaosu.

Długo tak gramy i śpiewamy, coraz bardziej się ośmielamy, wreszcie ogarnia nas zmęczenie i kładziemy się na łóżku.

Śnię, że Callas głaska mnie po karku i po brzuchu. Odczuwam pełną harmonię i stwierdzam: „Trzeba być dobrym dla swojego ciała, żeby dusza miała ochotę w nim zostać”.



## Wśród gałęzi

Nie wiem, czy to z powodu wojny między ludźmi, strachu przed szczurami i dżumą, a może wypuszczenia się tak daleko od domu z Pitagorasem, słuchania Callas albo trawienia mięsa nietoperza, ale po przebudzeniu czuję się tak, jakby w mojej głowie znalazł się kulisty kryształ. Myślę o Angelu. Tęsknię za nim.

– Nie możemy tutaj zostać – mówi Pitagoras, nieruchomy, siedząc w pozycji do medytacji, z zamkniętymi oczyma.

Wiem, że podłączył się do Internetu i poi swój umysł ze źródła wiedzy – uczy się dzięki Trzeciemu Oku.

– Musimy dotrzeć do bulwaru de Courcelles, którym dojdziemy do placu de l'Étoile, a następnie wystarczy przejść aleją Focha aż do Lasku Bulońskiego.

Dziś mamy zamiar poruszać się po ziemi, żeby uniknąć ataków nietoperzy.

Drepczemy obok siebie przez wyludnione miasto.

Ze zdziwieniem przyglądam się mijanej przez nas strefie zieleni z trawnikami i zagajnikami. Pitagoras mówi, że to park Monceau.

Zatrzymujemy się tam na krótko, żeby pochłęptać chłodnej wody z sadzawki. Pocieramy sobie nosy i wylizujemy się. Po tym wszystkim, co przeżyliśmy w ostatnim czasie, ta chwila zażyłości i czułości jest dla nas niczym promień słońca.

Ruszamy w dalszą drogę.

Nie zauważywszy w oddali ani człowieka, ani szczura, wykorzystujemy okazję i puszczamy się biegiem. Jak ja lubię biegać, czuć łapy muskające podłoże i falowanie kręgosłupa, balansować ogonem. Wiatr przykleja mi wąsy do pyszczka, świszczy w uszach, rozplaszczając je do tyłu.

Pitagoras oznajmia mi, że dotarliśmy na plac des Ternes i ruszymy teraz aleją de Wagram, prowadzącą na plac de l'Étoile.

Nie zważam już nawet na liczne nabrzmiałe ludzkie zwłoki ani na rannych leżących na asfalcie.

Wspominam moją służącą Nathalie i mam nadzieję, że zdołała uciec przed tymi niebezpieczeństwami do lasu na wschodzie.

Śpieszymy się, ponieważ szczury niebezpiecznie gromadzą się wokół nas. Zapuszczamy się w aleję Focha, ostatnią prostą przed Laskiem Bulońskim.

Miasto zasnuwa mgła. Powoli zmniejsza się widoczność. Nagle spomiędzy

oparów mgły wyłania się zgraja psów.

Zatrzymujemy się gwałtownie.

Przyglądamy się sobie nawzajem.

W skład bandy wchodzi mały biały piesek o przystrzyżonej sierści na łapach i pyszczku, czarny pies z diamentową obrozą, duży brązowy o krótkich łapach i spiczastym pysku, duży z długą beżową sierścią i jeszcze jeden, podobny do tego, który nastraszył swego czasu Pitagorasa, zmuszając go do ucieczki na drzewo.

Wszystkie są brudne, poranione, rozczochrane. Jedne kuleją, inne się ślinią. Źle wróży fakt, że wszystkie machają ogonami, co oznacza, że są zadowolone z sytuacji.

Mimo wszystko chcę spróbować i wysyłam im myśl:

*Dzień dobry... psy...*

W zamian otrzymujemy nieprzyjazne szczekanie. Następnie zwierzęta rzucają się na nas, nadając wyraźnie wrogie fale. Uciekamy w mgłę.

Zgraja pędzi za nami.

Słaba widoczność nie poprawia sytuacji. Po odgłosach szczekania zauważamy, że szybko nas doganiają.

Ratuje nas latarnia, która niestety nie jest połączona z innymi punktami na wysokości. Trudno, i tak nie mieliśmy wyboru, musimy przede wszystkim zadbać o przeżycie w tej chwili.

Pazury umożliwiają nam wspięcie się na metalowy słup. Tłoczmy się na wąskiej wypustce w jego górnej części, nie jesteśmy jednak w stanie znaleźć solidnego chwytu. Nasze łapy z poduszeczkami ślizgają się, musimy co chwilę poprawiać pozycję i szukać równowagi. Ogon, na szczęście, służy nam za balans.

Pod nami psy hałasują i próbują wspiąć się, żeby nas dopaść, ale ich łapy o niedających się chować pazurach ślizgają się po metalu.

Największy z psów, pojawiwszy, że nie zdoła wdrapać się na górę, wykorzystuje własną czaszkę w charakterze tarana i uderza w podstawę słupa. Uderzenia stają się coraz silniejsze. Ku ogromnej uciechu pozostałych psów z trudem zachowujemy równowagę. Wrogie szczekanie nasila się.

Jak długo zdołamy tu wytrzymać?

Czy psy nie mają nic innego do jedzenia oprócz dwóch kotów włóczęgów?

Mam ochotę powiedzieć im, żeby zaatakowały raczej szczury, których jest znacznie więcej. Po raz kolejny zastanawiam się nad potrzebą nawiązania międzogatunkowego dialogu. Pełna wątpliwości, próbuję z mocą nadać myśl:

*Dzień dobry, psy. Nie chcemy wam przeszkadzać. Pozwólcie nam przejść.*

Niestety, mruczenie zdaje się jeszcze bardziej je ekscytować. Szczególnie dużego brązowego, który wydaje z siebie gardłowe odgłosy.

Uświadamiam sobie, że jeśli oboje teraz umrzemy, zniknie również możliwość przekazania pozostałym kotom ludzkiej wiedzy.

– Nadal uważasz, że wszystko, co nas spotyka, ma na celu nasze dobro? – miauczę do mojego towarzysza z lekką ironią.

– Owszem – odpowiada.

– Wciąż uważasz, że nasi wrogowie i przeszkody, które stają nam na drodze, służą sprawdzeniu naszej odporności i umiejętności walki?

– Tak.

– A jeśli umrzemy tu i teraz?

– Będzie to oznaczało, że nasze dusze mają inne cele do osiągnięcia w innych powłokach cielesnych. Dokonamy reinkarnacji.

– Czy stracimy wtedy wspomnienie tego życia?

Pitagoras nie odpowiada.

– Ja nie chciałabym cię zapomnieć.

– Ja ciebie też nie – przyznaje.

Przełykam ślinę, po czym pytam:

– Czy możemy wymyślić znak rozpoznawczy, który pozwoliłby nam w kolejnym życiu się odnaleźć?

– Musielibyśmy jeszcze być podobnymi zwierzętami, żyjącymi w niewielkiej odległości od siebie.

– Śpiew Callas! – wołam. – Kiedy ją usłyszymy, przypomnimy sobie, że słuchaliśmy tej muzyki w naszym poprzednim życiu i że przyprawiała nas o drżenie.

Psy nie wydają się wcale męczyć szczekaniem na nas. Skąd czerpią energię? Czy też jedzą nietoperze? Odpowiedź pojawia się znienacka, oczywista. Zjadają się między sobą. Kanibale.

– Dlaczego psy tak się zachowują? – pytam kota syjamskiego.

– Ponieważ pies nasiąka umysłem swojego ludzkiego pana. Te, które mają brutalnych właścicieli, są brutalne. Te, których panowie są łagodni i nastawieni pokojowo, również takie są. W pewnym sensie nie mają wpływu na własny charakter.

– Tymczasem my mamy, gdyż wybieramy nasz temperament, prawda?

– Psy, które stoją teraz pod nami, musiały mieć naprawdę surowych właścicieli.

Coraz trudniej przychodzi mi utrzymanie równowagi. Zaczynam godzić się z myślą, że wszystkie moje ambicje zgasną w tym miejscu.

Co by mi sprawiło prawdziwą przyjemność w tej chwili?

Pozostać przy życiu.

Nagle szczekanie ustaje.

Lecz cisza, która następuje, budzi jeszcze większy niepokój.

Wszystkie psy zwróciły głowy w tym samym kierunku, zdają się zahipnotyzowane widokiem, jaki ukazał się ich oczom. Co bardziej zadziorne postawiły uszy i warczą, odsłaniając kły.

Powoli, jak we śnie, z mgły wyłania się kot... Olbrzymi kot. Nigdy nie widziałam równie wielkiego.

Zwierzę ryczy przerażająco. Czuję wibracje aż w klatce piersiowej.

Nie wierzę własnym oczom, wąsom ani uszom.

Rusza w naszą stronę.

Jest piękny. Potężny. Złocisty.

Niektóre psy oddają mocz ze strachu albo wsuwają ogon między łapy, żeby osłaniać przyrodzenie.

Pitagoras jest również pod wrażeniem postaci.

– Nigdy nie widziałem go z bliska – szepcze.

– Co to jest?

– Lew. Gałąź kotów, które wybrały wielki rozmiar. Jeden z naszych „równoległych przodków” w pewnym sensie.

Trwamy w oszołomieniu.

– Widziałem w Internecie, że zgłoszono zniknięcie lwa z cyrku w Lasku Bulońskim. Uciekł po zniszczeniu klatki podczas zamieszek, ale nie sądziłem, że pozostał w okolicy.

– Co to jest cyrk?

– To miejsce, w którym ludzie pokazują wytresowane zwierzęta skaczące przez płonące koła. Chyba nawet pamiętam, że ten lew ma na imię Hannibal.

– Hannibal? Ładne imię.

– Nawiązuje do wielkiego oswobodziciela z okresu starożytności.

Czy będzie i naszym „oswobodzicielem”?

Zgraja, po chwili wahania co do dalszego postępowania, decyduje się utrzymać pozycję i stawić czoło przeciwnikowi. Rozlega się kolejny ryk.

Stawiając na przewagę liczebną, psy ujadają i otaczają lwa.

Zastanawiam się, czy nie skorzystać z okazji i nie zeskoczyć z latarni, ale Pitagoras daje mi znak, żebym się jeszcze wstrzymała.

Uczestniczę więc w niesamowitej scenie. Psy jednocześnie rzucają się na zwierzę. Dwadzieścia psów przeciwko jednemu lwu. Ten jednak okazuje się wyjątkowym przeciwnikiem.

Walka, jaką staczają ze sobą olbrzymi kot i zgraja kęsających psów, jest niesamowita. Zwierzę rozdaje ciosy o niezwykłej sile. Wspina się na tylne łapy,

potrząsa grzywą i utrzymuje się w pozycji pionowej niczym człowiek.

Za każdym ruchem łapy pazury lwa rozorują skórę psów. Te, które nie zostają w ten sposób powalone, trafiają na olbrzymie kły.

Lew opada na cztery łapy i ryczy, jak gdyby zbierał w sobie moc, aby lepiej ją następnie wykorzystać.

Niecałe dwie minuty od rozpoczęcia starcia wszyscy napastnicy leżą na ziemi. Tylko najmniejsze psy, które nie brały udziału w walce, uciekają.

Pitagoras przygląda wąsy.

– To się nazywa lew – oznajmia, podsumowując imponującą scenę.

Nie mam odwagi zejść z latarni. Bestia mnie przeraża.

– Chodźmy do niego.

– Czy nic nam nie grozi? – pytam.

– Nie wiem. Nie mam gotowych odpowiedzi na wszystko. Jedyнным sposobem, żeby się tego dowiedzieć, jest podejść tam.

Kot syjamski zeskakuje na ziemię. Po krótkim wahaniu idę w jego ślady.

Lew w ogóle nie zwraca na nas uwagi. Jest zbyt zajęty pożeraniem psów, których kości chrzęszczą, miażdżone jego szczękami.

– Mam wrażenie, Bastet, że nadeszła chwila, aby zademonstrować twój talent komunikacji w trybie emocji – mówi Pitagoras, przyglądając się zwierzęciu z podziwem.

– Proponujesz mi, żebym porozumiała się z lwem?

– Lew jest mimo wszystko bliższy nam niż jakiegokolwiek inne zwierzę. Jest w pewnym sensie naszym dalekim kuzynem. Spróbuj.

Zwijam się w kłębek i skupiam. Zaczynam mruścić coraz głośniej.

Widzę, że uszy zwierzęcia kierują się w moją stronę, jednak lew nie przerywa jedzenia.

Psia czaszka pęka pod naciskiem trzonowców z suchym trzaskiem, jak orzech.

Znów mruczę.

*Dzień dobry, lwie. Chciałabym z tobą porozmawiać. Czy to możliwe?*

Jego uszy ponownie zwracają się w moją stronę i zwierzę wreszcie zgadza się poświęcić mi chwilę uwagi. Ma żółte okrągłe ślepie. Cicho porykuje.

Czy to była forma odpowiedzi? Pitagoras daje mi znak, żebym kontynuowała.

Wielokrotnie powtarzam moją wiadomość, wreszcie, przypomniawszy sobie, że lew prawie należy do rodziny, miauczę bezpośrednio.

– Cześć, Hannibalu.

Nieruchomieje, przygląda mi się nieco dłużej, wreszcie wybiera najmniejszego psa w swoim zasięgu, ledwo napoczęte zwierzę, i rzuca mi go.

Musiał uznać, że żebrzę o jedzenie.

– Dziękuję.

Nadgryzam prezent (choć mając w brzuchu nietoperza, czuję się syta).

– Spróbuj jeszcze raz – nalega Pitagoras. – Musi ci się udać.

*Dziękuję, Hannibalu, że nas ocaliłeś.*

Próbuję użyć najniższego głosu i jestem pewna, że lew mnie zrozumiał, a jednak wciąż głośno je, nie odwracając się.

Wtedy spomiędzy drzew wyłania się około dwudziestu wygłodniałych kotów.

Przyglądają się nam, zbliżają, po czym rzucają na pozostawione przez lwa resztki psów. Ogromne zwierzę beka pogardliwie na widok tłumu nędznych kuzynów, odwraca się do nich plecami i odchodzi tak, jak się pojawił, znikając we mgle.

– To potwierdza moje podejrzenia, że wielu naszych współpracowników tu się ukryło – zauważa Pitagoras.

– A Angelo?

– Sprawdzę w Internecie, gdzie dokładnie na mapie pojawia się jego sygnał GPS.

Zamyka oczy i koncentruje się. Zauważam, że ekran smartfona umieszczonego na jego plecach rozjaśnia się i ukazuje linie oraz kolorowe strefy. To musi być ta tak zwana „mapa”. Migocze na niej czerwony punkt. Domyślam się, że ekran smartfona pokazuje to, co widzi Pitagoras. Nie wiem tylko, jak interpretować te obrazy.

– Jest niedaleko, chodź ze mną – mówi Pitagoras, otwierając oczy.

Omijamy wygłodniałe koty i zapuszczamy się w głąb Lasku Bulońskiego. Kiedy wchodzimy na nowe terytorium, mgła unosi się i promienie słońca przesączają się przez listowie, odsłaniając kilkoro spośród naszych współpracowników, którzy drzemią na drzewach. Większość usadowiła się na niższych gałęziach, opuściwszy w dół bezwładne łapy.

– Chyba rozumiem, dlaczego się tu znalazły – wzdycha mój towarzysz. – Las jest jednym z nielicznych miejsc, gdzie nie ma studzienek ściekowych ani wylotów metra.

W miarę jak posuwamy się naprzód, odkrywamy wśród gałęzi już nie dziesiątki, ale setki kotów.

Woń grzybów, kory, korzeni i mokrej gleby łaskocze mnie w nozdrza. Uwielbiam to miejsce. Czuję się tak, jak gdyby moje komórki nagle przypomniały sobie, że moi przodkowie żyli w podobnym otoczeniu. Las emituje fale, które mój umysł wizualizuje w postaci wirujących spirali życiowej energii; tutaj wszędzie daje o sobie znać siła natury. Zamykam na chwilę oczy i mam wrażenie, że

wszystko promienieje. Na ziemi widzę robaki, mrówki, ślimaki, w powietrzu motyle, muszki i ptaki. Drzewa zdają się olbrzymami o długich ramionach zapraszających mnie, abym na nie się wspięła. Podmuch wiatru sprawia, że gałęzie zaczynają tańczyć, a liście śpiewać.

*Dzień dobry, drzewa.*

Zatrzymuję się i pocieram pazurami o korę najbliższego pnia.

*Dzień dobry, klonie.*

Testuję inne drzewo, potem jeszcze inne.

*Dzień dobry, jesionie. Dzień dobry, brzoza.*

Drapię je wszystkie, ale najprzyjemniejsza dla moich pazurów jest brzoza, gdyż jej roślinna skóra jest miękka i łatwa do zdarcia.

Zauważam stokrotkę wśród traw i nadgryzam ją.

*Dzień dobry, kwiatku.*

Ale jej główka opada i wypływa z niej biały sok. To musi być odpowiedź. Interesująca informacja: rośliny wyrażają się płynnym językiem. Liżę biały sok, lecz jest gorzki, więc wypluwam go.

*Przykro mi, stokrotko, nie rozumiem cię.*

Dołączam do Pitagorasa, który zmierza w stronę grupy śpiących osobników.

Pośród nich zauważam mojego pomarańczowego synka.

Angelo ssie czarną kotkę o wielkich żółtych ślepiach.

Wołam go, ale na mój widok wydaje z siebie lekceważące miauknięcie i wtula się w obcą. Jak mogłam ponieść taką porażkę w komunikacji, że moje dziecko woli nieznaną od własnej matki? Mruczę. On tylko okazuje niezadowolenie.

Stwierdzam, że Nathalie nie ocalała najlepszego z moich dzieci.

– Dzień dobry pani, jestem matką tego kocięcia.

– Świetnie, przygarnęłam go, bo był głodny.

Kotka odpycha Angela w moją stronę.

Ten miauczy z niezadowoleniem. Podsuwam mu sutki pod nos, a on – rozpoznając wreszcie znajomy zapach – łaskawie się nimi interesuje. Odczuwam natychmiastową ulgę, gdyż sutki zaczynały mnie już boleć.

– Kim są koty zgromadzone w lesie? – dopytuje Pitagoras.

– Większość z nich straciła swoich służących. Włóczyły się po mieście i w końcu zrozumiały, że jest ono niebezpieczne, dlatego zebrały się w tej zalesionej okolicy, która wydawała im się przyjazna – odpowiada czarna kotka.

– Mam na imię Pitagoras, a to jest Bastet.

– Miło mi, nazywam się Esmeralda.

– Jak się tu znalazłaś, Esmeraldo?

– Moja służąca była śpiewaczką. Lubiłam miauczeć razem z nią. Kiedy

zamieszki dotarły i do mojego domu, służąca postanowiła uciec ze mną i moim kocieciem, ale powstrzymali nas uzbrojeni i wrogo nastawieni ludzie. Nosili zielone stroje i długie brody. Moja służąca i kocie zostały zamordowani, tylko ja przeżyłam. Włóczyłam się po ulicach miasta i padłam ofiarą ataku hordy szczurów. Szukając schronienia, usłyszałam miauczenie i znalazłam to pomarańczowe wygłodniałe kocie, ukrywające się w rynsztoku. Naturalnie zaproponowałam mu swoje mleko. Od tamtej pory nie odstępowało mnie na krok. Spotkaliśmy naszych współbraci, którzy opowiedzieli mi o kociej wspólnocie żyjącej na zachodzie. Postanowiłam do niej dołączyć. A jaka jest wasza historia?

– Dokładnie taka sama – powiedziałam, żeby uciąć wszelkie pytania.

Angelo jak zwykle mnie podgryza. Łączy niewdzięczność z niezręcznością, ale jestem szczęśliwa, że go odnalazłam, i nie mam mu tego za złe.

Kolacja z poprzedniego dnia pozwoliła mi odzyskać siły i prawdopodobnie mam więcej pokarmu niż ta chuda kotka. Angelo może nie mieć instynktu rodzinnego, ale zawsze będzie wołał tłustsze mleko.

– Zostaliśmy zaatakowani przez zgraję psów i ocalił nas Hannibal – uzupełnia Pitagoras. – Zna go pani?

– Tak i boję się go. Już po raz drugi porwał się na psy. Czujemy się bezpieczne i chrapiemy resztki po nim, ale jestem zdania, że Hannibal nie zawaha się zaatakować i nas, kiedy tylko zabraknie mu psów.

– Czym się tutaj żywicie?

– Jemy kaczkę, żaby, wiewiórki, a przede wszystkim króliki. Podobno dawniej było ich tu sporo, ale odkąd polujemy, są już bliskie wyginięcia. Zdarza nam się też jeść pająki i karaluchy.

Jeśli dobrze się przyjrzeć, włóczęga Esmeraldy musiała składać się z uciążliwych spotkań ze szczurami, psami i innymi kotami: jest pokryta długimi zadrapaniami.

– Dziękuję, że ocaliła pani mojego syna – miauczę.

– Niektórzy ludzie uważają, że czarne koty przynoszą nieszczęście – mówi Pitagoras – ale pani zdaje się temu zaprzeczać.

Do licha! Czyżby Pitagoras podrywał Esmeraldę? To byłby już szczyt, gdyby ta kotka, która pojawiła się znikąd, ukradła mi nie tylko syna, lecz także samca, którego pożądam!

Wtrącam się i daję znak kotu syjamskiemu, że czas, abyśmy rozejrzeli się za własnym schronieniem w lesie. Esmeralda informuje nas, że w pobliżu jeziora znajdują się jeszcze wolne puste pnie.

Istotnie, trafiamy na kryjówkę w kasztanowcu. Pitagoras sprawia jednak wrażenie zamyślnego, nerwowo porusza ogonem.



– Będziemy musieli zorganizować armię kotów i odbić miasto z łap szczurów – oświadcza.

– Kiedy?

– Najszybciej, jak tylko to będzie możliwe. Każdy dzień, który mija, jest dniem straconym.

Nie mam jednak ochoty na rozmowę, a ponieważ słońce wzniosło się na tyle wysoko, że zaczyna mnie drażnić, układam się i zasypiam spokojnie, pozwalając synowi ssać. Dość już miałam wrażeń jak na jeden dzień. I chociaż zależy mi na Pitagorasie i bardzo go szanuję, nie zamierzam jednak być mu ślepo posłuszna. Przed zapadnięciem w sen moją ostatnią myślą jest: jeśli tak bardzo zależy mu na armii, która miałaby podbić miasto, niech poprosi tę Esmeraldę, jestem pewna, że chętnie za nim podąży...

## Przemowa wodospadu

Śnię, że Esmeralda śpiewa jak Callas.

Siła jej głosu inspiruje Pitagorasa, który śpiewa razem z nią. Następnie lew Hannibal dołącza do nich i podejmuje tę samą melodię w niższej tonacji. Angelo również miauczy swoim piskliwym głosikiem. Powtarzają ten sam temat.

„Sztuka uwzniośla i czyni tych, którzy ją praktykują, nieśmiertelnymi – oświadcza Pitagoras we śnie. – Callas, nawet martwa, wciąż śpiewa w Internecie i w naszych snach. Powinniśmy również dążyć do nieśmiertelności poprzez sztukę. Musimy wymyślić naszą «kocią sztukę». Esmeraldzie już prawie się to udało, słyszysz?”

W moim śnie odczuwam złość i staję naprzeciw nich:

„Ja nie muszę śpiewać, potrafię rozmawiać ze światem bezpośrednio: przekazywać myśli z umysłu do umysłu. Posiadam tę moc, gdyż jestem reinkarnacją pradawnej bogini Egiptu Bastet”.

Budzi mnie ptasia kupa, która trafia mnie w czaszkę.

Unoszę głowę i zauważam nad sobą stado kruków siedzących na gałęzi drzewa, w którym się skuliłam. Zapewne i one są stopniowo przepędzane przez szczury. Nie wiem, gdzie te ptaki ukrywają swoje jaja, ale jestem przekonana, że szczury je znajdują i pożerają.

Jestem głodna, więc wspinam się i podejmuję próbę złapania jednego z tych ptaków, kiedy jednak tylko podnoszę łapę, te uciekają całym stadem. Musiały już mieć do czynienia z moimi współbraćmi. Szkoda, że nie potrafię latać.

Rozpaczam więc toaletę w celu usunięcia odchodów brudzących moją sierść. Ziewam, przeciągam się. Angelo nadal śpi, ale Pitagorasa nie ma.

W ogóle, jeśli się dobrze przyjrzeć, w pobliżu niewiele jest kotów. Nie jest to normalne. Opuszczam naszą kryjówkę, żeby sprawdzić, co się dzieje. Świeże ślady łap prowadzą w jednym kierunku. Podążam tym tropem i trafiam na tłum kotów zajmujących brzegi jeziora.

Wszystkie mają wzrok skupiony na jednym punkcie, wysoko, na kamiennej wypustce ponad jaskinią, z której tryska wodospad.

Woda spada z łoskotem, tworząc białą pianę na tafli jeziora.

Na wypustce dostrzegam Pitagorasa. Stoi na tylnych łapach, jak człowiek. Nie wiedziałam, że potrafi tak długo utrzymywać równowagę.

Fioletowa pokrywka Trzeciego Oka zwraca uwagę wszystkich.

Podchodzę bliżej i wysłuchuję końca jego przemowy.

– ...armię kotów, aby pozbyć się z miasta wszystkich szczurów roznoszących dżumę.

Kot perski o bardzo długim włosiu prosi o głos.

– Szczury już są silniejsze od nas – przypomina. – Jeśli podejmiemy od strony obwodnicy, będziemy zgubieni. Mam dla naszej wspólnoty lepszą propozycję. Istotnie, sądzę tak jak ty, Pitagorasie, że nie możemy siedzieć tutaj bez końca, bo ostatecznie zabraknie nam pożywienia, co zmusi nas do pożerania się nawzajem, co do tego masz rację. Ale... zamiast przypuszczać atak na miasto albo zostać tutaj, proponuję wyruszyć na zachód. Kiedyś razem z moją służącą udaliśmy się w tamtym kierunku i trafiliśmy na olbrzymie rozlewisko zielonej wody, które ciągnęło się aż po horyzont. Jedliśmy tam mnóstwo ryb. W pobliżu nie było nawet jednego szczura.

– Boję się wody – odzywa się jeden z kotów.

– Ja też – rzuca drugi.

– I ja – dobiega zewsząd.

– Wiem, wiem – ucina kot perski – ja również dawniej bałem się wody. Ale jeśli mam wybierać między szczurami i wodą, to woda stanowi łatwiejszą do pokonania przeszkodę. Kiedy tam dotrzemy, będziemy mogli łowić świeże ryby. Wszyscy lubimy świeże ryby, prawda? Mamy dość wychudzonych królików i chorych kruków... Warto spróbować.

Pitagoras czeka, aż kot perski skończy swoją przemowę i zapadnie cisza.

– To, co ty nazywasz „wodą aż po horyzont”, ludzie określają mianem „morza”. Miasto, które odwiedziliście, to zapewne Deauville. Istotnie, są tam plaże, dużo słonej wody, dużo ryb, ale...

Słowa te zrobiły swoje i zebrani są pod wrażeniem jego wiedzy.

– ...nie sądzę, żeby te ryby można było tak łatwo schwytać. Jeśli chcecie wędrować aż do Deauville i łowić sardynki, nurkując w lodowatych odmętach, oczywiście nie zamierzam was powstrzymywać ani sprzeciwiać się propozycji mojego rywala.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – pyta jakaś kotka.

– Mam dostęp do Wiedzy.

– Jakiej „Wiedzy”?

– Wiedzy świata ludzi, w czasie i przestrzeni.

– Jak to możliwe?

– Informacji tych dostarcza mi urządzenie, które widzicie na czubku mojej czaszki. Trzecie Oko.

Pochyla głowę, podnosi fioletową pokrywkę i odsłania idealnie prostokątny otwór prowadzący w głąb mózgu.

– Stąd wiem to, czego wy nie jesteście w stanie nawet sobie wyobrazić.

Wśród zebranych ponownie zapada długa cisza.

– Umieramy z głodu – przypomina dachowiec. – Twoja wiedza niczemu nie służy, jeśli nie jest w stanie nas nakarmić.

Pitagoras przyjmuje bardziej stabilną pozycję na czterech łapach i wyjaśnia:

– Wystarczy, że zdecydujemy się działać wspólnie w celu odzyskania władzy nad naszym losem. Nasi jedyni wrogowie, szczury, są słabsi, niż myślicie. Pokonajcie wasze lęki, zaufajcie mi, musimy utworzyć armię kotów, zaatakować je i pokonać.

– Kim ty tak naprawdę jesteś, stary wychudzony kocie syjamski z dziurą w głowie? Nikt cię tu nie zna.

– Nie mam nic do ukrycia. Kiedyś byłem kotem laboratoryjnym, ale przekonałem moją służącą, żeby wydobyła mnie z więzienia. Otworzyła mi Trzecie Oko w głowie i wykształciła. W ten sposób poznałem historię ludzi. Wybrałem swoje imię, nawiązując do jednego z nich, który wydawał mi się najbardziej interesujący i najmądrzejszy. Pitagoras.

Tym razem uszy wszystkich unoszą się nieco bardziej, Pitagorasowi udało się skupić na sobie większą uwagę.

– Sam wybrałeś dla siebie imię? – dopytuje pręgowana kotka, pełna podziwu.

– Kim był ten twój Pitacośtam? – chce wiedzieć inna.

– Pitagoras był człowiekiem obdarzonym darem jasnowidzenia, który żył dwa i pół tysiąca lat temu. Społeczeństwo ludzkie przeżywało kryzys, pogrążone było w przemocy, głupocie i strachu, tymczasem on zdołał zmienić mentalność swoich współbraci. Sprawił, że uświadomili sobie własną niewiedzę. Pozwolił im dotrzeć do świata niedostępnego dla zwykłych zmysłów. Pitagoras wynalazł słowo „filozofia” oraz słowo „matematyka”. Stworzył szkołę, w której kształcił uczniów, aby stali się inteligentni i sami szerzyli inteligencję. Pitagoras poprowadził ludzkość ku pokojowi i mądrości, dlatego wybrałem jego imię, aby czynić to samo z moimi współbraćmi kotami.

Zgromadzenie pozostaje sceptyczne. Większość kotów, podobnie jak ja, nie rozumie nawet znaczenia wielu słów, których użył. Pitagoras nie daje się jednak zbić z tropu.

– Pozwólcie, że przedstawię wam wasze możliwości. Pierwsza polega na życiu w strachu przed wydarzeniami, które was przerastają, których przyczyn i skutków nie rozumiecie. Na życiu w stercie śmieci i na polowaniu na wygłodniałe króliki. Na życiu w nadziei na powrót „normalnego stanu rzeczy”, w którym macie swoją

miseczkę i swój fotel. Druga opcja polega na wzięciu losu w swoje łapy, na zorganizowaniu armii i odbiciu miasta.

Kot perski znów zabiera głos.

– Mam na imię Nabuchodonozor. Przyznaję, że sam nie wybrałem swojego imienia i nie wiem, czego dokonał człowiek, który nosił je przede mną, ale wiem, że jeśli cię posłuchamy, Pitagorasie, zostaniemy pokonani przez szczury. Zamiast umierać z głodu, zostając tutaj, albo w zębach szczurów, wracając do miasta, proponuję, żebyśmy poszli łowić ryby na zachodzie.

– Nabuchodonozorze, proponujesz, żebyśmy udali się w miejsce, które znajduje się tak daleko, że ci, którzy pójdą z tobą, umrą z głodu, zanim będą mogli zamoczyć łapy w morzu. Deauville jest wiele dziesiątków kilometrów stąd.

– Nieprawda! Byłem tam i to nie jest aż tak daleko!

– Nie szedłeś tam na piechotę, pojechałeś samochodem, prawda? Nie zdawałeś sobie sprawy z odległości.

– Skąd to wiesz, Pitagorasie? Dzięki twojemu Trzeciemu Oku?

– Właśnie. Deauville znajduje się dwieście kilometrów stąd! Kot drepcze najwyżej pięć kilometrów na godzinę. Trzeba by więc maszerować bez przerwy przez dwa dni.

– Może i nie mam Trzeciego Oka i nie wiem, czym są kilometry i godziny, wiem jednak, że szczurów jest obecnie znacznie więcej niż nas. Mówisz o armii kotów? A ja mówię, że ta armia z całą pewnością poniesie porażkę.

– Właśnie, ukradnijmy pożywienie szczurom tam, gdzie jest go dużo, i delektujmy się nim. Nakarmię was wszystkich do syta! Bez zanurzania się w wodzie, by złapać ryby, od razu, bez dalekiej podróży.

Tym razem przynęta chwyciła.

– Dokąd chcesz pójść? – pyta pręgowana kotka.

– Wczoraj wieczorem odkryłem, że istnieje duży magazyn świeżych produktów spożywczych, nienaruszonych, gotowych do zjedzenia.

– Gdzie? Mów.

– Niedaleko. Kilkaset metrów stąd.

– Nie chodzi o zepsute mięso, zwłoki pełne much i robaków?

– Sucha karma. Mleko. Puszki z tuńczykiem i łososiem. Oto co tam znajdziemy. Wystarczy tam pójść.

Ponownie spiczaste uszy kierują się w stronę mówcy, lekko drżące, co stanowi dowód na to, że najlepszą motywacją jest z pewnością wołanie brzucha.

– Będziecie się delektować – nalega Pitagoras.

Nabuchodonozor nie chce zrezygnować, miauczy zdecydowanym tonem:

– Jeśli o mnie chodzi, wolę przejść długą trasę i łowić w tym, co nazywasz

„morzem”, zamiast walczyć ze szczurami.

– Najlepiej będzie, jeśli każdy z zebranych wybierze sam. Kto jest gotów pójść ze mną i odszukać magazyn z pożywieniem?

Ponieważ nikt nie reaguje, postanawiam się wtrącić.

– Posłuchajcie mnie! Mam na imię Bastet. Ja też nie wybierałam własnego imienia. Ja też nie mam Trzeciego Oka. Ja też boję się szczurów. Ale znam Pitagorasa, a po tym wszystkim, co widziałam i przeżyłam u jego boku, mogę was zapewnić, że zawsze mówi prawdę i nigdy się nie pomylił.

Wciąż brak pozytywnych reakcji.

– Jeśli chcesz, żebyśmy za tobą podążyli, musisz podać nam więcej informacji na temat magazynu z jedzeniem! – woła jedna z kotek.

– OK! Posłuchajcie uważnie: przywódca ludzi w tym kraju, prezydent Republiki, ma dom o nazwie „Pałac Elizejski”. Miejsce to wyposażone jest w podziemie „antyatomowe”, czyli w swego rodzaju piwnicę, gdzie znajdują się zapasy pożywienia na czas wojny.

Wszyscy są pod wrażeniem jego wiedzy. Wykorzystując tę przewagę, Pitagoras ciągnie:

– Kiedy ogłoszono wybuch epidemii dżumy, prezydent i jego ministrowie nie ukryli się w schronie, lecz uciekli samolotem. Pałac Elizejski został splądrowany przez uzbrojone bandy, ale nie udało im się odkryć, jak zejść do schronu przeciwiatomowego, doskonale chronionego przez system zamków elektronicznych wymagających identyfikacji źrenicy. Kiedy dżuma zaczęła się rozprzestrzeniać, ulice Paryża opustoszały, a hordy psów zostały pokonane przez szczury.

– To prawda – potwierdza stary kot pokryty bliznami.

– Szczury przepędziły kruki, nietoperze, gołębie i wróble, wystraszyły nawet nowe olbrzymie karaluchy, których wszędzie pełno. Najadły się i rozmnożyły. Tam, gdzie kiedyś znajdowało się dziesięć szczurów, pojawiło się ich sto, a każdy roznosi dżumę.

– Potwierdzam, że widziałem, jak gryzonie atakują grupy młodych ludzi i zmuszają ich do ucieczki – rzuca stary, pokiereszowany kocur.

– Opowiadaj dalej o magazynie jedzenia! – zachęca pręgowana kotka.

Pitagoras nie każe się dwa razy prosić.

– Pewnego dnia jednemu ze szczurów udało się wejść do schronu przeciwiatomowego: przez rurę systemu wentylacyjnego. Przegryzł filtry i odkrył dostęp do zapasów.

Wszystkie zebrane koty słuchają uważnie.

– Wówczas szczury utworzyły łańcuch, żeby przetransportować pożywienie. Szło im jednak zbyt wolno, więc postanowiły rozkruszyć zębami ścianę obok

metalowych drzwi. Tym się obecnie zajmują. Drażą beton siekaczami, żeby dotrzeć do olbrzymiego magazynu z jedzeniem.

Nikt nie reaguje, a Nabuchodonozor wykorzystuje okazję, żeby znów zabrać głos.

– Jak wpadłeś na pomysł, żeby wypytać o to ten twój Internet? – pyta, wciąż podejrzliwy.

– Moja służąca mogła nadawać wiadomości, które odbierałem.

– Chcesz powiedzieć, że mogła do ciebie przemawiać? Nasi służący również do nas mówili, a my mogliśmy ich zrozumieć...

– Ale niedokładnie. Moja służąca mogła mi przekazywać wiadomości tak precyzyjne, jak gdyby miauczała w języku kotów. Przed śmiercią wyjawiała mi, gdzie znajdują się ostatnie zapasy pożywienia w mieście. Wiedziała o tym, ponieważ jej brat był wojskowym i pracował z prezydentem. Wczoraj wieczorem przypomniałem sobie o tym. Kiedy spaliście, wykorzystałem moje Trzecie Oko i sprawdziłem, co się tam dzieje.

– Jak to możliwe? – pyta pręgowana kotka, pod wrażeniem.

– Również dzięki swojemu bratu moja służąca umożliwiła mi dostęp do jednego z programów ich tajnych służb, który pozwolił mi zajrzeć do systemu nadzoru wideo. Dzięki kamerom zobaczyłem, jak szczury wynoszą pożywienie przez rurę wentylacyjną i drażą betonową ścianę.

– Twoja historia jest trochę skomplikowana – odpowiada Nabuchodonozor. – Używasz zbyt wielu słów, których nie rozumiem: chcesz zrobić na nas wrażenie. Nie wierzymy ci. Wolę maszerować przez dwa dni, niż walczyć z całą masą szczurów roznoszących tę prawdopodobnie śmiertelną również dla nas chorobę.

Zgromadzone koty zaczynają grupować się wokół kota perskiego.

– Pitagoras ma rację! – oznajmia mocny głos, przekrzykując wrzawę.

Odwracamy się i zauważamy kota kartuskiego o niemal niebieskiej sierści.

– Mam na imię Wolfgang. Ja też nie wybierałem swojego imienia i nie posiadam Trzeciego Oka. Byłem osobistym kotem prezydenta Republiki, o którym wspominał kot syjamski.

Kiedy już się przedstawił, zebrani skupiają na nim uwagę.

– Kiedy wojna nabrała rozpędu, mój służący wołał uciec, niż się ukrywać w schronie. Ogarnięty paniką zapomniał mnie zabrać.

Pełen nagany szmer rozchodzi się wśród słuchaczy.

– Był przywódcą ludzi. Zawsze dobrze mnie traktował, ale też zawsze bardzo bał się śmierci.

Niektórzy przytakują, gdyż i ich służący byli strachliwi.

– Pewnego razu, gdy jeszcze wszystko było w porządku, zabrał mnie do

schronu przeciwartomowego wypełnionego pożywieniem, o którym mówił Pitagoras. Istotnie znajduje się tam jedzenie bardzo wysokiej jakości.

Wolfgang wspina się ponad wodospad i siada obok Pitagorasa. Natychmiast dołącza do nich Esmeralda (ta nigdy nie przeoczy okazji, żeby zwrócić na siebie uwagę).

Za nimi wyłania się wielki lśniący księżyc. Kocia sierść faluje na lekkim wietrze. Kilka świetlików potęguje imponujący efekt. Nie mogę pozostać zwykłym widzem, więc także wspinam się na wypustkę nad wodospadem, gotowa dołączyć do ekspedycji pod Pałac Elizejski. Miauczę:

– Zresztą, jeśli nie podejmiemy ryzyka, jak przetrwamy? Czy zostaniemy tutaj, będziemy spali w lesie i jedli coraz mniej? Nienawidzę kontaktu z wodą i nienawidzę biernie czekać, dlatego stoję po stronie Pitagorasa!

W otaczającym nas tłumie widać poruszenie. Jedni do nas dołączają, inni stają przy Nabuchodonozorze.

Większość jednak nie decyduje się na dołączenie do żadnego z obozów i woli beczynnie czekać.

– Wyruszymy z ekspedycją za kilka godzin – oznajmia Pitagoras – dlatego radzę wszystkim wypocząć. Jeśli są wśród was strachliwi, wolę, żeby zostali, będziemy potrzebowali dużej determinacji i waleczności.

Zerkam z ukosa na Esmeraldę.

Jutro, w zamieszaniu spowodowanym walką, spróbuję pozbyć się tej rywalki i problem zniknie.

Natychmiast jednak przychodzi mi do głowy myśl, że Pitagoras mógłby mieć mi to potem za złe. Powinnam raczej dokonać czegoś, co wzbudzi jego podziw.

Jak pomóc mu w ataku na schron prezydencki?

Analizuję długo tę myśl w głowie i wreszcie znajduję rozwiązanie.

Hannibal.

Gdybyśmy zdołali zyskać wsparcie lwa, stalibyśmy się znacznie bardziej sprawni.

Wymykam się dyskretnie ze spotkania. Wykorzystuję to, że Angelo wciąż śpi w pniu drzewa, żeby wyruszyć na poszukiwanie naszego wybawcy.

Odnajduję go na skraju lasu, w pobliżu miejsca, gdzie spotkaliśmy go po raz pierwszy. Trawi. Wydziela silną woń dzikiego kota. Waham się, czy mu przeszkodzić, przypominam sobie jednak, jakie to ważne, i postanawiam zamruczeć mu do prawego ucha:

– Dzień dobry, Hannibalu. Chciałabym nawiązać z tobą dialog. Czy to możliwe?



Moduluję ton mojego przekazu na różne sposoby i ostatecznie jedna z powiek lwa unosi się i zwierzę wydaje z siebie krótkie warknięcie wyrażające zniecierpliwienie.

Dobrze, dialog nie będzie łatwy. Mimo to nie zamierzam rezygnować.

– Możemy się zrozumieć.

Lew uspokaja się, po czym mruczy pod nosem:

– Dlaczego mi przeszkadzasz, kotko?

Trzeba sobie otwarcie powiedzieć, że nie wyraża się, miaucząc. Każde słowo mnie ogłusza, ale przynajmniej rozmawiamy.

– Hannibalu, potrzebujemy twojej pomocy w ekspedycji mającej na celu zdobycie pożywienia.

– Nie jestem już głodny.

– Tak, ale my, koty, jesteśmy głodne.

– Jedzcie psy, muszą tu jeszcze gdzieś być ich resztki.

– Już je dokończyliśmy. Potrzebujemy więcej jedzenia, a Pitagoras znalazł magazyn ze świeżymi produktami. W piwnicy pod ludzkim domem.

– No to idźcie tam.

– To miejsce opanowały szczury. Bez ciebie nigdy nie uda się nam ich pokonać.

– Szkoda.

– Pomóż nam, Hannibalu, proszę.

Lew kręci głową.

– Tutaj nikt nikomu nie pomaga. Każdy działa na swój rachunek. Nie sądzę, żeby w obliczu obecnego kryzysu zachowania miały się zmienić. Przeciwnie. Sytuacja będzie się pogarszać.

– Czasami jeden ewoluujący osobnik wystarczy, aby dokonać zmiany wśród wszystkich żyjących wokół niego. W końcu pewnego dnia ryba wyszła z wody i umożliwiła istnienie tysiącom gatunków lądowych. Między innymi kotom. Teraz wydaje nam się to naturalne, lecz wtedy było dziełem mniejszości.

– Mimo wszystko... Pomagać wam? Co na tym zyskam, kotko?

Szukam strategii: jak przekonać kogoś, kto nie czuje głodu, żeby zadał sobie trud, aby mogli najeść się inni?

Pierwszym środkiem działania jest strach.

– Jeśli nam nie pomożesz pokonać szczurów, pewnego dnia one zaatakują ciebie, a będą tak liczne, że nie poradzisz sobie z nimi.

Hannibal pomrukuje bez przekonania.

– Nie boję się szczurów. Jedyne, czego nie lubię, to istot, które mi przeszkadzają, kiedy chcę mieć spokój.

Odślania jeden z kłów, dając wyraz rozdrażnieniu.

Wystarczyłby mu jeden ruch, żeby rozorać mnie ostrymi pazurami: nie miałabym żadnych szans na przeżycie.

Widzimy grupę kotów, które zbliżają się z podniesionymi ogonami.

– Czego one tu chcą? – pyta lew.

– To Nabuchodonozor i jego zwolennicy, którzy wyruszają na zachód, aby łowić ryby w morzu.

– Dlaczego z wami nie pójda i nie pomogą w walce ze szczurami?

– Wolą uciec. Zawsze do wyboru będą trzy opcje: walczyć, uciekać albo... nic nie robić.

Lew wzdycha, po czym daje znak, żeby zostawić go w spokoju.

Jestem rozczarowana.

Po co nawiązywać dialog, jeśli nie jest on w stanie zmienić mentalności osoby, z którą się rozmawia?

Przynajmniej próbowałam.

## Bitwa na Polach Elizejskich

Niebo przybiera pomarańczowe, następnie czerwone, a wreszcie fioletowe odcienie. Światło zanika. Rozbłyska gwiazda.

Dla nas, kotów, kiedy nadchodzi noc, rozpoczyna się dzień.

Pora wyruszyć w drogę.

Pitagoras zwołuje około dwunastu kotów, które zdecydowały się do niego przyłączyć, zbliżam się i ja. Zostawiamy las za sobą i zapuszczamy się w aleję Focha. Po kilku minutach marszu odwracam się i stwierdzam, że kilka wahających się kotów wstąpiło w nasze szeregi. Wkrótce jest nas blisko dwadzieścioro. To oczywiście za mało, żeby stawić czoło hordom szczurów w mieście, ale zawsze to jakiś początek.

Trzeba przyznać, że w przeciwieństwie do psów my nie potrafimy żyć w solidarnej grupie. Jesteśmy indywidualistami, wręcz może egoistami. Fakt, że zebrało się nas dwadzieścioro do tak niebezpiecznej przygody, jest czymś wyjątkowym.

Na czele pochodu wędruje Pitagoras ze swoim osobliwym urządzeniem przytroczonym do grzbietu i podłączonym do czaszki. Esmeralda kroczy po jego prawej, ja po lewej.

Wolfgang trzyma się blisko mnie, gotów nas pokierować, kiedy znajdziemy się wystarczająco blisko Pałacu Elizejskiego. Na razie w okolicy nie zauważamy ani jednego żywego człowieka.

Kilka psów, które jeszcze nie śpią o tej porze, warczy na nas, utrzymują jednak bezpieczny dystans od naszej zdeterminowanej grupy. Gdybym mogła z nimi porozmawiać, powiedziałabym im, że dobrze by było połączyć nasze siły do walki ze szczurami, ale jaki pies potrafiłby zrozumieć równie innowacyjną myśl?

Zastanawiam się i stwierdzam, że jestem w błędzie. Psy są jak wszystkie inne zwierzęta, robią to, co mogą, motywują je strach, głód, potrzeba spokoju.

Poza tym nie wolno generalizować.

Jestem pewna, że nawet wśród psów muszą istnieć te „dobre”. Musi istnieć jakiś albo jakaś „Bastet pies” albo „Pitagoras pies”. Po prostu ich jeszcze nie spotkałam.

Podobnie, trzeba przyznać, że i wśród kotów znaleźć można potwornie głupie osobniki, takie jak Nabuchodonozor, który zapewne doprowadzi swoich

towarzyszy podróży (grupę znacznie liczniejszą niż nasza) do wyczerpania i śmierci (naprawdę nie rozumiem, jak można nurkować w wodzie, żeby chwycić żywe ryby).

Docieramy na plac de l'Étoile, gdzie wciąż płonie stos, wydzielając silnie pachnący dym. Przypomina mi się smutny los Félix'a: tak kończą ci, którzy żyją, nie chcąc podejmować ryzyka.

Pitagoras, wciąż na czele i pewny siebie, prowadzi naprzód naszą małą drużynę.

Esmeralda trzyma się jego boku i kroczy, muszę to przyznać, z niezwykłym wdziękiem. Nie chcąc dać się wyprzedzić potencjalnej złodziejce samców, doganiam Pitagorasa i ustawiam się przed nim, kręcąc zadem.

Nie może mnie nie zauważyć.

Esmeralda pojmuje sens mojego manewru, na szczęście nie protestuje.

Kiedy chwilę później odwracam się, żeby porozmawiać z Pitagorasem, stwierdzam, że jest nas już blisko setka.

Nasz niewielki oddział schodzi w dół Polami Elizejskimi, szeroką aleją, po której obu stronach stoją unieruchomione samochody. Kilka latarni wciąż jeszcze migoce, nadając scenerii ponury wygląd. Budynki o zniszczonych fasadach odsłaniają wnętrza ludzkich mieszkań. Energia, jakiej użyto do niszczenia wszystkiego, co zostało poprzednio wzniesione, zaskakuje wielu spośród nas.

Przypominają mi się słowa Pitagorasa: „Ludzie ewoluują cyklami: trzy kroki naprzód, dwa w tył, potem znów trzy do przodu”. Zdewastowana ulica pokazuje w każdym razie, że jesteśmy obecnie w fazie „dwa kroki do tyłu”.

Mruczę na średniej częstotliwości, wkrótce zaczyna mnie naśladować Esmeralda, potem Wolfgang, a wreszcie wszystkie koty z naszego oddziału.

Powietrze wibruje od fal, nawet owady i rośliny muszą odczuwać, że stanowimy nową siłę.

Wciąż brak jakiegokolwiek żywego człowieka w polu widzenia. Pitagoras skręca w lewo i po kilku minutach marszu docieramy przed Pałac Elizejski.

Jeden po drugim przechodzimy przez bramę wejściową. Zbieramy się na dziedzińcu pałacu prezydenckiego.

Wolfgang pokazuje nam skrót umożliwiający wejście do schronu przeciwatomowego. Ruszamy za nim, schodzimy po schodach i zatrzymujemy się przed zwartą masą szczurów, które metodycznie gryzą beton kruszący się pod ich siekaczami.

Na nasz widok gryzonie nieruchomieją. Następnie w ich szeregach wybucha panika. Niektóre instynktownie ustawiają się w pozycji obronnej, podczas gdy inne

uciekają – zapewne żeby sprowadzić posiłki. My ustawiamy się w rzędzie, przygotowani do ataku.

Tak jak przewidział Pitagoras, ściana jest już wydrążona na dużej powierzchni.

– Nie możemy tutaj walczyć, gdyż zakleszczymy się między tymi w drzwiach i tymi, które wędrują od strony schodów! – woła Pitagoras. – Trzeba wyjść i bić się na powierzchni, tam, gdzie nasza zdolność szybkiego biegania i wspinania się na drzewa zapewni nam przewagę!

Ma rację. Wydaję rozkazy, nasza drużyna zawraca i wychodzi na ulicę. Czekają nas tam morze lśniących w półmroku czerwonych ślepi. Posiłki szczurów są już na miejscu. Co najmniej dwa tysiące gryzoni naprzeciw setki kotów.

Zbieramy się i ustawiamy w pozycji do walki, strosząc sierść, żeby sprawiać wrażenie większych, odsłaniamy kły i parskamy.

Szczury również się stroszą i wydają z siebie dziwne odgłosy.

– To się nazywa „bruksizm” – informuje mnie Pitagoras. – Trą dolnymi siekaczami o górne, żeby były ostre jak brzytwa.

Wydaje mi się, że dostrzegam wśród nich jednego większego szczura. Zgrzyta zębami w niższym rejestrze. Musi być ich przywódcą. W myślach nazywam go Kambyzesem, bo uważam go za współczesne wcielenie wroga, który ma zamiar nas zniszczyć.

Miauczę piskliwie.

On prycha.

Rzucamy sobie onieśmielające okrzyki, każde w swoim języku.

Zauważam, że porozumiewamy się skuteczniej z drugim gatunkiem, kiedy jesteśmy źli.

Wibracjami gardła wywołuję nowe odgłosy.

On również.

Odgłosy mają na celu dodanie nam odwagi i podtrzymanie na duchu. Jednak na jednego z nas, kotów, przypada dwadzieścia szczurów, które otaczają nas kręgiem. Brak widoków na jakąkolwiek ucieczkę.

Już niektóre spośród nas zaczynają żałować swojego wyboru. Próbuje uciec po drzewach.

Wolfgang warczy i domyślam się, że bardzo się boi. Mruczy i czuję, że jest przerażony.

Ale Esmeralda przyjmuje bojową pozycję, gotowa do skoku.

Wśród szczurów nie widać, żeby któryś się wycofywał.

Odwracam się do Pitagorasa, który mimo wszystko jest głównym odpowiedzialnym za tę sytuację.

– Bitwa powinna odbyć się najpóźniej, jak to tylko możliwe – oznajmia.

Nie rozumiem strategii kota syjamskiego.

– Co to zmieni?

Pitagoras opuszcza powieki, żeby użyć swojego Trzeciego Oka. Wreszcie oznajmia:

– Dzięki kamerom wideo wiem, że wkrótce otrzymamy cenną pomoc.

Szczury wciąż nas otaczają i zastanawiam się, o czym mówi Pitagoras. Małe czerwone oczka i ostre siekacze zbliżają się. Obecność tysięcy pazurów trących o podłogę staje się coraz wyraźniejsza.

Nagle powietrze przeszywa potężny ryk.

Hannibal.

Wszystko, co dzieje się potem, odbywa się bardzo szybko. Lew rzuca się galopem z rozwianą grzywą. Szczury nie mają nawet czasu na przyjęcie pozycji obronnej w obliczu potężnego przeciwnika. Hannibal, wspaniały wojownik, zanurza paszczę między kule pokryte szarym futrem. Chwyta naraz trzy lub cztery, niczym roślinożerca, który pochyła się, żeby skubnąć kwiaty. Szczury piszczą, a po kłach zapoznają się z lwimi pazurami. Te przecinają powietrze, tnąc wszystko, co znajdzie się w ich zasięgu. Tam, gdzie psom się nie udało, szczury tym bardziej nie mają najmniejszych szans.

– Do ataku! – wołam do swoich.

Wykorzystujemy dywersję, jaką zaoferował nam Hannibal, i również rzucamy się w wir walki, naśladując w mniejszej skali naszego mistrza. Ten ostatni wykorzystuje swoją siłę w starciu z masą przeciwników. Kilku hardym szczurom udaje się wczepić w jego grzbiet i zatopić w nim zęby, ale lekkie wstrząśnięcie wystarcza, żeby spadły.

Hannibal jest potworem rozdzielającym śmiertelne ciosy z wdziękiem i elegancją. Jego ruchy są powolne, precyzyjne, od niechcienia, skuteczne. Pozbywa się tych, którzy drażnią go swoim istnieniem.

Tańczy.

Nawet szczury są pod wrażeniem, a niektóre, oszołomione, dają się zabić, nie próbując nawet się bronić.

Hannibal pokryty jest krwią swoich ofiar. Miażdży stworzenia, które trafiają pod jego łapy, jak gdyby zgniatał przejrzałe owoce. Połyka kilka z nich jak chrupki, żeby mieć siłę zabijać kolejne. Wirujące szczurze ogony wystają mu spomiędzy poczerwieniałych dziąseł niczym macki. Zwierzęta, które do tej pory siedziały w schronie, wychodzą na powierzchnię i próbują przyjść z pomocą swoim towarzyszom, nie są jednak w stanie nic zrobić w obliczu takiego przeciwnika. Próbują wspiać się na lwiego grzbiet, wgryzają się w koniec jego grubego ogona.

Rozwścieczony Hannibal urządza piekło śmiesznie mizernym w zestawieniu

z nim przeciwnikom.

Bitwa trwa na mój gust dość długo. Walczę u boku Esmeraldy i Wolfganga. Chronimy Pitagorasa, który regularnie sprawdza, dzięki Trzeciemu Oku podłączonemu do kamer ochrony, informacje na temat ewentualnych posiłków dla szczurów.

Szary kot syjamski o niebieskich ślepiach wydaje się zadziwiająco spokojny mimo panującego rozgardiaszu, jak gdyby skupiał się i chłonał wszystko, co go otacza.

Jego oderwanie się od rzeczywistości w obliczu dramatycznej sytuacji wydaje się całkowicie niestosowne.

Hannibal: Siła.

Pitagoras: Wiedza.

Ja: Komunikacja?

We trójkę możemy pokonać każdego.

Pojedyncze szczury zaczepiają mnie. Błąd. Każde stworzenie, które chce mi zaszkodzić, czeka zguba, rychła lub nieco oddalona w czasie. Nie jestem lwem, ale moja waleczność wzrasta, inspirowana przez Hannibala. Poprawiam celność ciosów, biję się jak nigdy. Gryzę, przekłuwam, miażdżę. Każdemu z moich ciosów towarzyszy piskliwe miauknięcie. Jednemu ze szczurów udaje się wczepić w mój grzbiet, przetaczam się więc po ziemi, chwytam go i wgryzam się w jego pysk. Inny łapie mnie zębami za ogon, więc odrzucam go w kierunku Hannibala, który zgniata go łapą.

Wokół mnie koty miotają się jak oszalałe. Trup ściele się gęsto. Niektórzy spośród naszych przeciwników wycofują się. Wówczas ich przywódca, Kambyzes, wydaje z siebie gwizd inny niż poprzednie, a szczury przyłączają się do niego chórem. Zwierzęta, które uszły z życiem, przerywają walkę i uciekają pędem.

– Za nimi! – miauczę ile sił.

Moja mała drużyna wykonuje polecenie. Masakrujemy najwolniejsze zwierzęta, które zostały w tyle, i stopniowo doganiamy ich uciekającą armię.

Zauważam ich przywódcę wśród oddziałów. Chcę go dopaść, jednak dzieli nas zbyt duży tłum. W końcu docieramy na wielki plac – jak mi później powie Pitagoras, plac de la Concorde – a Kambyzes znajduje się zaledwie kilka metrów od moich pazurów.

Chcę tego zwycięstwa, żeby umocnić swoją pozycję.

Ta, która pokona króla szczurów, będzie mogła uznać się za królową kotów.

Pędzę. Chcę tego.

Esmeralda, która zorientowała się w sytuacji, również za nim biegnie. Jeszcze

by tego brakowało, żeby dopadła go przede mną!

Kiedy już jestem o krok od złapania Kambyzesa, grupa szczurów skręca na most. Zanim mam czas zareagować, stworzenia wskakują do szarej wody rzeki.

Hamuję. Nie ma mowy, żebym się zamoczyła. Tu przebiega granica mojej wojowniczości. Jest to również granica dla większości moich towarzyszy. Kilka kotów, które mimo wszystko wskakują do wody, zostaje z łatwością zabitych przez naszych wodno-łądowych wrogów.

Wzdycham z rozczarowaniem, czuję też jednocześnie ulgę, że nie przegraliśmy tej pierwszej bitwy. Armia kotów zatriumfowała.

Wszyscy są wycieńczeni.

Naszemu bohaterowi Hannibalowi zadano kilka niewielkich ran, jest jednak otoczony kotami, a przede wszystkim pełnymi podziwu kotkami, które miauczą z rozkoszy, ocierając się o niego.

Zaczynam mrużyć, a pozostali się przyłączają.

– Wygraliśmy!

Nawet Hannibal wydaje z siebie niski pomruk, który wprawia w drżenie nasze klatki piersiowe.

Kocham zwycięstwo.

Setka kotów, wśród których znalazły się te niezdecydowane, i które nie przyłączyły się do nas wcześniej, przybywa z posiłkami. Po bitwie...

Mam ochotę je przegnać, ale nasze oddziały powinny być jak najliczniejsze. Spontanicznie obejmuję dowodzenie i zgadzam się – chociaż koty te nie uczestniczyły w bitwie na Polach Elizejskich – aby zjadły naszych pokonanych wrogów. Jeśli o mnie chodzi, nie w głowie mi jedzenie. Nadmiar emocji odbiera mi apetyt.

Pitagoras odciąga mnie na bok.

– Czy masz objawy dżumy? – pyta. – Zawroty głowy, uderzenia gorąca, drżenie? Starliśmy się ze szczurami, nie wiedząc, czy dżuma, którą roznosi większość przeciwników, jest szkodliwa również dla nas.

Wysłuchuję się w swoje ciało, ale nie zauważam żadnych oznak osłabienia. Energia krąży w moim organizmie w zadowalający sposób.

– Czuję się doskonale – odpowiadam.

– Trzeba jeszcze poczekać – studzi mnie – bo istnieje pewne ryzyko, że i my się zaraziliśmy.

– W każdym razie, jeśli teraz umrę, to z poczuciem, że przeżyłam niezwykle chwile.



Poprowadzony przez Wolfganga do schronu przeciwbombowego Hannibal zgadza się kontynuować drążenie otworu, rozpoczętego przez szczury, w ścianie przy pancernych drzwiach.

Lew rozoruje pazurami beton już i tak nadwątlony przez siekacze setek gryzoni. Powtarza czynność wielokrotnie, zanim jego łapa ostatecznie przedziera się przez szarą materię jak przez tekturę.

Za ciemnym otworem pojawia się wąskie pomieszczenie. Nie potrzebujemy światła, wystarcza nam zmysł węchu. Jest czysto. Brak woni śmierci, choroby czy zgnilizny. W powietrzu unosi się za to zapach środka odkażającego, za którym rozpoznajemy aromat świeżego pożywienia.

Wszystko leży uporządkowane w workach, skrzyniach, puszkach i butelkach. Rozszerzając maksymalnie źrenice i wykorzystując słabe światło rzucane przez czerwone lampki, które wskazują umiejscowienie drzwi, dostrzegam butelki z mlekiem, worki z mąką, puszki z pasztetem. Koty natychmiast rzucają się naprzód, pastwią się nad wieczkami, otwierają je w końcu i delektują się.

Pitagoras nie uczestniczy jednak w ogólnej wesołości.

Spoglądamy na siebie, miauczę.

Zrozumiał. Pocieramy się policzkami, pyszczkami, nosami, a po kilku pieszczotach i pomrukach odnoszę wrażenie, że ma w stosunku do mnie pewne zamiary.

– Nie tutaj – oświadcza.

Wspinamy się po stopniach prowadzących na piętro Pałacu Elizejskiego. Przemierzamy kilka korytarzy i przestronnych pomieszczeń (jakże mu zazdroszczę, że potrafi skakać na kłamki i sprytnie używać swojego ciężaru w celu uruchamiania ich). Odkrywamy przestrzenie pełne złocień, tkanin obiciowych, obrazów, zdobionych mebli. Podłoga pokryta jest mieniącym się i miękkim dywanem.

W końcu Pitagoras wskazuje na pokój, w którym króluje łożo nakryte złocistą narzutą.

– Widziałem to miejsce w Internecie. Chcę się z tobą kochać w łożu z baldachimem prezydenta Republiki Francuskiej – oświadcza.

Tarzamy się przez chwilę po materacu, drażnimy się ze sobą, podgryzamy niczym kociaki. Pitagoras zachęca mnie, żebym wsunęła się pod prześcieradło, jak do namiotu. Próbuje pocałować mnie jak ludzie i wsuwa mi język do pyszczka. Pokonuję obrzydzenie i w końcu zaczynam odczuwać przyjemność. Naśladując dalej ludzi, kot syjamski pieści moje sutki i obejmuje mnie przednimi łapami.

Pozwalam mu na to.

Prezentuję mu swój zad, ale on, zamiast wspiąć się na mnie, proponuje mi kochanie się „twarzą w twarz”. Nie przestaje mnie głaskać i całować na

podobieństwo ludzi.

Jedynym prawdziwie kocim zachowaniem jest sposób, w jaki porusza ogonem, splatając go z moim i tworząc szaro-czarno-biały warkocz.

Liże mnie i obwąchuje. Przy każdym kontakcie z jego pyszczkiem przenika mnie elektryzująca fala.

Najgorsze, że się nie spieszy, zmieniając grę wstępną w istną mękę.

– Chodź! – błagam go.

Ale nie, on nadal mnie pieści, liże, obwąchuje, dotyka, nie rozpoczynając stosunku. Moje ciało jest u kresu wytrzymałości. Każdy dotyk jego łapy jest rozkoszą.

– Weź mnie tutaj, natychmiast! – miauczę.

Zamiast spełnić moją prośbę, on zdaje się czerpać przyjemność z torturowania mnie. O ile Félix zapominał o grze wstępnej i był zbyt szybki podczas miłosego aktu, o tyle można powiedzieć, że Pitagoras jest jego dokładnym przeciwieństwem. Niecierpliwie się.

Wszystko to dzieje się za wolno.

Ale on działa etapami.

Sprawia, że powoli przełamuję swoje opory.

Całuje mnie w powieki, przewraca na łóżko. Nie mogę już dłużej.

Wreszcie wchodzi we mnie i być może dlatego, że tak długo czekałam na tę chwilę, a może ponieważ jestem zaskoczona osobliwym sposobem zjednoczenia naszych ciał, rozkosz ogarnia mnie bardzo szybko.

Szpił zmienia się w fontannę światła, która wznosi się do czaszki i tam eksploduje deszczem gwiazd.

Wibruję, drzę, nieruchomieję.

Wciąż jeszcze jestem nasączona intensywnymi emocjami, których przed chwilą doznałam.

Niebezpieczeństwo, walka, Hannibal, śpiew Callas, strach i wyzwolenie się z zahamowań, radość, że ocalałam, łoże z baldachimem, złota jedwabista pościel, długa gra wstępna, która doprowadziła mnie do wrzenia, wszystko to nadaje magii tej chwili. Czuję w sobie jego członek, a kiedy gryzie mnie mocno w szyję, zalewa mnie druga, jeszcze silniejsza fala rozkoszy. Nie potrafię się powstrzymać i krzyczę.

Nigdy czegoś takiego nie doznałam.

Ekstaza.

Czerwono mi przed oczami.

Zapominam, kim jestem. Zapominam o wszystkim. Jestem w pełnym zespoleniu z Pitagorasem. Jestem Pitagorasem, a on staje się mną. Tworzymy jedną

istotę o ośmiu łapach i dwóch głowach ukrytą pod prześcieradłem.

Wtedy on zmienia pozycję i bierze mnie „normalnie”, wspinając się na mnie od tyłu. Odczuwam zupełnie inną przyjemność. On mruczy, gryzie mnie mocno w inną strefę na karku, a ja miauczę jeszcze głośniej. Uświadamiam sobie, że Pitagoras jest łącznikiem między światem ludzi a światem kotów, nawet w sposobie uprawiania miłości fizycznej. Łączymy się kilkakrotnie, a za każdym razem dochodzę szybciej i wznoszę się wyżej w niebo.

Czerwona zasłona pod moimi powiekami staje się pomarańczowa, żółta, biała, wreszcie brązowa i na koniec czarna.

Wtedy doznaję olśnienia.

Wewnątrz składam się z maleńkich ziarenek materii oddzielonych od siebie pustką. Składam się głównie z pustki. Ziarenka łączy energia. To ona sprawia, że jestem sobą, w tej konkretnej formie, a nie rozproszonym obłokiem.

Tym, co decyduje o ułożeniu maleńkich pyłków w przestrzeni, jest po prostu... cóż, myśl, jaką mam na swój własny temat.

Ta myśl stanowi spoiwo i nadaje mi widoczny dla innych kształt. Myśl o sobie samej pozwala mi nie wtopić się w tło, nie zmieszać z atomami reszty świata.

Jestem myślą. Wierzę w to tak mocno, że zaczynam przekonywać innych, że istnieję jako odróżniająca się istota.

Mam się za jedną.

Mam się za jedyną.

Zatem jestem jedyna.

Jestem... tym, czym wierzę, że jestem.

Tak, oto olśnienie tej wyjątkowej chwili:

„JESTEM TYM, CZYM WIERZĘ, ŻE JESTEM”.

Jestem więźniem historii, którą sama sobie opowiadam.

Wówczas ogarnia mnie zakłopotanie, bo pojawia się druga myśl:

„MOGĘ BYĆ CZYMŚ WIĘCEJ”.

Jeśli podam w wątpliwość tę zasadę, jeśli ośmielę się użyć wyobraźni, jeśli wezmę pod uwagę możliwość bycia czymś więcej niż „tylko sobą”, jeśli uwierzę, że jestem dwojgiem, swego rodzaju fuzją Pitagorasa i Bastet, wówczas urosnę. Mogę rosnać aż do chwili, w której zrozumieć, że moje ciało jest tylko punktem wyjścia, indywidualnością zdolną rozszerzać się w nieskończoność, mogącą wszystko pochłonąć. Mogę być... całym Wszechświatem.

Oto moja trzecia myśl.

„JESTEM NIESKOŃCZONA”.

Ekstaza. Idea ta przyprawia mnie o zawroty głowy tak silne, że ledwie pozwalam jej się wyłonić i natychmiast odpycham ją, ukrywam się w ciasnym

więzieniu bezpiecznego ciała. Mój umysł powraca do mózgu. Myśl ogranicza się do zarządzania zmysłami i ciałem. Nie jestem jeszcze gotowa na stanie się „nieskończoną”. Jestem tylko jedną osobą, to prawda. Kotką. Zwykłą kotką, która na chwilę uświadomiła sobie coś dziwnego, przeżyła magiczną, lecz efemeryczną chwilę. Przypominam sobie, że jestem tylko...

– Bastet... Bastet!

Ktoś mnie woła. Ktoś zwraca się do mnie. Otwieram oczy.

– Przestraszyłem się, pomyślałem, że nie żyjesz – mówi Pitagoras.

– Nie... Miałam... To znaczy... Coś zrozumiałam. Ale przestraszyłam się. Nie wiedziałam, że to możliwe. Nie jestem jeszcze gotowa, żeby przyswoić tak potężną informację.

Pitagoras spogląda na mnie intensywnie, chyba jednak nie rozumie, o co mi chodzi. Wycieńczeni, kładziemy się obok siebie, odsłaniamy brzuchy, drżymy.

– Trzeba przyznać, że porozumienie działa na ciebie! Co rozumiałaś?

– Że jesteśmy pustką zorganizowaną przez myśl, którą sami na swój temat tworzymy.

Pitagoras bierze głęboki wdech.

– Zabawne.

– Myśl nadaje temu „nic” formę cielesną i poczucie, że jest istotą. A my wierzymy, że tej istocie przydarzają się różne rzeczy, tymczasem jest ona... jedynie myślą. Wystarczy postrzec się w większym niż powłoka naszej skóry wymiarze, żeby stać się nieskończonością. W rzeczywistości jesteśmy tym, czym wierzymy, że jesteśmy.

– Zrobiłaś na mnie wrażenie – przyznaje Pitagoras.

– Zazwyczaj to ty robisz na mnie wrażenie.

– Być może jesteśmy stworzeni do tego, żeby się uzupełniać?

Słyszę, że w sąsiednim pokoju Wolfgang i Esmeralda kochają się.

– Zainspirowaliśmy ich – zauważam. – Poszli w nasze ślady.

– Miłość to choroba zakaźna – mówi Pitagoras. – Im częściej się ją uprawia, tym bardziej inni mają na nią ochotę.

Tym razem zza ściany słyhać, jak Esmeralda krzyczy z rozkoszy.

Później nasi sąsiedzi dołączają do nas. Wolfgang kieruje się w stronę niewielkiej szafy: lodówki. Ciągnie za uchwyt i naszym oczom ukazują się liczne miseczki na przezroczystych tackach. Wybiera jedną wypełnioną czarnymi ziarenkami.

– Co to? – pytam podejrzliwie.

– Kawior – odpowiada Pitagoras. – Rybie jaja.

Są małe, okrągłe i czarne. Sądziłam, że rybie jaja będą białe. Wącham je

ostrożnie: ładnie pachną. Zanurzam łapę w miseczce i podnoszę ją do języka. Próbuję. Kuleczki eksplodują pod naciskiem warg i uwalniają rozkosznie tłusty i słony sok. Doznanie smakowe spowodowane przez to pożywienie jest dla mnie czymś zupełnie nowym. Kawior jest lepszy od suchej karmy. Nabieram ponownie. Im więcej jem, tym bardziej doceniam jego wyjątkowy smak. Nigdy wcześniej nie miałam w ustach czegoś równie smacznego.

Wygląda na to, że Pitagoras również delectuje się czarnymi jajeczkami. Wszyscy napychamy się luksusowym ludzkim pokarmem.

Uwielbiam kawior. Nie chcę już jeść nic innego.

Oblizuję wargi.

Jestem dumna z bycia kotką i ze swoich dokonań.

Jestem dumna, że zrozumiałam: wszystko łączy się ze wszystkim, a granice materii są jedynie subiektywnymi odczuciami.

Kiedy wstaje dzień, nasza czwórka zasypia wtulona w siebie, ze smakiem kawioru w pyszczkach i wspomnieniem fantastycznej bitwy na Polach Elizejskich w pamięci.

Jestem szczęśliwa.

Kocham Pitagorasa.

Kocham siebie.

Kocham kawior.

Kocham Wszechświat.

## Przenosiny obozu

Mojego oka dotyka łapa. Ktoś gryzie mnie delikatnie w ucho. Nie mam ochoty się budzić. Następnie ktoś wsysa się w moje sutki. Angelo, z typową dla siebie niezręcznością. Zapomniałam o nim. Kiedy spaliśmy, ktoś musiał go tutaj przyprowadzić, żeby był przy mnie.

Otwieram oczy i układam się wygodniej, pozwalając mu skorzystać z mojego mleka.

Za oknem panuje noc i uświadamiam sobie, że wyjątkowo nie obudziłam się pod wieczór.

Pitagoras jest już na nogach. Stoi przy oknie i wpatruje się w Ogrody Elizejskie.

– Mam dobrą i złą nowinę – mówi, nie odwracając się. – Dobra jest taka, że żadne z nas nie zachorowało, z czego wnioskuję, że jesteśmy odporni na tę nową dżumę, która sieje spustoszenie wśród ludzi. Możemy więc bez obaw walczyć ze szczurami.

– A zła? – pytam, uwalniając się od Angela.

– Padła bateria w moim smartfonie, nie mam już Internetu. Kiedy ostatnim razem używałem Trzeciego Oka, ocalałe z bitwy szczury zebrały się i szukały posiłków. Teraz jednak nie wiem, ani co robią, ani jakie mają plany, ale z pewnością będą chciały się odegrać.

Podchodzę do niego, lecz wyczuwam, że jest zdystansowany.

Po tym, co się wczoraj wydarzyło, dziwnie się czuję, rozmawiając z Pitagorasem.

Odwracam się i spoglądam na siebie w dużym lustrze pokojowym.

Na tym polega bycie boginią: pamiętać, że jestem „wszystkim” i że wszystko jest mną. Być kotką to znaczy ograniczyć się do samego organizmu.

Pocieram oczy i – trudno, rezygnuję z nieustannego trwania w myśli, że jestem wszystkim – kontynuuję normalną rozmowę z kotem syjamskim.

– Po porażce szczury nie ośmielą się już pojawić w okolicy.

– Ośmielą się – przerywa mi natychmiast.

– Znów je pokonamy. Mamy Hannibala.

– Będzie ich więcej, a my stracimy przewagę, jaką dał nam efekt zaskoczenia.

– Mimo to zatriumfujemy.

– Nie możemy tu zostać – oświadcza.

Wydaje się zdenerwowany. Rozumiem, że jest teraz niczym ślepiec, pozbawiony cennych informacji, jakich dostarczało mu Trzecie Oko, i że połączenie z Internetem jest dla niego tym, czym kocimiętka była dla Félix: uzależniającym narkotykiem.

Pitagoras krąży po pomieszczeniu.

– Musimy znaleźć sklep z telefonami, zdobyć baterię, kable i mieć prąd – stwierdza rozgorączkowany. – Albo jeszcze lepiej, potrzebujemy baterii słonecznej, dzięki czemu nie będziemy uzależnieni od miejskich źródeł elektryczności, które stopniowo będą się psuły, o ile to już nie nastąpiło.

– „Sklep z telefonami”? Jeśli wyjaśnisz mi, o co chodzi, powinnam go znaleźć – mówi Esmeralda, która właśnie się obudziła i chce okazać się przydatna.

Pitagoras wskazuje na urządzenie przytroczone do swojego grzbietu.

– Wiem, gdzie tego szukać. Na Polach Elizejskich jest wiele takich sklepów – zauważa kot prezydencki, który również się przebudził.

– Mogę iść z wami? – pytam.

– Nie, ty nie, Bastet, będziesz mi potrzebna do czego innego – mówi Pitagoras.

Przestaje się wiercić i co chwilę wypluwa kulki kłaków, wyrażając tym samym silne zdenerwowanie.

Z poczucia solidarności naśladuję go.

– Kiedy tylko odzyskamy dostęp do Internetu, będziemy musieli poszukać bezpiecznej kryjówki. Mamy teraz nowe obowiązki – przypomina. – Musimy poprowadzić te wszystkie koty, które za nami poszły. Jeśli zostaniemy tutaj i będziemy rozkoszować się ulotną chwałą, z całą pewnością przegramy.

Wciąż wydaje się niespokojny.

– Wróćmy do lasu – proponuję, podsuwając mu nieco kawioru, który został z poprzedniego wieczoru.

– Szczury z łatwością zapędziłyby nas w kozi róg, otoczyły i pokonały liczebnością.

– Ucieknijmy zatem za miasto i zabierzmy zapasy.

– Raczej ukryjemy się gdzieś, gdzie będziemy mogli z łatwością bronić się przed zmasowanym atakiem szczurów.

Wieczór spędzamy na oczekiwaniu, aż Esmeralda i Wolfgang wrócą z wyprawy. Pojawiają się wreszcie, trzymając w pyszczkach sprzęt. We czwórkę pracujemy nad podłączeniem kabli i naładowaniem baterii. Wreszcie, po długich godzinach pracy, Pitagoras może znów rozkoszować się odzyskanym Trzecim Okiem.

Nie czeka ani chwili i nurkuje w Internecie.

Krążymy wokół niego, ale ja wiem, że w tej chwili znajduje się daleko, gdzie indziej, nad nami, w wymiarze, jaki oferuje mu magiczny przedmiot wyprodukowany przez ludzi.

– Znalazłem – oznajmia wreszcie.

Esmeralda, Wolfgang i ja nieruchomiejemy i zbliżamy się do niego.

– Szukałem miejsca w Paryżu, gdzie nie ma ani tunelu, ani podziemi, ani metra, ani kanałów. To dość ciasne miejsce o nazwie Wyspa Łabędzia.

– Wyspa?

– Istotnie, wyspa na rzece.

– Ale my nie potrafimy pływać! – wołam, już podenerwowana na myśl o wodzie.

– Dotrzemy tam mostami, lokalizacja ta będzie łatwiejsza do obrony niż zwykła dzielnica. Pozostają jeszcze do rozwiązania dwie kwestie. Przede wszystkim będziemy potrzebowali sposobu na przetransportowanie jedzenia na Wyspę Łabędzią, żeby móc przetrwać oblężenie. Następnie będzie nam potrzebny człowiek, który zna się na niszczeniu budynków: wysadzi w powietrze mosty, kiedy już dotrzemy na miejsce.

– Po tym wszystkim, czego dokonaliśmy już sami, nie sądzisz, że moglibyśmy sobie poradzić bez pomocy ludzi?

– Nie na tym etapie. Przykro mi, znam się na recepcji informacji cyfrowej, ale nie na materiałach wybuchowych.

– Nathalie pracowała na budowie, widziałam, jak burzy domy.

– Doskonale. Tego nam właśnie potrzeba.

– Nie mam pojęcia, gdzie się teraz znajduje.

– Mogę odnaleźć twoją służącą dzięki bazie twojej obroży GPS – mówi Pitagoras. – Jest podłączona do jej smartfona, który z kolei ma własny system namierzania GPS. Trzeba mieć nadzieję, że jej telefon wciąż jest naładowany.

Ponownie nurkuje w Internecie, po czym oznajmia:

– Koty stworzyły społeczność w lesie na zachodzie, a ludzie zrobili to samo w lesie na wschodzie, w sercu Vincennes. Oczywiście nie wszyscy ludzie, głównie dzieci, których rodzice zostali zabici podczas wojny. Nathalie dołączyła do tej wspólnoty, która najwyraźniej ma możliwość komunikowania się.

– Jesteś pewien, że Nathalie tam jest?

– Jaki poziom komunikacji zdołałaś z nią osiągnąć, Bastet?

– Prawie udało mi się z nią porozmawiać – odpowiadam, chcąc wciąż mu imponować.

Jest to oczywiste kłamstwo.

– Doskonale. Z jej pomocą stworzymy kryjówkę tylko dla wtajemniczonych na



Wyspie Łabędziej.

– Czy naprawdę nie możemy zrobić tego bez pomocy ludzi? – nalega Wolfgang.

– Szczurów jest za dużo i rozmnażają się tak szybko, że nie nadążymy z ich zabijaniem.

Pomysł, żeby przemierzyć miasto z zachodu na wschód w celu odnalezienia mojej służącej, wcale mnie nie cieszy. Jednak rozumiem, że chociaż moja zdolność emisji i recepcji jest dość słaba, to tylko mnie może się udać przeprowadzenie tej delikatnej misji.

– Pójdiesz ze mną, Pitagorasie? Będę potrzebowała przewodnika po śladach Nathalie.

– Nie, ja zorganizuję przemarsz naszej armii na Wyspę Łabędią.

Jestem zdziwiona, że nie dąży do większej więzi po tym wszystkim, co przeżyliśmy razem, czym się dzieliliśmy, co sobie powiedzieliśmy.

– Jak ją zatem odnajdę?

– Wystarczy, że pójdiesz wzdłuż Sekwany. Są tam trzy wyspy: jedna średnia, wyspa Świętego Ludwika, jedna duża – wyspa Cité, i jedna mała – Łabędzia. Nie pomylisz się.

– Pójdę z tobą – mówi Esmeralda. – Być może we dwie będziemy silniejsze.

– Ja też mogę ci towarzyszyć – proponuje Wolfgang. – W trójkę wciąż nie będzie nas za dużo.

– Pójdę sama! Esmeraldo, jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, chciałabym, żebyś karmiła mlekiem Angela podczas mojej nieobecności.

Pitagoras podchodzi do mnie:

– Dobrze, w takim razie zmiana planu. Esmeralda i Wolfgang będą pilnować schronu atomowego razem z naszą armią kotów, a ja potowarzyszę ci aż do lasu w Vincennes.

Musiałam więc mu zagrozić, że wybiorę się sama, żeby poszedł ze mną... Jak gdyby naprawdę zapomniał o naszych miłosnych zapasach.

Pitagoras wprawia mnie w zakłopotanie. Mam wrażenie, że wstydzi się, iż uległ moim zalotom. A może nadal boi się, że się zakocha.

Nigdy nie zrozumie samców. I chyba trafił mi się akurat ten bardziej „skomplikowany”.

## Obwodnica

Przygoda zaczyna się, kiedy tylko opuszczamy pałac.

Moje dawne życie (z czerwoną poduszką, suchą karmą, telewizorem, poidłem i Félixem...) wydaje mi się tak odległe.

Razem z Pitagorasem stajemy w obliczu nowych wyzwań i nowego otoczenia.

Poruszamy się w świecie pełnym niebezpieczeństw, niespodzianek, bogatym w doświadczenia. Coraz bardziej pociąga mnie wszystko to, co zaskakuje, i to, czego nie wiem. Mam wrażenie, że mój umysł karmi się tym i jeszcze bardziej poszerza.

Zapachy. Odgłosy. Spotkania. Wizje. Doznania.

Wszystko, co nowe, zachwyca mnie.

Podczas podróży do lasu na wschodzie Pitagoras woli iść wzdłuż obwodnicy, tej czarnej asfaltowej wstęgi otaczającej miasto, po prostu dlatego, że nie ma tam kratek ściekowych, ani wejść do metra, ani stosów odpadków. Zatem ryzyko, że zaatakują nas hordy szczurów, jest mniejsze.

Dotarłszy na wysokość Porte Maillot, odkrywamy tysiące wraków porzuconych samochodów.

– Ludzi z miasta ogarnęła panika, kiedy ogłoszono alarm w związku z dżumą – wyjaśnia mi Pitagoras. – Większość zabarykadowała się w domach, niektórzy próbowali uciec samochodem w stronę autostrady A13, prowadzącej na zachód. Pierwsze pojazdy zdołały bez trudu wyjechać, wkrótce jednak olbrzymie korki zablokowały drogi. Wyścig po życie okazał się wyścigiem śmierci. Niektórzy usiłowali sforsować przejazd. Zderzali się z innymi samochodami, ale ostatecznie utknęli.

– Musieli mieć swojego Nabuchodonozora, który nakłaniał ich do podróży w stronę morza, skoro tak wielu wybrało ucieczkę.

Pitagoras wyjaśnia dalej:

– Autostrada A13 musiała bardzo szybko się zakorkować.

– Co się potem wydarzyło, twoim zdaniem?

– Wśród ogólnego zamętu kierowcy unieruchomieni w samochodach próbowali zapewne uciekać pieszo na zachód, kto wie, może niektórym się udało...

Przemieszczamy się po dachach porzuconych samochodów. Zmniejsza to nasze szanse na niechciane spotkanie z pełzającymi stworzeniami, ludźmi, psami lub

kotami. Z góry widzimy pechowych kierowców leżących na kierownicach i mrowiące się wokół nich szczury.

– Teraz, kiedy szczury zakosztowały ludzkiego mięsa, niczego się już nie boją.

Jak gdyby dla podkreślenia tych słów w oddali rozlegają się strzały. Ciężarówka z mężczyznami w pomarańczowych kombinezonach zostaje zaatakowana przez szczury. Ludzie bronią się przy użyciu karabinów maszynowych i miotaczy ognia, zwierzęta mają jednak przewagę liczebną i stopniowo terkot maszyn milknie, ustępując miejsca zwycięskiemu piskom.

– Musimy się pospieszyć – zauważa Pitagoras. – Szczury nie zjadły jeszcze wystarczająco dużo kociego mięsa, żebyśmy stały się ich głównym celem, ale zapewne stanowią kolejne danie w ich menu.

Pitagoras przyspiesza i odgłos jego skoków po metalowych dachach rozlega się głośno wokół nas. Próbuje dopasować się do jego rytmu i wielokrotnie niemal spadam, za każdym razem widzę pod sobą szczury gotowe mnie przyjąć.

Muszę pozostać skupiona i uważnie patrzeć, gdzie ląduję za każdym razem.

Nad nami krążą kruki, a my od czasu do czasu przedzieramy się przez chmury much.

– Nie traćmy czasu – popędza mój towarzysz podróży.

Razem z Pitagorasem przeskakujemy z dachu na dach, ramię w ramię, w idealnej synchronizacji. Nawet nasze oddechy się zrównały.

Zbieram się w sobie, skaczę, ląduję i szykuję się do kolejnego skoku. Moje poduszeczki na łapach rozgrzewają się. Ciąg samochodów nie ma końca. Mam wrażenie, że coraz więcej szczurów zaczyna się nami interesować.

Byleby się nie poślizgnąć.

Po godzinie Pitagoras zgadza się na postój. Znajdujemy schronienie w jednej z ciężarówek.

Rzucam mu powłóczyście spojrzenie i ponownie wzbiera we mnie fala czystego uczucia. Ponieważ nie ośmielam się poprosić go, żeby mnie przytulił (na co mam w tym momencie największą ochotę na świecie), proszę, żeby opowiedział mi dalszy ciąg historii ludzi i kotów.

Pitagoras oblizuje łapę, żeby schłodzić poduszeczki, drapie się za uchem, stwierdza, że wystarczy nam na to czasu, po czym podejmuje opowieść w miejscu, w którym przerwał ją podczas naszej ostatniej lekcji.

– Od początku XX wieku koty zaczęły być kojarzone już nie z czarodziejstwem, lecz z wolnością. Czarny kot stał się symbolem ruchu anarchistycznego. Zwolennicy tej partii malują czarne koty na swoich flagach.

– Co znaczy „anarchistyczny”?

– To ruch polityczny, którego celem jest obalenie istniejącej władzy i życie bez żadnego przywódcy. Anarchiści sprzeciwiają się policji, wojsku, religii i wszelkim innym formom autorytetu.

– Czy było ich wielu?

– Nie, ale byli bardzo zdeterminowani. Mordowali królów, ministrów, a nawet prezydentów.

– Żeby jeść ich kawior?

– Destabilizacja rządów sprawiła, że zamach anarchistyczny w Sarajewie wymierzony przeciwko austriackiemu cesarzowi wywołał pierwszą wojnę światową.

– Czym jest „wojna światowa”?

– Chodzi o to, że wszyscy żyjący ludzie są w stanie wojny.

– Wszyscy ludzie bez wyjątku, na całej planecie?

– Niektóre strefy konfliktu były gorętsze niż inne.

– A co z nami w tym wszystkim?

– W tysiąc dziewięćset czternastym roku Anglicy stworzyli brygadę kotów, której zadaniem było wykrywanie gazów toksycznych, zanim ludzie od nich nie zginą.

– Koty miały więc umierać, żeby ratować ludzi... Czy im się udało?

– Pierwsza wojna światowa pociągnęła za sobą dwadzieścia milionów ofiar. Trwała cztery lata, a po niej nastąpiło dwadzieścia lat pokoju.

– To dużo czasu.

– Był to czas potrzebny do tego, żeby pojawiło się nowe pokolenie ludzi, którzy nie pamiętali szkód, jakie niosła ze sobą wojna. Drugą wojnę światową rozpętał niemiecki dyktator o nazwisku Hitler.

– On też, o ile dobrze pamiętam, nienawidził kotów?

– Istotnie, miał na ich punkcie fobię. W tę wojnę zaangażowanych było jeszcze więcej ludzi, wiele milionów. Używali jeszcze bardziej niszczycielskiej broni, było więc też znacznie więcej ofiar.

– Sprawdza się tu twoja teoria trzech kroków naprzód i dwóch do tyłu.

– A potem znów trzy kroki naprzód, aż do kolejnej zapaści. Druga wojna światowa kosztowała życie sześćdziesięciu pięciu milionów ludzi. Następnie, przez całe lata, Rosjanie i Amerykanie patrzyli na siebie spode łba, ale atak bombą atomową dał im do myślenia. I zamiast wojny tradycyjnej wybrali „zimną wojnę”.

– Czy to znaczy, że walczyli w śniegu?

– Wykorzystywali trzeci kraj, żeby się ścierać, nie prowadząc jednak bezpośredniej wojny. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku armia

amerykańska postanowiła wyprodukować bionicznego kota, który miał szpiegować ambasadę Rosji. Wprowadzili urządzenia elektryczne i elektroniczne do jego ciała.

– Trochę jak w twoim przypadku?

– Z tym że w tamtym czasie elektronika nie była równie zminiaturyzowana. Zoperowali kota o imieniu Kitty, żeby umieścić mu w brzuchu dużą baterię połączoną z mikrofonami wstawionymi w jego uszy i metalową anteną w ogonie. Misja miała kryptonim „Akustyczny kotek”. Wyznaczonego dnia naukowcy zostawili Kitty przed ambasadą. Kitty była wytresowana, żeby wejść do wskazanego budynku, niestety nie wypełniła polecenia i wyszła z niego. Podszuchujący zarejestrowali jedynie głośny suchy trzask.

– Sprzęt elektroniczny się zepsuł?

– Kitty rozjechała taksówka. Wojskowi amerykańscy mimo to powtórzyli doświadczenie i przeprowadzono operacje na około dziesięciu kotach, żeby zmienić je w elektronicznych szpiegów. Żaden nie wypełnił swojej misji.

– Powinni byli użyć psów, są posłuszniejsze.

Kiedy tak rozmawiamy, dostrzegam rannego człowieka czołgającego się w naszą stronę, wspinającego się na maskę samochodu i wypowiadającego niezrozumiałe słowa. Pokrywają go zielone bąble. Jestem zbyt zajęta opowieścią Pitagorasa, żeby poświęcić mu więcej uwagi.

– W trakcie zimnej wojny, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku, pewna kotka została wysłana w kosmos. Miała na imię Félicette. Znalazła się w kapsule na pokładzie francuskiej rakiety i wykonała dziesięćminutowy lot, z czego pięć minut w stanie nieważkości, po czym sprowadzono ją na ziemię żywą. Była pierwszą kotką astronautką.

Wyobrażam sobie kotkę samą w statku kosmicznym i stwierdzam, że chciałabym być na jej miejscu.

– Spośród sławnych kotów mógłbym również wymienić Mrs Chippy, która uczestniczyła w pierwszej ekspedycji na biegun północny, oraz Stubbsa, pierwszego kota wybranego na burmistrza, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku, w amerykańskim mieście Talkeetna na Alasce.

Czuję się dumna, że jestem kotką.

– Obecnie we Francji żyje dziesięć milionów kotów. Pięćdziesiąt milionów w Europie. Osiemset milionów na świecie.

Chory człowiek, który próbował wspiąć się na naszą ciężarówkę, poddaje się i upada na ziemię.

– A ilu ludzi?

– Ludzi mogłoby być wkrótce osiem miliardów.

A zatem dziesięć razy więcej ludzi niż kotów.

– A ile szczurów?

– Ciężko je policzyć, ale uważa się, że przy rozwoju dużych miast o podziemiach pełnych ścieków i tunelów metra mnożą się wykładniczo.

– Podaj jakąś liczbę, choćby w przybliżeniu.

– W Internecie ocenia się, że szczurów jest przynajmniej trzy razy więcej niż ludzi: około dwudziestu czterech miliardów.

– Trzydzieści razy więcej niż nas!

Nie miałam pojęcia, że szala przechyliła się aż tak bardzo na stronę tych przeklętych gryzoni.

– Prawdę mówiąc, jest ich zapewne znacznie więcej, gdyż żaden z ludzkich naukowców nie miał odwagi zejść do podziemi, żeby je policzyć. Chodzi o globalne oszacowanie. Znalazłem jeszcze bardziej niepokojące badanie. Pewien ludzki naukowiec odkrył, że w związku ze wzrostem temperatur szczury stają się coraz większe i grubsze. Ciepło zwiększa ich płodność, ale też liczbę chorób, które przenoszą, same im nie ulegając.

– O jakich rozmiarach populacji mówimy?

– Badacze wspomnieli o możliwości podwojenia ich liczby.

– Zatem wszyscy jesteśmy skazani.

– Chwilowo technologia ludzka chroni ich i nas zarazem, ale jeśli naukowcy zostaną zabici, żeby zrobić miejsce dla ludzi wiary i dogmatycznych polityków, jeśli ludzie zapomną o swojej naukowej wiedzy i będą marnować energię na niszczenie się nawzajem i walkę między rywalizującymi frakcjami, zamiast jednoczyć się w walce ze szczurami, wówczas te przejmą nad nami władzę. To tylko kwestia czasu.

– Tutaj?

– Nie tylko w Paryżu, ale także we wszystkich miastach w kraju, a następnie na świecie. Nie ma ani jednego miejsca na tej planecie, gdzie by ich nie było, ani jednego miejsca, gdzie – tak jak tutaj – nie zapędzałyby ludzi i innych gatunków zwierzęcych w kozi róg, chcąc narzucić im swoją hegemonię.

Jak wyglądałby świat, w którym rządziłyby szczury? Ludzie i koty ukrywaliby się po lasach, wsiach, porzucali metropolie. Kambyzes i jego hordy wojowników o ostrych siekaczach sialiby terror.

Czuję jedność z Wszechświatem, nie rozumiem jednak, czemu odbieram szczurzą energię jako tę mroczną, która nie weźmie udziału w ogólnym zjednoczeniu umysłów.

Silniej niż kiedykolwiek odnoszę wrażenie, że teraz, kiedy znam już zagrożenie, moja odpowiedzialność jest olbrzymia.

– Jak do tego doszło? – pytam kota syjamskiego.

– Poprzez eliminację dzikich gatunków na korzyść tych udomowionych lub trzody. Ludzie wytępiłi przede wszystkim naturalne drapieżniki gryzoni: orła, wilka, niedźwiedzia, lisa i węża.

– Przerwali delikatną równowagę, która utrzymuje harmonię w naturze. Cóż za błąd!

– Budując kanały, zrobili im prezent w postaci idealnego środowiska, gdzie nikt im nie przeszkadza. Trzeba też jednak przyznać, że szczury obdarzone są wyjątkową inteligencją i zdolnością adaptacji.

– Mimo wszystko są od nas słabsze.

– Żyjąc wśród ludzi, uspiłyśmy naszą czujność. Tam, gdzie szczury muszą walczyć o pożywienie, my dostajemy suchą karmę bez najmniejszego wysiłku z naszej strony. One codziennie się biją, my nie mamy żadnych przeciwników. Kto jest drapieżcą dla kota?

Muszę przyznać, że przed obecnym kryzysem nie znałam nawet uczucia strachu przed przedstawicielem innego gatunku. Nie wiedziałam, czym jest niecierpliwość lub złość.

Nie miałam nawet świadomości, że życie w komforcie uspiło moje zmysły.

– Być może szczurom przypadnie rola kolejnego dominującego gatunku. Są inteligentne i społeczne. Nie należy ich nie doceniać.

– Jak je zatem powstrzymać?

– Jednocząc się. Ludzie potrzebują nas tak, jak my potrzebujemy ich. Jeśli nie zdołamy się porozumieć w celu zwalczania wspólnego wroga, wszyscy przegramy. Dlatego tu jestem z tobą, Bastet. Chodź, nie traćmy czasu, mamy jeszcze przed sobą daleką drogę, zanim dotrzemy do lasu w Vincennes.

Pitagoras naprawdę chyba wierzy, że potrafię przekazywać informacje ludziom. Nie mam odwagi wyznać mu prawdy. W rzeczywistości, moje niezwykle olśnienie z wczoraj uświadomiło mi, że nie stanę na wysokości zadania, jakie sobie wyznaczyliśmy. Mam ochotę uprawiać z nim miłość, żeby przyjąć nieco jego energii. Wydaje się jednak, że on ma inne zmartwienia.

Opuszczamy kabinę ciężarówki i wznawiamy nasz bieg po dachach samochodów. Jestem już prawie u kresu sił, kiedy wreszcie Pitagoras decyduje się opuścić obwodnicę i zagłębić się w zalesiony teren.

Las w Vincennes bardzo przypomina Lasek Buloński.

Na horyzoncie ani śladu psów, kotów, szczurów czy też ludzi.

– Sygnał z nadajnika GPS wskazuje, że twoja służąca jest gdzieś w pobliżu – oznajmia, wskazując na jedną ze ścieżek.

Idziemy pomiędzy wysokimi drzewami, na mój gust panuje tu zbyt podejrzana cisza. Nawet moje wąsy nie wyczuwają niczyjej obecności w okolicy. Nagle, zanim

nawet mamy czas zareagować, zostajemy wyrzuceni w powietrze i uwięzieni w gęstej siatce ze sznurka.

Pułapka.

Za późno. Na próżno się szamoczemy, jesteśmy unieruchomieni. Przy każdym ruchu, jaki wykonujemy podczas prób uwolnienia się, dźwięczy dzwoneczek. Próbuję przegryźć sznurek zębami, a dzwonek dzwoni w najlepsze.

– Nie ruszaj się! – poucza mnie Pitagoras.

Czekamy więc, zawieszeni między niebem a ziemią. Jedna z łap utknęła mi w oku sieci. To boli.

W końcu jednak zamykam oczy. Pitagoras chyba też już śpi.

Niekomfortowa pozycja w sieci zmusza mnie do traktowania siebie jako autonomicznej jednostki. Ogłaszam:

– Przed śmiercią chciałabym ci powiedzieć, że cię kocham.

– Dziękuję.

Wkurza mnie. Dlaczego nie powie, że też mnie kocha, uwielbia to, że jestem dla niego wszystkim?

– Sprawiasz wrażenie niewrażliwego, Pitagorasie. Przyznaj jednak, że chwila, w której nasze ciała się połączyły, była niesamowita.

– Istotnie.

Wkurza mnie, wkurza mnie, wkurza mnie.

– Czym jest dla ciebie miłość? – Nie mogę się oprzeć.

– To... wyjątkowe uczucie.

– Mógłbyś wyrazić się bardziej precyzyjnie?

– To coś intensywnego.

– Odczuwałeś to w stosunku do mnie?

– Jak by to określić? Trzeba znaleźć definicję, która wyjaśnia to wyjątkowe odczucie. – Pitagoras potrząsa lekko głową. – Dla mnie miłość jest wtedy, kiedy jest mi z kimś tak dobrze jak ze sobą samym.

Wydaje się zadowolony z definicji określającej to pojęcie.

– Cóż, dla mnie przeciwnie: miłość jest wtedy, kiedy jest mi z kimś *lepiej* niż z samą sobą.

Już ma otworzyć pyszczek, ale się powstrzymuje. Jedynie ziewa.

Zastanawiam się, czy jego dążenie do niezależności nie jest po prostu formą egoizmu. Może jest nędzną egocentryczną istotą zainteresowaną jedynie energią swojego pępka? Jak wszystkie samce zresztą. Jak mogłam być tak naiwna i sądzić, że ten tutaj, ponieważ jest kotem syjamskim, ponieważ ma Trzecie Oko, ponieważ wydawał mi się bardziej wykształcony, może być inny? Zresztą matka mnie ostrzegła: „Są słabsi i rozczarowujący”. Jak mogłam myśleć, że ten tutaj jest



odstępstwem od reguły?

Pitagoras kołysze głową.

– Bardzo dobrze... przyznaję, że jest mi z tobą lepiej, Bastet, niż kiedy jestem sam...

Mam wrażenie, że wypowiedzenie tych słów kosztowało go bardzo wiele, więc jestem cała przejęta. Pitagoras przełyka ślinę i dodaje:

– Jest mi z tobą lepiej nawet w tej pułapce... Nawet gdy wiszę nad ziemią w siatce... Nawet jeśli nasze szanse na przyszłość prezentują się dość ponuro.

Ach, te samce. Nigdy się do nich nie przyzwyczaję. Tak bardzo się boi wyznać mi swoje przywiązanie! Tak bardzo się boi przyznać, że doznał olśnienia w chwili zespolenia naszych ciał.

Ostatecznie tylko my, samice, ośmielamy się mieć głębokie uczucia i wyrażać je bez pruderii.

Nie chciałabym być samcem, miałabym wrażenie, że jestem upośledzona emocjonalnie.

– Wczoraj, dzięki tobie, doznałam objawienia – mówię. – Zrozumiałam, że to, co przeczuwałam od zawsze, że nie ograniczam się do samego ciała, jest prawdą.

– Przykro mi – przyznaje – ja nie zaszedłem równie daleko.

Nagle pojmuję, że dostęp do Internetu i zdolność widzenia i rozumienia dzięki elektronicznemu Trzeciemu Oku uczyniły go głuchym na naturalny zmysł, jakim jest intuicja.

Ja nie potrzebuję całej tej aparatury, wystarczy, że zamknę oczy, zacznę marzyć i czerpać z energii życia przenikającej Wszechświat, żeby uzyskać dostęp do cennej wiedzy, być może obszerniejszej niż jego.

– Przykro mi, że nie wykazuję w tej chwili większej empatii – szepcze – ale tym razem naprawdę boję się, że umrę.

Ja nie.

Czym jest śmierć? Odkąd uświadomiłam sobie, że jestem zrobiona z cząsteczek pyłu unoszących się w pustce, zjednoczonych jedynie myślą, jaką mam na swój temat, śmierć zdaje mi się jedynie „innym” ułożeniem tych cząsteczek.

Zrozumiawszy to, dlaczego miałabym bać się zmienić stan skupienia? Umrzeć to przecież tylko przeorganizować małą ilość materii, z której się składam.

W każdym razie dzisiaj czuję się w bardziej filozoficznym nastroju niż Pitagoras, który drży na myśl o zakończeniu swego długiego żywota. Zniszczenie architektury cząsteczek w pustce wydaje mu się dramatem, ponieważ uważa się za kogoś ważnego. Myśli, że jest inny od reszty Wszechświata. To samo uczucie inności uniemożliwiło mu przeżycie fuzji naszych ciał równie intensywnie jak ja.

Gdyby był świadom tego wszystkiego, potrafiłby naprawdę kochać.

Jego wizja samego siebie ogranicza się do jego cielesnej powłoki, odciętej od innych, tymczasem ja pojęłam, że nie mam granic. Tak: jestem nieskończona i nieśmiertelna. Czuję się dobrze, nawet jeśli mojemu ciału grozi dezorganizacja struktury ogólnej. Nie odczuwam żadnego niepokoju, przeżyję w innej formie.

Zamykam oczy, a mój umysł odlatuje daleko od ciała uwięzionego w siatce.

Śnię, że jestem Félicette w rakiemie i lecę w stronę Księżyca.

## W pułapce

Budzą mnie głosy.

Otoczają nas młodzi ludzie wyposażeni w łuki i włócznie. Maski gazowe zakrywają ich twarze. Niektórzy trzymają strzelby. Są brudni, mają poszarpane ubrania.

Odpowiadamy na ich ciosy kijem, odsłaniając zęby i parskając, ale oka sieci uniemożliwiają nam prawdziwą skuteczność.

Ten, który wygląda na ich przywódcę, nosi naszyjnik ze szcurzych główek.

Na jego rozkaz jeden z chłopców manewruje sznurem i nasza sieć opuszcza się w dół. Pętają nas, przywiązują za nogi do długich gałęzi. Przenoszą przez rów wypełniony silnie pachnącą cieczą. Rozpoznaję woń czarnego oleju, którym ubrudziłam się podczas wizyty na budowie Nathalie.

– Musieli wykopać ten rów i wypełnić go ropą, żeby chronić obóz przed atakami szcurów – udaje się powiedzieć Pitagorasowi mimo niewygodnej pozycji.

Pokonawszy przeszkodę, ludzie zdejmują maski gazowe.

Widzę wokół siebie jedynie nieprzyjazne twarze, niektórzy – mam wrażenie – nawet spoglądają na nas łakomie.

Docieramy na polanę, pośrodku której pali się duże ognisko.

Nawet z głową zwieszoną w dół udaje mi się zobaczyć króliki, psy i koty piekące się wśród płomieni, nadziane na długie tyki.

Zostajemy złożeni na ziemi.

– Mam wrażenie, że nasza misja zakończy się, zanim się na dobre rozpocznie – stwierdzam z żalem.

– Przykro mi. W Internecie nie było informacji na temat zwyczajów tej społeczności.

Tak kończą pionierzy.

– Miło było cię poznać, Pitagorasie – mówię, patrząc, jak jeden z ludzi ostrzy kij, który najwyraźniej posłuży za rożen na moją osobę.

Pomyśleć, że uważałam się za kogoś lepszego niż Félix, a skończę jak on.

– Chyba nie zauważyli mojego wejścia USB i uprząży na telefon – dziwi się kot syjamski.

– Zdejmą ją przed pieczeniem, nie spieszy im się.

Pitagoras zamyka oczy i wyszukuje informacje.

– Twoja służąca jest blisko! – zauważa. – Musi być w jednym z tych namiotów. Zawołaj ją!

Zaczynam miauczeć ile sił w płucach, bezskutecznie jednak. Stawiam wszystko na jedną kartę i zaczynam mruczeć na niskiej częstotliwości: *Nathalie! Chodź, potrzebuję cię.*

I wydarza się cud.

Najpierw rozpoznaję jej zapach, potem widzę jej zbliżającą się sylwetkę. Widzę ją, ona widzi mnie.

Moja służąca dyskutuje żywo z jednym z młodych ludzi, wskazując na mnie palcem i wypowiadając moje imię, a także imię mojego towarzysza przygód. Człowiek z naszymi ze szczurzych główek wydaje się z nią nie zgadzać. Wówczas Nathalie znika, po czym wraca z innym człowiekiem, bardzo do niej podobnym.

Pitagoras, surfując równocześnie po Internecie, informuje mnie:

– To Stéphanie, jej siostra. Była opiekunką w sierocińcu, z którego wyruszyła ta grupa młodych ludzi i rozbiła tutaj obóz. Potem inne sieroty zasiły ich szeregi.

– Dlaczego gadają tak bez końca?

– Zapewne tylko Stéphanie ma wystarczający autorytet, żeby przekonać przywódcę, aby nas oszczędził.

Przemawiając zdecydowanym tonem, Nathalie wskazuje na Trzecie Oko kota syjamskiego. Młody mężczyzna zmienia wówczas nastawienie, słucha wyjaśnień i ostatecznie kilka minut później wydaje rozkaz uwolnienia nas.

Kiedy tylko staję na ziemi, skaczę w ramiona mojej służącej i liżę ją w policzek (wiem, że to psie zachowanie, ale w tym momencie za bardzo się cieszę, że uratowała mi życie, żeby zgrywać obojętną).

Pitagoras zachowuje większą rezerwę.

– Teraz, Bastet, musisz wypełnić dalszy ciąg twojej misji. Powiedz jej, że musi nam pomóc w przekształceniu Wyspy Łabędziej w bezpieczną kryjówkę przed szczurami.

Mruczę, a w zamian moja służąca głaska mnie silniej. Przemawia do mnie życzliwie, uśmiecha się i powtarza moje imię.

Pitagoras myśli zapewne, że Nathalie mnie rozumie.

– Dalej – powtarza. – Wyjaśnij jej wszystko.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Okłamałam cię: nie potrafię jeszcze z nią naprawdę rozmawiać.

– Nie potrafisz nadawać kociej myśli w kierunku ludzkiego umysłu? Ale przecież ten wyjątkowy pomruk sprzed chwili został przez nią bardzo dobrze

odebrany!

– Próbuję. Uspokajam ją. Czasami daję jej do zrozumienia, jakie mam potrzeby, ale to nigdy nie idzie dalej.

Proszę, powiedziałam. Teraz Pitagoras zna już prawdę. Zresztą odczuwam ulgę na myśl, że się mu zwierzyłam. Nie mogłam w nieskończoność udawać.

– Zatem pokonaliśmy całą tę drogę na darmo – kwituje. – Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

– Musi istnieć jakiś sposób, żeby nadawać w ich stronę, jestem tego pewna! Daj mi jeszcze trochę czasu.

Mruczę na wszystkich częstotliwościach, mam wrażenie, że gardło zaraz mi eksploduje.

Na próżno. Nie otrzymuję w zamian nic prócz pieszczot.

Stopniowo zapada noc.

W końcu Nathalie idzie się położyć w płóciennym namiocie. Kulę się u jej stóp, zamykam oczy, mruczę nisko, żeby się uspokoić. W głębi jednak wiem, że z mojej winy wszyscy jesteśmy skazani na zagładę.

Dlaczego nie potrafię sprawić, żeby ludzie mnie rozumieli?

Zasypiam. Dopiero w czasie snu poczucie winy nieco mnie opuszcza. Muszę zrobić jeszcze duże postępy, zanim okażę się przydatna otoczeniu.

## Spotkanie na chmurce

Śnię.

Widzę koniec ludzkości i niepodzielne rządy szczurów.

Są coraz większe i coraz liczniejsze, coraz dziksze.

Ktoś zbliża się do mnie, to Kambyzes, król szczurów, niesiony przez sześciu swoich współbraci.

Króluje w fotelu, jak człowiek, a na szyi ma naszyjnik z kocich główek. Czyszcząc jednocześnie zęby pazurami, mówi: „Ja też jestem za komunikacją międzygatunkową”.

Następnie, uśmiechając się krzywo, wyjaśnia: „Jestem gotów rozmawiać z tobą, Bastet. Moje pierwsze pytanie brzmi: czy wolisz zostać zjedzona od razu, czy trochę później?”.

Po czym wybucha śmiechem podobnym do ludzkiego.

Budzę się gwałtownie, przecieram oczy i zmuszam do zaśnięcia, żeby przyśniło mi się coś innego.

W moim drugim śnie przemawia do mnie Pitagoras: „Udało mi się odebrać ludzką myśl, ponieważ znalazłem odpowiedniego nadawcę, czyli Sophie. Nie ma mostów, ale zapewne istnieje gdzieś jakieś przejście. Wystarczy znaleźć człowieka, który zdoła cię usłyszeć. Znajdź właściwą osobę i uda ci się, Bastet. Kiedy już wiesz, czego szukasz, dokonasz tego”.

Otwieram oczy. Pitagoras śpi nieco dalej, ale jestem przekonana, że jego umysł przesłał mi tę myśl. Tym razem mam jasno określony cel: znaleźć we śnie ludzki umysł zdolny do rozmowy ze mną w czasoprzestrzeni, która wymyka się prawom zwykłego świata.

Skupiam się, zamykam oczy i w trzecim śnie nakłaniam swój umysł – lekką, niczym nieograniczoną chmurkę – żeby zamiast rozszerzać się, skupił się, oderwał od mojej czaszki i wzniósł wysoko w niebo. Unosi się nad lasem. Podlatuje do dużej chmury, z której może obserwować wszystkie twarze dusz ludzkich.

Widzę twarz Nathalie, ale ona ma zamknięte oczy, jak wielu innych.

Wędruję wraz z moim umysłem po twarzach uśpionych ludzi. Nos i wargi tworzą wypustki. Zamknięte powieki przypominają kępki trawy. Nagle jakiś błysk zwraca moją uwagę. Coś, co przypomina gładkie i różowe owoce pośrodku długich

rzęs podkreślających mrugające powieki.

Umieszczone poniżej wargi rozciągają się w uśmiechu, po czym otwierają, żeby powiedzieć:

– Dzień dobry, „kocia duszo”.

Zbliżam się i odpowiadam odruchowo:

– Dzień dobry, „ludzka duszo”.

Pitagoras miał rację. Komunikacja z ludzkim umysłem jest możliwa, wystarczy znaleźć odpowiedniego odbiorcę! Jak on to powiedział? „Musi gdzieś istnieć jakieś przejście”. Nigdy bym nie uwierzyła, że znajdę je za pośrednictwem świata snów.

– Czy naprawdę możemy rozmawiać?

– Oczywiście. Tutaj nie obowiązują fizyczne granice jawy. Na pewno to wiesz, w przeciwnym razie nie byłoby cię tutaj i nie rozmawiałabyś ze mną.

– Robię to po raz pierwszy.

– Ja nie. Potrafię rozmawiać z duszami wszystkich zwierząt i wszystkich roślin. Kiedy tylko zrozumiałam, że to możliwe, zaczęłam eksperymentować i teraz robię to niemal codziennie. Jeśli to twój pierwszy raz, witaj w tym doświadczeniu. Zobaczysz, to pasjonujące.

Po dokładniejszym przyjrzeniu się zauważam, że jest to twarz starej kobiety, trochę podobnej do Sophie, ale bardziej okrągła i okolona krótkimi włosami.

– Jak masz na imię? – pyta.

– Bastet.

– Bardzo elegancko. Musi chodzić o nawiązanie do egipskiej bogini.

– A ty?

– Jestem Patricia.

– Nie wydajesz się zaskoczona możliwością rozmowy ze mną, Patricio.

– Jestem ludzką szamanką, a ty, Bastet, na swój sposób jesteś kocią szamanką. Jesteśmy ambasadorkami naszych gatunków. Ty i ja potrafimy podróżować poza nasze ciała. Mamy talent, który odróżnia nas od innych.

– Nie wiedziałam, że to takie proste.

– Myślę, że kocie szamanki istnieją od bardzo dawna, ale w przeciwieństwie do ludzi nie pamiętacie o nich. U nas, jeśli ktoś dysponuje mocą, opowiada swoją historię ustnie albo w książce, w filmie... Wy o tym zapominacie, bo nie macie wsparcia dla pamięci. Kiedy umrzesz, Bastet, kolejna kotka również uwierzy, że jest wyjątkowa i pierwsza.

Do licha, ona ma rację.

Od urodzenia mam wyjątkowy dar i aż do dzisiaj uczyłam się z niego korzystać. Mój umysł instynktownie wie, jak się porozumiewać, ale nie w zwykłym świecie: musi dopiero dotrzeć do równoległych wszechświatów, jakim jest na

przykład sen.

– Patricio, chciałabym wymienić z tobą wiele innych informacji, niestety jest jedna pilna sprawa.

– Słucham cię, Bastet.

– Gdzie się znajdujesz twoje fizyczne ciało?

– Od czasu alarmu związanego z dżumą żyję ukryta w mieszkaniu i żywię się zapasami, które zdołałam zgromadzić. Wytrzymam jeszcze kilka dni. A ty?

– Znajduję się w obozie w lesie w Vincennes. Musiałabyś do mnie dołączyć i przekazać ludziom informacje, które posiadamy jedynie my, koty.

– Słucham cię.

– Stworzyłyśmy armię, która pokonała już szczury w bitwie na Polach Elizejskich. Odkryłyśmy skarb, wielki magazyn żywności w prezydenckim schronie przeciwatomowym. Teraz chcemy założyć bezpieczne schronienie dla ludzi i kotów na Wyspie Łabędziej. To miejsce, gdzie szczury nie będą mogły nam przeszkadzać, a i wy będziecie bezpieczni i nie zarazicie się dżumą.

– Poczekaj, opowiedz mi wszystko ze szczegółami i wyjaśnij, czego dokładnie spodziewasz się po mojej interwencji.

Relacjonuję jej moje niedawne przygody. Patricia jest bardzo zaciekawiona. Nasza rozmowa przebiega naturalnie, instynktownie, myśli przepływają z jednego otwartego umysłu do drugiego. Wymiana, na jaką zawsze miałam ochotę z Nathalie w prawdziwym życiu, odbywa się z tą szamanką, we śnie.

Po zakończonej opowieści pytam:

– Miałaś już kota?

– Nie, w dzieciństwie miałam psa, którego uwielbiałam – odpowiada.

– Nigdy nie miałaś kota?

– Zawsze uważałam, że są zbyt... wyniosłe.

– My „wyniosłe”? W porównaniu z uległością psów zapewne sprawiamy wrażenie bardziej niezależnych i to was frustruje.

– Przykro mi, nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego koty nie są miłsze dla ludzi.

– „Miłsze”? Wyobraź sobie, że istoty, które powinny ci służyć, zamykają cię w mieszkaniu. Wyobraź sobie, że te same istoty, zobowiązane do posłuszeństwa, kastrują cię, żeby twoje zapachy lub krzyki im nie przeszkadzały. Wyobraź sobie następnie, że uniemożliwia ci się wyrażanie głębi twojej natury. Kiedy w swej dobroci darujesz im martwą mysz, nie otrzymujesz nawet podziękowań. Wyobraź sobie, że jesteś karmiona suchą karmą, której składu nawet nie znasz.

– To zmielone odpadki. Krowie kości, świńskie oczy, baranie chrząstki, soja, mąka, a czasami nawet nieco trocin – przyznaje kobieta.



– I jeszcze to! Wyobraź sobie, Patricio, że po odebraniu ci przyjemności, jaką daje prawdziwe pożywienie i seksualność, narzuca ci się pana, imię i miejsce zamieszkania. I wy uważacie, że to my jesteśmy „wyniosłe”! Uważam, że wcale nie jesteśmy aż tak zawzięte na istoty, które mają nam służyć.

– Dlaczego uważasz, że ludzie powinni wam służyć?

– Są przecież naszymi... służącymi?

– Nie.

– Co proszę?

– Większość ludzi uważa się za waszych panów i panie.

Czy ja się przesłyszałam?

– Ale oni...

– Sądzę, że żaden gatunek zwierząt nie powinien wydawać rozkazów innemu gatunkowi. Ziemia należy w takim samym stopniu do wszystkich form życia zwierzęcego i roślinnego. Żaden gatunek nie ma prawa ogłaszać się „ponad innymi”. Ani ludzie, ani koty.

– Przyznaj mimo wszystko, Patricio, że ludzie są mniej wrażliwi od kotów. Niewiele doznają. Wszystkie ich zmysły dotknięte są atrofią. Nie widzą w nocy.

– To prawda. Rozróżniają jedynie niewielkie spektrum kolorów. Nie słyszą ultradźwięków. Nie potrafią wyczuwać pola magnetycznego ani przepływu energii.

– Właśnie, o to mi chodzi.

– To nie znaczy, że jesteśmy gorsi, a jedynie, że jesteśmy inni. Prawdę mówiąc, w moim umyśle wszystkie gatunki zwierzęce się uzupełniają, stąd też moje nieustanne oczarowanie bioróżnorodnością tej planety. Tysiące gatunków różnych insektów, ssaków, ptaków, ryb i roślin należy ocalić w pierwszej kolejności.

– Jeśli wspólnie nie zareagujemy, ludzie i koty, bioróżnorodność zmaleje. Szczury zniszczą gatunki, które uznają za konkurujące z nimi. Zatem proszę cię, Patricio, skoro udało nam się porozumieć, wyjaśnij obecną sytuację swoim współbraciom, żebyśmy wspólnie mogli ocalić to, co może zostać ocalone.

Patricia zgadza się i obiecuje zacząć działać, gdy tylko się obudzi.

Resztę nocy spędzam z rozkosznym uczuciem spełnionego obowiązku.

Wreszcie.

## Leśna dyplomacja

Kiedy otwieram oczy, Pitagoras stoi przede mną. Przygląda mi się uważnie.

– Udało mi się! Znalazłam przejście i rozmawiałam z człowiekiem. Wszystko jej opowiedziałam.

Nie wygląda na wzruszonego, liże łapę.

– Wiem – odpowiada. – Wszyscy tu o tym mówią.

– Ach, Patricia przyszła?

– Istotnie.

– I przekazała moje dyrektywy?

– Prawie.

– „Prawie”?

– Twoja Patricia posiada być może umysł zdolny do komunikowania się ze zwierzętami, niestety jest lekko upośledzona, jeśli chodzi o porozumiewanie się ze swoimi współbraćmi.

Prowadzi mnie do miejsca, z którego mogę zobaczyć Patricię. To rzeczywiście ona. Jej ciało obwieszona jest błyskotkami. Kiedy jednak otwiera usta, nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

– Jest niemową – wyjaśnia mi Pitagoras.

– Nie rozumiem – mówię. – W świecie dusz jest...

– Rozwinęła talent komunikacji w świecie dusz właśnie dlatego, że nie potrafi rozmawiać z ludźmi. To się nazywa „kompensacja”. W ich świecie pełni rolę...

– Szamanki.

– Rzekłbym raczej „czarownicy”. Sprawdziłem w Internecie, co o niej mówią. Z tego, co zrozumiałem, uważana jest za wariatkę New Age, mieszkającą samotnie w domu na odludziu. Jest głuchoniema. Ludzie przychodzą do niej, żeby czytała im przyszłość z dłoni. Porozumiewa się z nimi pisemnie. Ale dowiedziałem się też, że ma za sobą kilkakrotne pobyty w szpitalach psychiatrycznych i złożono na nią wiele skarg w związku z oszustwami.

– Czyli jest wariatką?

– Na pewno ciężko jest brać ją na poważnie.

I oto ja, która myślałam, że wreszcie mi się udało, nawiązałam kontakt z człowiekiem, który nie potrafi porozumiewać się ze swoimi współbraćmi!

– Czyli to porażka?

Pitagoras nie podziela mojego rozczarowania.

– Niezupełnie. Patricia zna język migowy. Rozmawia za pomocą dłoni i jedna z kobiet tłumaczy ją na ludzką mowę. Idzie to sprawniej niż pisanie. Jej opowieść jest wystarczająco spójna, żeby ich zainteresować.

– Do licha, przy tych wszystkich pośrednikach przekazanie naszej wiadomości nie będzie łatwe!

– Cudem już i tak jest, że ci się to udało – przyznaje Pitagoras, puszczając do mnie oko (kolejny jego ludzki trik).

Mrugnął tylko jednym okiem, co jest dość imponujące. Próbuję zrobić to samo, ale nie udaje mi się. Przyglądam się nadal Patricii, która rozmawia za pomocą osobliwych gestów.

Młodzi dzikusy zbierają się wreszcie, żeby podyskutować. Przywódca z naszymi ze szcurek jest zajadły, wskazuje palcem na Nathalie i jej siostrę, które odpowiadają jeszcze gwałtowniej. Patricia i jej tłumaczka nadal rozmawiają w języku migowym. Ludzki przywódca wskazuje na mnie palcem, wykrzywiając twarz w nieprzyjaznym grymasie.

Ostatecznie, na dany sygnał, część osób unosi rękę w górę.

– Co oni robią? – pytam Pitagorasa.

– Głosują. Żeby poznać opinię większości na temat tego, co należy teraz zrobić.

– Co mówi zatem większość?

– Nie wiem. Wydają się podzieleni. Mam wrażenie, że połowa jest gotowa udać się na Wyspę Łabędzią, a połowa przeciwnie.

Nagle rozlega się dźwięk dzwonka. Alarm. Pitagoras analizuje sytuację i wyjaśnia mi, że szcurek namnożyły się do tego stopnia, iż mogły sobie pozwolić na poświęcenie setki swoich, żeby pokonać fosę wypełnioną ropą, która miała chronić obozowisko.

Szcurek kamikadze!

Kiedy przeszła pierwsza fala paniki, młodzi ludzie opanowują się i organizują obronę. Zakładają maski gazowe i kombinezony ochronne. Łuki, strzelby, granaty – wszystko jest dobre, żeby odeprzeć kolumnę napastników, istną rzekę brunatnej sierści.

Szcurek jakby wcale nie ubywało.

Atak ten zapowiada rychłe opuszczenie schronienia w lesie w Vincennes. Nie do pomyślenia jest zostać tutaj dłużej.

Grupa młodych ludzi uwija się, zbierając walizy i torby.

– Myślisz, że zrozumieli, iż należy udać się na Wyspę Łabędzią? – pytam swojego towarzysza.

– Tak czy owak, nie bardzo widzę, gdzie indziej mogliby ruszyć.

Część młodych ludzi udaje się na polanę i usuwa kamuflujące liście z ukrytych tam ciężarówek, samochodów, motocykli i rowerów. Większość pojazdów jest w kiepskim stanie, zderzaki noszą ślady zadrapań i wgnieceń. Muszą to być wraki odzyskane z obwodnicy, naprawione i ulepszone.

Razem z Pitagorasem, Nathalie i jej siostrą instalujemy się w jednej z furgonetek. Kierowca jest bardzo młody.

Wszystkie samochody ruszają kolumną jedną z leśnych dróg.

Nad fosą z ropą przerzucono most i nasza procesja obiera tę jedyną możliwą trasę.

Nathalie wypowiada moje imię, a potem imię Patricii. Zwracam głowę w jej stronę. Myślę, że zrozumiała, czego dokonałam na obłoku dusz. Mam wrażenie, że wyczuwam podziw w jej głosie. Uświadamiam sobie, że być może mój czyn przejdzie do historii.

Na razie jednak są ważniejsze sprawy do załatwienia: nasza furgonetka ma problem z silnikiem i zatrzymuje się. Młody kierowca na próżno usiłuje włączyć zapłon. Auto nie jedzie dalej.

Szczury depczą nam po piętach, a jednemu z nich udaje się przedostać przez dziurę w podłodze. Skaczę na niego i zabijam go. Niestety otwór jest tak duży, że wypadam na zewnątrz! W tym momencie pojazdowi udaje się ruszyć. Z przerażeniem patrzę, jak samochód oddala się, a w moją stronę pędzi tysiąc szczurów.

Biegnę, ścigana przez ich zgraję.

Nagle czas zatrzymuje się i wszystko wokół mnie zamiera.

Mój umysł opuszcza czaszkę i przygląda się scenie.

Bastet, ta na dole, moja cielesna powłoka, chyba jest w tarapatkach: czy nie lepiej by było, gdyby umysł ją opuścił?

## Na brzegu rzeki

Kim jestem?

Czyż nie kotką, aktualnie w poważnym niebezpieczeństwie?

Uświadomienie sobie mocy myśli skłania mnie do opuszczenia ciała i rozpląnięcia się we Wszechświecie.

Czy to dobrze? Czy to źle?

Im więcej o tym myślę, tym lepiej rozumiem, że byłoby to błędem.

Jeśli nie będę już „zamknięta”, umysł będzie miał spore trudności z oddziaływaniem na materię.

Szczury się zbliżają, ale furgonetka zwalnia i zawraca, a przednie drzwi się otwierają.

– Wsiadaj! – woła Pitagoras.

Dłoń Nathalie podnosi mnie, drzwi zatraskują się, zanim jakimkolwiek szczerowi udaje się wskoczyć do szoferki. Mój umysł wraca nagle do ciała. Pojazd przyspiesza i zostawia pościg w tyle.

– Dziękuję, że mnie nie porzuciłeś.

– Wciąż jeszcze jesteś mi potrzebna, a twojej służącej chyba też zależy na zachowaniu cię żywej przy sobie.

Istotnie, Nathalie głaska mnie i powtarza moje imię z uczuciem. Mruczę bezwiednie.

Po tych wszystkich wrażeniach poczucie, że jest się kochaną, przynosi ulgę, nawet jeśli nie o ten rodzaj miłości chodzi i nie o tę osobę.

Spoglądam na swoje odbicie w lusterku wstecznym i po raz kolejny stwierdzam, że moja powłoka cielesna jest dość atrakcyjna. Rozumiem już, dlaczego cofnęli się, żeby mnie odzyskać. Jestem naprawdę piękna.

Co powiedział Pitagoras?

„Wciąż jeszcze jesteś mi potrzebna”.

Chyba Wszechświat ma co do mnie pewien plan i z każdym dniem plan ten się klaruje. A niektórzy są tutaj, żeby mi o tym przypominać, kiedy zapomnę.

Nasz konwój składa się z około dwudziestu pojazdów, w których tłoczy się setka młodych ludzi i sprzęt: namioty, broń i narzędzia.

Omijamy obwodnicę i wjeżdżamy na wybrzeże Sekwany. Terenowa

ciężarówka z wielkim metalowym trójkątem na zderzaku (Pitagoras powie mi później, że chodzi o lemiesz pług) otwiera kolumnę, spychając do czarnych wód rzeki porzucone samochody i gruz.

Nie lubię zamykać pochodu. Zawsze się boję, że w razie problemu ci na przedzie pójdą dalej, nie zauważysz, że mnie nie ma.

Wydaje się, że nasz kierowca podziela moje obawy, gdyż wyprzedza całą kolumnę i zajmuje miejsce za pierwszym pojazdem, który wkrótce zmuszony jest zatrzymać się z powodu nadmiaru wraków blokujących drogę. Nasza furgonetka zostaje unieruchomiona i nie podoba mi się to. Pitagoras wdusza przycisk opuszczający szybę, żeby lepiej zorientować się w sytuacji.

Jesteśmy zmuszeni czekać, aż przeszkoda zostanie usunięta, a ja odnoszę wrażenie, że szczurów wokół nas zbiera się coraz więcej.

– Pewna średniowieczna historia, *Flecista z Hameln*, opowiada o szczurach – mówi kot syjamski. – Powstała na motywach prawdziwego zdarzenia, jakie miało miejsce w tysiąc dwieście osiemdziesiątym czwartym roku w mieście Hameln w Niemczech. Legenda podaje, że miasto to zostało zniemacka opanowane przez tysiące niszczycielskich szczurów. Ludność słabła, zaczynało brakować pożywienia. Mieszkańcy nie potrafili znaleźć sposobu na odparcie wroga. Pewnego dnia pojawił się mężczyzna, który zaproponował, że uratuje miasto w zamian za tysiąc złotych dukatów. Burmistrz przystał na to, a nieznajomy wyciągnął flet, zaczął grać porywającą melodię, oczarował szczury, które poszły za nim aż nad rzekę i wszystkie się potopiły. Kiedy miasto zostało ocalone, burmistrz odmówił wypłacenia obiecanej kwoty, a mieszkańcy Hameln, zapominając o przysłudze, jaką człowiek ten im wyświadczył, przepędzili flecistę kamieniami i nabijali się z niego, umniejszając groźbę, jaką stanowiły szczury. Muzyk poprzysiągł im zemstę. Kilka dni później wrócił i pod osłoną nocy zagrał na flecie, aby tym razem wyprowadzić z miasta wszystkie dzieci. Zaprowadził je nad rzekę, gdzie potopiły się jak szczury.

Muszę przyznać, że po tym, co przytrafiło się moim kociętom, historia ta mnie zachwycała. Wydała mi się interesującym sposobem na zemstę na niewdzięcznikach.

– Opowieści, które ludzie sobie przekazują, pozwalają im na zachowanie w pamięci wydarzeń z przeszłości, kiedy zmuszeni byli stawić czoło katastrofom.

– Lubię, kiedy mi opowiadasz historie, Pitagorasie.

– Lubię je opowiadać – przyznaje. – Być może zostałem stworzony po to, żeby opowiadać ludzkie historie kotom...

– Począwszy ode mnie?

– Ty masz dużą zaletę: potrafisz słuchać i doceniać. Nie wszystkie koty są takie

jak ty.

Przypominam sobie zblazowanego Félix, którego nic nie interesowało, któremu brakowało ambicji i który – nie oczekując wiele od życia – niewiele też od niego otrzymał.

Ostatecznie, żeby usunąć przeszkodę, młodzi ludzie wydobywają rury, które Pitagoras nazywa „bazookami”. Droga zostaje otwarta dzięki eksplozji i konwój rusza dalej.

Nieco później dołączamy do naszych współpracowników, którzy zostali w Pałacu Elizejskim.

Angelo jest na mnie obrażony. Dziękuję Esmeraldzie za opiekę nad nim. Zauważam, że liczba obecnych na miejscu kotów podwoiła się i rozpoznaję nawet Nabuchodonozora, który wolał zawrócić i przyłączyć się do nas.

Kiedy ludzie z konwoju odkrywają, co znajduje się za betonowym murem i stalowymi drzwiami prezydenckiego schronu przeciwoatomowego, nie mogą wyjść z podziwu.

Otwierają konserwy, odkorkowują butelki, których zawartość była dla nas do tej pory niedostępna. Zabierają skrzynie z produktami spożywczymi, broń, kombinezony i maski ochronne (lepszej jakości niż te, których używali), robią zapasy amunicji, leków i sprzętu chirurgicznego, opatrują rannych.

Po upływie dwóch lub trzech godzin wszystko, co znajdowało się w schronie, zostaje zapakowane do ciężarówek i samochodów. Konwój formuje się na nowo i ruszamy w stronę Wyspy Łabędziej. Angelo, Wolfgang i Esmeralda wsiadają razem z nami do furgonetki. Pozostałe koty i lew drepczą za nami.

Uprzedzam Hannibala, że chwilowo lepiej, żeby nie pożerał ludzkich dzieci, gdyż są z nami sprzymierzone w walce ze szczurami.

Oceniam, że jest nas obecnie mniej więcej trzysta kotów i stu ludzi. Niezły oddział.

Pitagoras używa Trzeciego Oka, żeby wypatrywać – za pośrednictwem kamer miejskich – szczurzych zgrupowań. Na szczęście te nie zdążyły jeszcze odtworzyć wystarczająco dużej armii, żeby nas zaatakować.

Nasza procesja wkrótce dociera nad rzekę. Ciężarówka-spychacz przeciera szlak przez żelastwo oraz gruz z cementu i betonu.

Pitagoras obserwuje również scenerię wokoło.

– Dobrze, że odjechaliśmy – mówi.

– Szczury miały zamiar nas zaatakować?

– Jest ich jeszcze więcej, zgromadziły się w pobliżu. Jeden szczur większy od pozostałych stoi na tylnych łapach, żeby dopingować szczury tłum. Mam

wrażenie, że już go widziałem podczas bitwy na Polach Elizejskich.

– Król szczurów? Nazwałam go Kambyzesem i prawie go dopadłam.

– Próbuje przeciągnąć jak najwięcej szczurów na swoją stronę. Hordy gryzoni ściągają do stolicy z przedmieść. Jest ich już sto razy więcej od nas.

– Ile czasu nam zostało, twoim zdaniem?

– Jedźmy, a wkrótce sami zobaczymy.

Czy on naprawdę powiedział „jest ich sto razy więcej od nas”?



## Pitagoras

Wieje silny wiatr, ale nasza procesja przedziera się naprzód mimo jego porywów. Czarna rzeka przybrała szary odcień, a fale rozbijają się na nadbrzeżu, ochlapując nas od czasu do czasu.

Robimy sporo hałasu, jest nas jednak wystarczająco dużo i jesteśmy uzbrojeni, więc nikt nie ośmiela się nas zatrzymać.

Po naszej lewej stronie, na wieży Eiffla, wiruje snop światła.

– Z początku uważałem, że powinniśmy schronić się tam, na szczycie tej metalowej wieży – mówi Pitagoras – ale biorąc pod uwagę, ilu nas jest, byłoby to trudne do zrealizowania.

– Poza tym, jeśli szczury zaatakują, nie udałoby się nam zeskoczyć z tak wysoka – zauważam.

Po namyśle dochodzę do wniosku, że moje życie jest idealne: każdy dzień przynosi niespodzianki.

Już jest martwy ten, dla którego jutro jest kolejnym wczoraj.

Już jest martwy ten, kto rano wie, co przydarzy mu się po południu.

Już jest martwy ten, kto dąży jedynie do bezruchu i bezpieczeństwa.

Dokonałam wyboru: wystawiam moje ciało na próby, ale mój umysł się doskonali. Kształtowany przez przeciwności i niespodzianki, lepiej poznaje swoje możliwości, jest bardziej spójny, a ja potrafię nim sterować niczym przedłużeniem mojego ciała.

Pitagoras miał rację, moja dusza musiała wybrać to życie do celów eksperymentalnych: próby służą nauce i wychowaniu.

Moje życie nie musi być łatwe ani doskonałe, żeby być cudowne. Sens nadaje mu mój sposób postrzegania go.

Nie rywalizuję z nikim innym.

Mam własną, unikatową drogę.

Ja...

Ups, zmieniam się w kotkę filozofkę. Pitagoras ma na mnie pod tym względem zły wpływ. Powinnam chyba raczej zacząć rozwiązywać aktualne problemy, zanim zacznę stawiać sobie egzystencjalne pytania.

Rozglądam się uważniej wokoło.

Gdzieś tam szczury wysuwają swoje pyszczki, obserwują nas, ale nie mają

odwagi się zbliżyć. Na razie.

Trzeba się spieszyć.

W końcu Pitagoras daje nam znak, że dostrzega już Wyspę Łabędział. Z tego, co widzę, to zielony język pośrodku rzeki. Docieramy do mostu Bir-Hakeim, gdzie zaczynają się schody prowadzące aż na samą wyspę. Młodzi ludzie tworzą łańcuch, żeby rozładować samochody i przenieść skrzynie z jedzeniem, narzędziami i bronią.

Esmeralda kładzie się pod ławką. Angelo natychmiast podchodzi, żeby się do niej przyssać. Wiecznie głodny! Ale nie mam już poczucia, że kotka kradnie mi syna. W końcu nie stajemy się właścicielami istoty, którą wydaliśmy na świat. W świetle moich ostatnich przygód odnoszę wrażenie, że wszystkie konflikty powoduje chęć posiadania. Posiadania małżonka, terytorium, naszych ludzkich służących, pożywienia, własnych dzieci. Nikt nie należy do nikogo. Istoty nie są przedmiotami. Jeśli Angelo chce mieć dwie matki, to jego wybór. Na dodatek taki układ mnie urządza, dzięki temu mam chwilę dla siebie, nie muszę cały czas dostarczać mleka. Odrzucenie chęci posiadania ma dużą zaletę: nieco odpoczynku dla moich sutków.

Wyruszam na zwiedzanie Wyspy Łabędziej.

Na jej wschodnim krańcu znajduje się posąg mężczyzny galopującego konno z mieczem.

– To *Francja odradzająca się* – komentuje Pitagoras, dołączając do mnie.

– Czy na Wyspie Łabędziej toczyły się już jakieś wojny? – pytam.

– Nie, to sztuczna wyspa stworzona w tysiąc osiemset dwudziestym roku. Była za wąska, żeby stanowić cel jakichkolwiek podbojów. Dziewięćset metrów długości na jedenaście szerokości. Nikt nigdy jej nie zamieszkiwał. Służy za podporę dla trzech przebiegających przez nią mostów.

Drepczemy długą aleją przecinającą wyspę. Na zachodnim jej krańcu wznosi się inny, jeszcze bardziej majestatyczny pomnik.

– To pomniejszona kopia Statuy Wolności, która znajduje się w Nowym Jorku – informuje mnie Pitagoras. – Oryginał mierzy czterdzieści sześć metrów wysokości, a ta replika jedenaście.

– Co przedstawia?

– Olbrzymią kobietę. W prawej dłoni trzyma pochodnię, którą oświetla świat, a w lewej spis praw stanowiących reguły zachowania w grupie.

– Czy jest boginią?

– Nie, nie wszystkie posągi muszą przedstawiać boginie. Ta na przykład jest zwykłą samicą symbolizującą wolną ludzkość.

Nasza wyspa ma zatem męską i kobiecą stronę.

Wokół nas krzątają się młodzi ludzie, urządzając obozowisko. Nathalie jest zdenerwowana. Skupia się na swoim smartfonie (na szczęście wyposażonym w baterię słoneczną). Pitagoras zamyka oczy i domyślam się, że nurkuje w Internecie.

– Przygotowała spis sprzętu na sąsiednich budowach – szepcze.

– O jakim sprzęcie mówisz?

– Podnośniki, cement, cysterny, łopaty, grabie i przede wszystkim... materiały wybuchowe.

Następnie moja służąca chowa smartfon, wzywa kilku młodych osobników i rozmawia z nimi przez chwilę, po czym wyruszają oni wypełnić misję, polegającą zapewne na zdobyciu sprzętu w okolicy.

Najwyraźniej sprawy posuwają się naprzód.

Oby tylko Patricia zdołała przekazać swoim współpracownikom moją wiadomość i wskazówki. Zauważam właśnie szamankę. Coś je i wygląda na zmartwioną. Właściwie to nie przestaje pochłaniać pożywienia, mam wrażenie, że uspokaja ciało, wypełniając je.

W międzyczasie młodzi ludzie zaczynają wznosić barykadę ze skrzynek. Wieje silny wiatr i fale ciemnej rzeki roztrzaskują się o brzeg. Pitagoras obserwuje wybrzeże, wypatrując ewentualnych najeźdźców. Wyczuwam jego niepokój.

– Opowiedz mi dalszy ciąg historii ludzi i kotów – mówię.

– Przykro mi, nie mam już na to ochoty. Teraz ty będziesz mi opowiadała. Jak udało ci się porozumieć z Patricia?

– Zawsze uważałam, że wszystkie żywe istoty wyposażone w system nerwowy mają duszę, która potrafi wydostać się z powłoki cielesnej. Intuicja podpowiadała mi, że nasz umysł jest niczym powietrze, a raczej obłok, a nawet dokładniej: niczym obłok zdolny wszystko przenikać i rozciągać się w nieskończoność.

– Jak wpadłaś na ten pomysł?

– Podczas snu. Widziałam w nim mój umysł, który pod postacią oparów wydostał się z mojej czaszki i powiększał się. Kiedy obłok znalazł się nade mną, spojrzałam na siebie z góry. Widziałam w dole kota, który musiał być mną, ale ja byłam czymś więcej. Mój umysł okazał się znacznie obszerniejszy niż cielesna powłoka.

Pitagoras spogląda na mnie innym wzrokiem.

– Ciekawe jest to, co mówisz, gdyż jedno z doświadczeń przeprowadzonych przez Sophie na zwierzętach potwierdza twoje słowa. Opowiedziała mi o tym, a następnie zademonstrowała. Eksperymentowi poddano szczególne zwierzę, nie kota, ale robaka. Płazińca. Ma głowę, oczy, otwór gębowy, mózg i system

nerwowy. Sophie umieściła kilka z nich w labiryntach, w których gdzieś gdzieś rozmieszczono nagrody w postaci pożywienia, a gdzieś gdzieś kary: wyładowania elektryczne. Robaki napotykały jedzenie lub wyładowania w zależności od obranych w labiryncie tras.

– Tak jak na trasie życia?

– Właśnie. Pozostawiono je tam na dłuższy czas, a następnie wyjęto i... odcięto im głowy. Płaziniac ma tę charakterystyczną cechę, że ciało mu odrasta.

– Nawet głowa?

– Tak, nawet głowa. Robaki ścięto, ale po pewnym czasie głowy się odtworzyły. Sophie ponownie umieściła w labiryntach robaki o nowych głowach, a więc i o nowych mózgach. Szły dokładnie tam, gdzie znajdowało się jedzenie, i systematycznie unikały miejsc, w których czekały je wyładowania elektryczne.

Nie śmiem wierzyć własnym uszom.

– To potwierdza moją hipotezę: umysł nie siedzi jedynie w czaszce – szepczę.

Pitagoras wpatruje się we mnie z powagą.

– Kiedy badam Internet, również odnoszę wrażenie, że jestem tylko umysłem krążącym po nieskończonym niematerialnym świecie. Częściowo właśnie dlatego czerpię z tego taką przyjemność.

– Ty masz Internet, żeby opuścić ciało, ja mam sny. Tam nie ma granic między gatunkami, jedynie umysły, które napotykają inne umysły.

Pitagoras wciąż wpatruje się we mnie swoimi olbrzymimi niebieskimi oczami wyłaniającymi się spomiędzy szaroczarnej sierści. W tej chwili chyba podziwia mnie tak, jak ja podziwiałam go za lekcje historii.

– A co widziałas w tym „twoim świecie, gdzie wszystkie umysły są równe i mogą się porozumiewać”?

– Widziałam umysł Nathalie, ale był zamknięty. Chyba nigdy nie uda mi się z nią porozumieć.

– Nawet gdybyś zdołała do niej przemówić, ona nie mogłaby odpowiedzieć – przyznaje. – Jesteś dla niej jedynie swego rodzaju miauczającym pluszakiem.

Ma rację.

– Sądziłam, że wybrała mnie, bo przeczuwała, kim naprawdę jestem. To, że nazwała mnie Bastet, a ty wyjaśniłeś mi znaczenie tego imienia, zachęcało mnie do podążania tą drogą.

– Ale znalazłaś właściwe przejście: twoją „szamankę-czarownicę”.

– Patricia jest moim alter ego w świecie ludzi. Ona również pojęła, że jesteśmy tylko umysłami zamkniętymi w ciele. Chciałaby komunikować się ze zwierzętami, z roślinami. Też jest pionierką.

Gdy to mówię, osobliwa myśl przychodzi mi do głowy: czyżbym skuteczniej

porozumiewała się z Patricią we śnie niż z Pitagorasem, z którym rozmawiam w tym samym języku?

Byłby to największy paradoks: lepiej komunikować się bez słów, nawet z istotami innego gatunku!

Pitagoras podchodzi do mnie i ociera się pyszczkiem o moją szyję. Chyba odebrał moją myśl i szuka innego sposobu na zbliżenie się do mnie, poprzez zetknięcie się sierścią.

Oddalamy się od grupy.

Pitagoras daje mi znak, żebym poszła za nim w stronę wysokiej Statuy Wolności. Wspinamy się na sąsiadujące z nią drzewo, a następnie zeskakujemy z gałęzi na kamienny cokół i stajemy u stóp kobiety z brązu. Imitacja fałdów tkaniny jej togi umożliwia chwytność pazurom i pozwala wspiąć się na czubek jej głowy.

Sadowimy się tam i rozglądamy po okolicy.

– Tam jest Dom Radia, stamtąd ludzie wysyłają fale komunikacyjne, telewizyjne i radiowe.

– Sygnał Internetu też?

– Prawdopodobnie. Nie jestem pewien. W każdym razie mam tutaj dobry zasięg.

Biorę głęboki wdech.

– Spójrz w górę!

– Gwiazdy? – dopytuję.

– I planety. Kiedyś przyszła mi do głowy myśl, że... my, koty, nie pochodzimy z Ziemi. Gdzieś, nie wiem gdzie, istnieje inna planeta, na której pojawili się nasi przodkowie. Wysłali raketę z kocimi astronautami, którzy wylądowali tutaj, bardzo dawno temu.

– Rakietę jak ta z Félicette? Po co mielibyśmy przylecieć akurat tutaj?

– Być może naszym celem było skolonizowanie planety, wówczas jeszcze prymitywnej, zamieszkaanej przez proste istoty o raczkującej świadomości.

– Dlaczego więc zapomnieliśmy, po co tu przybyliśmy?

– Ponieważ rozwinęliśmy odpowiednie narzędzia umysłu, ale nie pamięci. Nie potrafimy ani pisać, ani czytać, nie mamy więc skutecznych sposobów na utrwalanie informacji. Nie dysponujemy pamięcią długoterminową. Być może pionierzy przekazali naszą historię swoim dzieciom, które powtórzyły je swoim potomkom. W trakcie przekazów została ona zapewne zdeformowana i podana w wątpliwość, wreszcie zmieniła się w zwykłą bajkę, legendę. W końcu zapomniano o niej. Jak o wszystkim, co nie jest zapisane na trwałym nośniku.

Myśl ta intryguje mnie, ruchem czubka ogona zdradzam podniecenie.

– Historia ta nie mogła całkiem zagiąć, gdyż w Indiach, Chinach i Skandynawii czczono Bastet i bogów oraz boginie o głowie lub ciele kota.

– Niektórzy ludzie lepiej od nas pamiętali nasze pochodzenie. Pismo i książki umożliwiają ludziom zachowanie konkretnych śladów wszystkiego, co wydarzyło się w przeszłości. Na tym polega ich wielka przewaga, a nasz wielki brak. Pamięć pisana stanowi klucz do nieśmiertelności cywilizacji. Bez ksiąg wszystkie prawdy mogą zostać podważone, wszystko, co zostało zrealizowane, odchodzi powoli w niepamięć.

Oblizuję się. Pitagoras strzyże uszami.

– Usiłuję wyobrazić sobie planetę zamieszkaną przez koty dysponujące zaawansowaną technologią. Być może miałyby mniejsze i szybsze pojazdy. I samoloty, które latałyby jeszcze wyżej.

– W kształcie zwinnego ptaka – pozwalam sobie dodać.

– Wyobrażam sobie koty w ubraniach.

– Ze szczurzych skór?

– Być może nawet koty dwunożne.

Mam ochotę uzupełniać każdy z jego pomysłów.

– Koty jedzące *foie gras* z... myszy – proponuje.

– Co to jest *foie gras*?

– Bardzo cenione przez ludzi danie, jak kawior.

– Chciałabym spróbować *foie gras* z myszy.

Pitagoras wciąż myśli, z oczami utkwionymi w gwiazdach. Wiatr przykleja nam wąsy do pyszczków.

– Koty, które miałyby... małych ludzi w charakterze zwierząt domowych? – proponuję, podnosząc poprzeczkę.

– Nie, ludzie żyją tylko na Ziemi.

– Jesteś tego pewien, Pitagorasie? Ja potrafię sobie wyobrazić duże koty w eleganckich strojach, które głaskają małych, nagich i trzęsących się z radości ludzi. Umieję też sobie wyobrazić, jak podają im suchą karmę i sprzątajają kuwetę.

Przerzucamy się z Pitagorasem hipotezami na temat potencjalnej kociej cywilizacji, ale obawiam się, że naszą wyobraźnię ogranicza to, co już zaobserwowaliśmy u naszych ludzkich służących. Wreszcie zasypiamy, wtuleni w siebie.

Śpię.

Śnię.

Mój umysł opuszcza ciało i pod postacią lekkiego obłoku kociej myśli dołącza do chmury myśli wszystkich żyjących i świadomych istot.

Znów widzę uśpione twarze ludzi o zamkniętych oczach i napotykam Patricię, która ma oczy i umysł otwarte, jak poprzednio.

– Dzień dobry, Bastet.

– Nie wiedziałam, Patricio, że jesteś...

– Kiedyś wykładałam na uniwersytecie. Uważałam, że jestem nieco za gruba, więc zażywałam pewne lekarstwo, żeby schudnąć. Niestety lek ten spowodował niepożądane efekty uboczne. Zaczęło się od migren, potem pojawiły się zawroty głowy i trudności z wypowiedaniem się. Kiedy skojarzyłam objawy z lekarstwem, było już za późno. Wytoczyłam proces firmie farmaceutycznej i wygrałam go: lekarstwo zostało zakazane, ale najgorsze już się stało. Z każdym dniem traciłam zdolność emisji i odbioru. Możliwość mówienia i słyszenia. Ostatecznie zostałam zamknięta w mojej głowie, sama ze sobą. Osobliwe uczucie. Pozbawiona dwóch głównych zmysłów, w ramach kompensacji rozwinęłam dwa inne: umiejętność ucieczki i kontaktu ze światem zewnętrznym. Mówi się, że ślepotą jest najgorszą niepełnosprawnością, ale dla mnie jest nią głuchota. Kiedy jest się głuchym, nie czuje się przestrzeni, gdyż uszy również przekazują nam tę informację, wiedziałas o tym?

– Zostałaś szamanką, bo jesteś „zamknięta w swojej głowie”?

– Ponieważ zostałam zamknięta, jak mówisz, musiałam szukać wyjścia i... nie ma wielu „normalnych” zawodów dla głuchoniemych. Mój umysł szukał sposobu na przetrwanie. W życiu wszystko dąży do równowagi, każda ułomność otrzymuje przeciwwagę w postaci wyjątkowego talentu.

– W każdym razie gratulacje! Udało ci się przekazać innym moją wiadomość – mówię.

– To ja ci gratuluję! Twojemu planowi zawdzięczamy naszą tu obecność.

– Muszę ci się przyznać, że plan nie był mój, tylko mojego towarzysza, Pitagorasa. On wie wszystko, on wszystko organizuje, on znalazł Wyspę Łabędzia. To on ma Trzecie Oko. Ja jestem tylko jego... adeptką.

– Pitagoras? Czy wiesz, że imię to należało do sławnego w starożytnej Grecji człowieka? Był bardzo mądry. Kiedy byłam profesorem, specjalizowałam się w tym okresie historii i fascynowała mnie postać, która nosiła to samo imię co twój przyjaciel. Moim zdaniem to najbardziej niezwykły człowiek, jaki kiedykolwiek stąpił po ziemi.

Patricia naprawdę potrafi zaskakiwać.

– Chcesz dowiedzieć się o nim czegoś więcej?

– Oczywiście.

– Jego matka uważała, że jest bezpłodna, udała się więc do Pytii delfickiej, która przepowiedziała jej narodziny dziecka o wszelkich zdolnościach. Nazwała

syna „Pitagorasem”, co oznaczało „zapowiedziany przez Pytię”. Urodził się w pięćset siedemdziesiątym roku przed Jezusem Chrystusem na greckiej wyspie Samos. Jego rodzice byli jubilerami. Pitagoras był bardzo pięknym i wysportowanym dzieckiem. W wieku siedemnastu lat nie tylko został wirtuozem w grze na harfie i flecie, lecz także zwyciężał we wszystkich zawodach pięściarskich – ówczesnym boksie – podczas igrzysk olimpijskich. Pewnego dnia ojciec poprosił go, żeby udał się do Egiptu i dostarczył kapłanom ze świątyni w Memfis zamówione przez nich cyzelowane pierścienie.

– Chodzi o egipskich kapłanów, którzy czcili Bastet?

– Zapewne. W każdym razie Pitagoras wykorzystał swój pobyt w Memfis, żeby zapoznać się z tajnikami egipskiej religii.

– Musiał mieć kota.

– Kiedy przyjmował nauki od egipskich kapłanów, kraj został zaatakowany przez perską armię króla...

– Kambyzesa II?

– Znasz już tę opowieść?

– Stanowi ona element kultury ogólnej każdego kota...

– Młody Pitagoras stał się bezsilnym świadkiem plądrowania świątyń, publicznej męki byłego faraona i uśmiercania kapłanów i arystokratów.

– I ich kotów?

– Rzeczywiście, koty również wymordowano. Pitagoras zdążył jedynie uciec do Judei, obecnego Izraela. Tam przyjęli go hebrajscy duchowni i zapoznali z religią żydowską.

– Był wielkim podróżnikiem.

– Tak, co stanowiło rzadkość w tamtych czasach, gdyż podróżowanie nie należało do bezpiecznych zajęć. Judea została z kolei zaatakowana przez wojowników królestwa Babilonii, obecnego Iraku, którzy wzięli Pitagorasa do niewoli i zabrali ze sobą.

– Miał pecha.

– Przeciwnie, gdyż na galerze spotkał kapłanów kultu Orfeusza pojmanyh w Tracji oraz kapłanów chaldejskich. Zapoznał się z ich religiami, po czym, dzięki pomocy tychże duchownych, zdołał uciec i wyruszyć na wschód, w stronę Indii.

– Czy to daleko?

– Bardzo daleko. Tam uzupełnił swoją wiedzę o hinduizm. Wykształcony, wrócił do Delf, gdzie przeżył historię miłosną z nową Pytią, która podzieliła się z nim wiedzą kapłańską. Następnie spędził nieco czasu na swojej rodzinnej wyspie Samos, lecz jako że Grecją władał tyran, wolał wyruszyć na zachód. Osiedlił się w Crotone, na południu Włoch. Przekonał mieszkańców tego miasta, aby pozwolili



mu założyć szkołę. W zamian zaproponował, że zajmie się miejską polityką i ekonomią. W szkole tej odbywały się zajęcia zarówno sportowe, jak i z medycyny, geometrii, poezji, astronomii, geografii, polityki i muzyki, a nawet z wegetarianizmu.

– Wiem, że to on był pomysłodawcą określeń „filozofia” i „matematyka”.

– Istotnie. Dobrze zapamiętałaś lekcję.

Pozwalam Patricii, zafascynowanej życiem tej postaci, ciągnąć swoją opowieść.

– Kryteria doboru nowych uczniów były bardzo surowe. Pod uwagę brano jedynie inteligencję i odwagę. Każdy nowy uczeń musiał wszystko porzucić, aby wstąpić w progi tej instytucji. Szkoła pitagorejska była jednakże pierwszą, która przyjmowała również kobiety, obcokrajowców i niewolników, co w tamtych czasach stanowiło rzecz nie do pomyślenia.

– Ilu było uczniów?

– Dwustu lub trzystu, nie więcej. Oprócz uczestniczenia w lekcjach brali oni również udział w warsztatach badawczych i analitycznych. Pitagoras poświęcił życie na próby stworzenia pomostu między duchowością i nauką. Drogi szukał w liczbach. Na pierwszym roku uczniowie poznawali moc cyfry jeden i jedności z Wszechświatem. W drugim roku nauki zapoznawali się z tajemnicami cyfry dwa i dwoistością kobiety i mężczyzny, dnia i nocy, ciepła i zimna. Na trzecim roku Pitagoras uczył mocy cyfry trzy w oparciu o tryptyk: ciało – inteligencja – duchowość. Czwarty rok nauki poświęcano mocy liczby cztery i czterem żywiołom: powietrzu, wodzie, ziemi i ogniovi.

Osobliwe, wszystko to wydaje mi się takie oczywiste. Mam wrażenie, że wiedziałam już o tym od dawna.

– Pitagoras uważał, że istnieją dwie formy postrzegania Wszechświata: jako zwykłej materii, której można dotknąć, oraz jako liczby. Uważał, że materia składa się z małych cząsteczek umieszczonych w próżni i połączonych prawami matematyki.

Do licha. Zawsze to podejrzewałam.

– Odkrył fundamentalne zasady rządzące miarami, takie jak twierdzenie Pitagorasa, które później służyć będzie wszystkim architektom, a także złotą liczbę, panującą nad harmonią kształtów. Jego dewiza brzmiała: „Wszystko jest liczbą”. Wreszcie określił pierwszą gamę muzyczną za pośrednictwem struny i tabliczki z podziałką.

– Jeden człowiek dokonał tylu odkryć w tylu dziedzinach?

– W czterysta pięćdziesiątym roku przed Jezusem Chrystusem pewien młody z miasta Crotona, Cylon, rozczarowany, że nie zdał egzaminu wstępnego do szkoły

pitagorejskiej, przekonał ludność, aby zbuntowała się przeciwko tej instytucji. Oskarżył pitagorejczyków o elitaryzm i niechęć do dzielenia się wiedzą. Mieszkańcy miasta zaatakowali szkołę, podłożyli pod nią ogień, zabili uczniów i profesorów, którzy na próżno usiłowali bronić swego mistrza.

– Czyn jednego zazdrosnego człowieka wystarczył, żeby obalić system Pitagorasa?

– Pitagoras został zamordowany. Miał wówczas osiemdziesiąt pięć lat. Wszystkie jego dzieła zostały spalone, lecz myśl przeżyła dzięki uczniom, którzy z pamięci przekazywali świadectwo jego odkryć i nauk. Wśród najbardziej znamienitych spadkobierców filozofii Pitagorasa są Grecy Sokrates i Platon oraz rzymski architekt Witruwiusz.

– Sądzisz, że mój kot Pitagoras mógłby być inkarnacją ludzkiego Pitagorasa?

– Twoje pytanie jest o tyle kłopotliwe, że Pitagoras (być może ze względu na swój pobyt w Indiach) wierzył w reinkarnację i uważał, że posiada pamięć wszystkich swoich minionych istnień, czy to ludzkich, czy to zwierzęcych. Na dodatek posiadał wiele kotów, które uwielbiał.

– *Mój* Pitagoras twierdzi w każdym razie, że sam wybrał swoje imię.

– Pewnego dnia uznałam, że moja pasja dla tego greckiego filozofa może wynikać z faktu, iż jestem inkarnacją jednego z jego uczniów zabitych podczas pożaru szkoły. Walki między niedouczonymi barbarzyńcami i ludźmi wykształconymi nie można ująć w ramy czasowe.

– Pitagoras, mój koci towarzysz, jest tego samego zdania. Twierdzi, że ci, którzy nie rozumieją, zawsze chcą zabić z zazdrości tych, którzy rozumieją.

– Myślę, że należy uczyć wszystkich, ale w tym celu trzeba w pierwszej kolejności *przygotować* umysły. Jeśli nie są gotowe, rozumieją wszystko na opak, używają narzędzi, żeby niszczyć, zamiast budować, przekształcają rzetelne informacje w kłamstwa, aby skuteczniej podporządkowywać sobie innych. „Nauka bez sumienia jest jedynie ruiną duszy” twierdził Rabelais, wielki francuski humanista okresu odrodzenia.

Mam wrażenie, że to, co obecnie przeżywamy na Wyspie Łabędziej, odzwierciedla wiele minionych kryzysów. Rozumiem, że ta walka, w której uczestniczę, nie jest jedynie wojną o terytorium lub utrzymanie się przy życiu. To wojna cywilizacji z barbarzyństwem. Kambyzes II walczył z kapłanami Bastet, Cylon z uczniami Pitagorasa, fanatyczni terroryści z laickimi szkołami. A teraz szczury.

– Obawiam się kolejnej bitwy – mówię.

– Ja również. Jeśli nasza cywilizacja upadnie, trzeba będzie bardzo długo czekać na jej odbudowę.

– Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę, Patricio. Czy w czasie walki mogłabyś poprosić młodych ludzi o emisję pewnego konkretnego utworu muzycznego?

Następnie powracamy do naszych ciał i szykujemy się do wybudzenia w materialnym świecie.

Srebrzysty obłok mojego umysłu odzyskuje kulisty kształt i powraca, aby wpasować się w ciasną przestrzeń czaszki.

## Wyspa Łabędzia

Unoszę powieki i mrugam.

Dzień zanika wśród fioletowych chmur, noc rozciąga ciemność, odsłaniając gwiazdy.

Pitagoras również się budzi. Schodzimy z posągu i dołączamy do ludzi w ich obozowisku.

Osobnicy, którzy dowiedzieli się o naszym istnieniu, spontanicznie przyłączyli się do naszej sprawy. Zdesperowani ludzie, którym wyczerpały się zapasy pożywienia, w każdym wieku i każdej płci, ale też wygłodniałe samotne koty, ostatecznie zdecydowane pogodzić się z życiem w społeczności, aby przetrwać.

Młodzi ludzie, których Nathalie wysłała z misją, wracają z cysternami i ciężarówkami wypełnionymi sprzętem budowlanym. Na jej polecenie układają materiały wybuchowe pod mostem Bir-Hakeim i pod mostem kolejki podmiejskiej RER – który przerzucony jest nad wyspą – a następnie pod mostem Grenelle (trzy przęsła połączone z brzegiem), po czym parkują ciężarówki pośrodku wyspy, przy schodach mostu Grenelle.

Moja służąca zawiaduje operacjami. Na jej znak rozlega się wybuch i pierwsze przęsło mostu łączącego wyspę z rejonem Passy upada. Kilkoro ludzi klaska w dłonie, koty miauczą. Potem przychodzi kolej na nadziemną linię metra. Dwa ramiona mostu Bir-Hakeim czeka ten sam los.

Odtąd nie ma już sposobu, aby dotrzeć na brzeg wyspy suchą stopą. Jesteśmy odcięci od wszystkiego, otoczeni ciemnymi wodami rzeki.

Lew Hannibal ryczy. Wyraża na głos to, co wszyscy czujemy: jesteśmy bezpieczni, ale też uwięzieni.

Tylko Pitagoras nie sprawia wrażenia zaniepokojonego.

Spuszcza powieki i używa Trzeciego Oka, aby zaczerpnąć informacji z miejsca, do którego nie sięgają ani moje oczy, ani wąsy.

– Szczury się grupują – oznajmia. – W każdej chwili mogą przypuścić atak. Należy zająć pozycje obronne.

Teraz ja zamykam oczy.

Nie śniąc, wizualizuję rozprzestrzeniający się obłok mojego umysłu, czuję wokół mnie pulsujące życie.

Wyczuwam przerażonych ludzi, ukrytych w domach na przeciwległych brzegach, którzy obserwują nas przez okna. Wyczuwam latające gołębie, zaciekawione poruszeniem wokół Wyspy Łabędziej.

Wreszcie odbieram energię szczurów, które obserwują nas z wybrzeża. Słyszę nawet chrobot ich pazurów o podłoże.

Rybitwy i kruki bezgłośnie tłoczą się na najwyższych gałęziach drzew na wyspie.

Słyszę narastające skrzypienie. Szczury ostrzą siekacze, żeby wzbudzić w nas przestrasz.

Dołączam do mojej służącej Nathalie, która głaska mnie i szepce coś w swoim języku. Powtarza moje imię.

Mruczę.

Zmieniam długość fal, chcąc jej przekazać, że się nie boję i że ona też nie ma się czego obawiać.

Nathalie płacze. Zlizuję jej łyzy (uwielbiam ich słony smak) i tulę się do niej. Istoty, z którymi łączy nas największa naturalna bliskość, sprawiają, że mamy ochotę przechodzić samych siebie, podczas gdy inne istoty spowalniają nas, wypompowują z nas energię, wmawiając, że są ważniejsze od nas (jak jej samiec Thomas).

Angelo, Pitagoras, Nathalie i od niedawna Patricia są tymi istotami, których potrzebuję. Być może pewnego dnia Wolfgang, Esmeralda albo Hannibal wejdą również do tego kręgu, ale na razie wolę, by pozostał wąski, nie mogę się rozpraszać.

Wokół nas młodzi ludzie wykorzystują sprzęt budowlany do wzniesienia strażnic i szałasów. Ustawiają się tam czujki wyposażone w lornetki, miotacze ognia i karabiny maszynowe.

Wyczuwam ich emocje.

Rozedrganie połączone z namacalnym niepokojem.

Czuję, że mój oddech przyspiesza.

Czuję, że moje serce bije szybciej.

Czuję, że zbliża się śmierć.

## Pazury i zęby

Oczekiwanie jest nieznośne.

Angelo, Esmeralda i Wolfgang dołączają do mnie przy ognisku.

Wolfgang miauczy:

– Wszystkie te wydarzenia dają mi do myślenia. Mój służący, prezydent Republiki, uciekł, porzucając mnie. Widziałem ludzi, którzy zabijają się między sobą, i doszedłem do następującego wniosku: już nie lubię ludzi.

Prezydencki kot wypowiedział te słowa neutralnym tonem.

– Ja też zostałam porzucona przez służącą – przypomina Esmeralda – ale nie mam jej tego za złe, biorąc pod uwagę wyjątkowe okoliczności.

– Ja swoją odnalazłam. Być może wy również pewnego dnia odnajdziecie waszych służących – mówię.

– Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że jeśli szczury nas pokonają po tym, jak zwyciężą ludzi, będzie to oznaczało, że są od nas lepsze i zasługują na to, aby rządzić światem – ciągnie Wolfgang.

Angelo krąży wokół nas, gotów do zabawy.

– Nie możemy oceniać całego gatunku w okresie kryzysu – stwierdzam. – Ja nie boję się przyszłości. Miałam piękne życie, uważam za normalne, że doznaję kilku „przejściowych trudności”. Sądzę, że jeśli istoty poruszają się i komunikują, to chcą walczyć z prawdziwym wrogiem, jakim jest brak zajęcia.

– Ach tak? Uważasz, że w przeciwnym razie każdy gatunek, każdy osobnik siedziałby w miejscu? – pyta Wolfgang.

Mam wrażenie, że dostrzegam kilka szczurów za porzuconymi na brzegu rzeki samochodami. Muszą być bardzo sfrustrowane, że nie mogą nas zaskoczyć, docierając tu pod ziemią lub mostem. Będą musiały przedostać się wpław.

Przypominam sobie, jak to woda pozwoliła ich królowi i sporej ich drużynie uciec, uniemożliwiając nam pościg.

Mam nadzieję, że Nathalie wzięła to pod uwagę w swoim planie obronnym.

Pod wpływem niepokoju koty dużo jadły i nasze zapasy kawioru i suchej karmy wyczerpały się. Doszło do tego, że zmuszone jesteśmy jeść osobliwe produkty o mało naturalnej teksturze i kolorach. Nie wszystko nam smakuje, ale zdarza się i miłe zaskoczenie, jak na przykład coś, co Pitagoras nazywa

majonezem, za czym przepadam do tego stopnia, że umorusałam sobie całe wąsy.

Angelo, nie znalazłszy dyspozycyjnego towarzysza, bawi się ślimakiem, który wcale nie wygląda na zadowolonego z takiego obrotu rzeczy. Chwilami zazdroścę synowi beztroski. Tak bardzo chciałabym czasami zapomnieć o wszystkim, czego nauczył mnie Pitagoras na temat historii naszego gatunku, raz czczonego, a raz prześladowanego przez ludzi.

W końcu, gdy niebo przybiera odcienie pomarańczy i purpury, jeden z kotów wszczyna alarm:

– Atakują! – miauczy.

Natychmiast rozlegają się klaksony ciężarówek. Hałas tłumi chrzęst siekaczy naszych przeciwników.

Hannibal ryczy.

Biegnę i wspinam się na szczyt Statuy Wolności, skąd rozciąga się panoramiczny widok.

Nasi wrogowie rzucają się do wody. Są ich dziesiątki, setki, tysiące, dziesiątki tysięcy, może nawet setki tysięcy!

Powierzchnia Sekwany, która jeszcze kilka chwil wcześniej kołysała się w rytmie szarych fal, pokryta jest teraz swego rodzaju jednolitym dywanem z brązowego futra.

My tymczasem czekamy, przygotowani – jest nas blisko sześćset kotów i dwieście młodych osób.

Pitagoras, podłączony do Internetu, wciąż nie okazuje zaniepokojenia, za pośrednictwem kamer przemysłowych i Trzeciego Oka nadzoruje postępy naszych przeciwników.

Nathalie wydaje komendy krzykiem. Młodzi ludzie krzątają się przy cysternach. Rozwijają długie węże, których końce opuszczają do rzeki. Wprawiają w ruch korby.

Znana woń łaskocze mnie w nozdrza.

Koty ustawiają się w pozycji bojowej naprzeciw pierwszych fal szczurów, które wkrótce dotrą do brzegu Wyspy Łabędziej.

Sądząc po ich ogromnej liczbie, szczury pozwoliły sobie na przypuszczenie ataku ze wszystkich stron wyspy jednocześnie.

Schodzę ze Statuy Wolności. Angelo, który wyczuł niebezpieczeństwo, stracił ochotę na zabawę i wpadł w panikę. Cały drży. Przykazuję mu schować się za Hannibalem i nie płatać mu się pod nogami. Następnie udaję się w miejsce, gdzie moim zdaniem wyląduje pierwsza fala szczurów.

Nagle w powietrzu rozbrzmiewa śpiew Callas, potężny i majestatyczny. Patricii udało się więc przekonać młodych ludzi, żeby wyemitowali ten kawałek – zapewne

ściągnięty z Internetu – za pośrednictwem głośników samochodowych.

Muzyka narasta, a napastnicy zbliżają się.

Szczury, które jeszcze nie wskoczyły do wody, głośniej trą zębami, żeby zagrzewać do walki te z pierwszej linii frontu. Niektórym udaje się nawet odpowiedzieć na to wezwanie, płynąc.

Chociaż nie znam szczurzego języka, odczytuję ich myśli, a te sprowadzają się do jednego słowa: „Zabić”.

Nie mogę powstrzymać dreszczu.

Śpiew Callas jest moją energetyczną opoką. Czerpię z niego siłę.

Zaciskam szczęki. Cywilizacja siekaczy staje przeciwko cywilizacji kłów.

Wysuwam pazury.

Szczury w rzece są tak stłoczone, że tworzą ciemną falującą masę.

Nagle grupa wyjątkowo szybkich szczurów postanawia wykorzystać ten ruchomy dywan i przebiega po ciałach swoich współbraci. Pędzi na nas horda gryzoni.

Nathalie gwizdże na palcach. Grupa młodych ludzi uzbrojonych w łuki wkłada groty strzał do paleniska, a następnie wystrzeliwuje jednocześnie we wszystkich kierunkach płonące pociski.

Otoczenie Wyspy Łabędziej natychmiast staje w płomieniach.

Rzeka rozświetla się wśród nocy.

Tę osobliwą woń wydawała ropa.

Nathalie sięgnęła po miotacz ognia i strzela do znajdujących się najbliżej napastników.

Na rzece pojawia się wielka ściana ognia. Wśród szczurów wybucha panika. Niektóre próbują się wycofać, większość pędzi naprzód, gdzie witają je rozwścieczone koty i serie z karabinów maszynowych.

Powietrze wypełnia zapach benzyny i zwęglonej sierści.

Mimo iż zastępy szczurów są przetrzebione, jest ich tak wiele, że tysiącom mimo wszystko udaje się dotrzeć na naszą wyspę.

Wśród tłumu dobijającego do brzegu zauważam olbrzymią postać.

Kambyzes!

Jego sierść wciąż jeszcze się dymi, ale on wydaje się być w wojowniczym nastroju.

Esmeralda również go zauważyła, ale ja rzucam się naprzód, zanim ona zdążyła wystartować. Jeszcze by tego brakowało, żeby skradła mi moje trofeum! Mój brak zainteresowania posiadaniem ma jednak swoje granice.

W dwadzieścia sekund staję naprzeciw wroga. Jego spalone futro cuchnie pieprzem. Wąsy mu się poskręcały. Czarne oczy nabiegły krwią. Rzucamy się na



siebie.

Walczymy zażarcie. Używamy łap, pazurów, zębów. Tarzamy się w wysokich trawach nabrzeża, on zatapia długie siekacze w moim ramieniu. Ból.

Oto wada posiadania ciała – wysyła sygnały dotyczące cierpienia. Zaciskam zęby, żeby nie miauczeć. W zamian gryzę go w grzbiet, krew tryska mi do gardła. Wyczuwam jej smak. Nie jest zły. Zaciskam szczęki ile sił.

Jego długi ogon chłoszcze mnie boleśnie po uszach. Zakończenia mojego przewodu słuchowego są bardzo czułe, dlatego rozluźniam uścisk, a on natychmiast wykorzystuje okazję, żeby odwrócić sytuację na swoją korzyść. Zostaję zdominowana.

Esmeralda przybywa mi z pomocą. Żeby zrobić wrażenie na szczurze, wspina się na tylne łapy. Wykorzystując swoją wysokość, rzuca się na niego i wbija kły w jego tłustą tylną łapę.

Zwierzę kwiczy i puszcza mnie.

Obie jesteśmy niczym prawdziwe furie.

Śpiew Callas wznosi się na coraz wyższe tony, wypełnia powietrze na równi z dymem znad płonącej rzeki.

Król szczurów, ranny, waha się przed przypuszczeniem na nas kolejnego ataku.

Widzę w jego umyśle wściekłość.

Skąd ta przemoc, od tak dawna?

Jestem pewna, że można uniknąć stosowania siły.

Staram się do niego przemówić:

*Kambyzesie, nie mam ci nic za złe, zrezygnujmy z szerzenia śmierci wokół nas. Spróbujmy znaleźć teren porozumienia, który umożliwi nam współistnienie.*

Nie sądzę, żeby odebrał mój przekaz. Zaciska szczęki, spluwa, a grupa jego towarzyszy pomaga mu uciec.

Nawet nie myślę o pościgu. Pędzi w stronę rzeki, wbiega na podest, jaki tworzą jego spaleni żołnierze. Ogień na powierzchni jeszcze w pełni nie wygasł, ale to go nie powstrzymuje. Król szczurów zanurza się w płomienie, prześlizguje się i znika.

Tak czy owak wie, że gdybym próbowała za nim biec, pływający podest ugiałby się pod moim ciężarem.

Esmeralda zbliża się do mnie.

– Cóż, nie sposób wygrywać za każdym razem – przyznaje.

Liże jedną z moich ran.

Jakież to denerwujące, mieć równie sympatyczną rywalkę! Pozwalam jej na te zabiegi, w końcu ocaliła mojego syna, chroniła go, karmiła, towarzyszyła mi w bitwach, pomogła mi wydostać się z kłopotliwej sytuacji podczas pojedynku z Kambyzesem i nie ocenia mnie, nawet kiedy przegrywam. Nie jest złą istotą.

W każdym razie wydaje mi się, że mogę jej wybaczyć niezręczności, jakie popełniła podczas naszego pierwszego spotkania.

Wokół nas trwają zażarte walki między tysiącami szczurów, którym udało się wspiąć na barykady wyspy, i zjednoczonymi setkami kotów oraz młodych ludzi.

Nadszedł czas, żeby wziąć udział w bitwie.

Razem z Esmeraldą rzucamy się w tłum i walczymy wszystkimi zębami i pazurami. W oddali zauważam Nathalie, która wyczerpawszy amunicję miotacza ognia, używa teraz szabli.

Niektórzy ludzie walczą jedynie obcasami. Hannibal wciąż znajduje się pośród szczurów – niesamowita maszyna do zabijania.

Robię, co do mnie należy. Wściekła chęć obronienia naszej wyspy przepędziła całe zmęczenie.

Wstaje dzień. Nie wiem, jak długo trwała walka.

Śpiew Callas puszczone na okrągło umilkł.

Wokół nas nic się nie rusza.

Oddycham wciąż głośno, moje serce nadal mocno bije i czuję klucie w ranach.

Jestem całkowicie oszołomiona.

Zupełnie straciłam poczucie czasu.

Bitwa na Wyspie Łabędziej trwała znacznie dłużej niż ta na Polach Elizejskich. Liczba ofiar z pewnością również jest większa.

Stopniowo odzyskuję spokój, a Pitagoras podchodzi do mnie.

– Na pewno kiedyś pojawią się szczury, z którymi zdołamy nawiązać dialog, lecz nie będzie łatwo je znaleźć. Większość z nich wciąż jeszcze czci przemoc. Słabi muszą być systematycznie eliminowani. Przemoc stanowi sposób porozumiewania się, który przemawia do słabych umysłów. Szczury dobijają własnych chorych, rannych i starców.

Skupiam się, po czym pytam:

– Czy to nie ty uczyłeś mnie, że żaden z gatunków nie jest zły, są tylko bezrozumne lub przestraszone osobniki?

– Ale rodzice mogą wpajać swojej progeniturze różne wartości. Mrówki uczą młode znaczenia wzajemnej pomocy, szczury natomiast raczej współzawodnictwa i wykluczania tych, którzy są inni.

– Nie ma więc żadnej nadziei na porozumienie się ze szczurami?

– Być może pewnego dnia zdołamy się dogadać (tak jak udało nam się to z ludźmi), ale uda się to jedynie z tymi, które zrezygnują z chęci zdominowania innych. Nie sposób utrzymać pokojowych stosunków z brutalnymi najeźdźcami.

Spoglądam na Pitagorasa. Nie mam jeszcze jasnej opinii na ten ważny temat.

Ale już sam fakt, że zadaję sobie te pytania, sprawia, że mój umysł nabiera dystansu i spogląda z szerszej perspektywy czasu i przestrzeni. Bałam się, że szczury zapanują nad światem, a teraz zastanawiam się nad ich przyłączeniem się do paktu wszystkich zwierząt.

Może jestem naiwna?

Za panowania ludzi wszystko było prostsze. Teraz, kiedy sami postawili się na przegranej pozycji, sądzę, że jakiegokolwiek inne zwierzę może zaproponować swoją wizję idealnej przyszłości.

W przedłużającej się ciszy, ledwo zakłócanej szumem rzeki ciągnącej ze sobą zwęglone szczurze zwłoki, podnoszę się na tylne łapy, wyciągam szyję ku niebu i wydaję z siebie potężne miauknięcie, biorące swe źródło w głębi mnie. Przedłużam je w *vibrato*, jak Callas. Wkrótce wszystkie inne koty podejmują ton i miauczą chórem, trochę jak w moim śnie.

Następnie młodzi ludzie, którzy walczyli z nami, próbują również śpiewać na tej samej nucie. Nawet Nathalie wydaje z siebie swego rodzaju miauknięcie. Osobliwy postęp w moim dążeniu do dialogu: nie udało mi się przemówić do ludzi, ale zdołałam zmusić ich do miauczenia!

Wreszcie przyłącza się również Hannibal, w znacznie niższej tonacji, wypełniając całe pasmo niskich częstotliwości. Angelo też jest z nami, miauczy swoim piskliwym głosem.

Wszyscy razem tworzymy kulę dźwięku wyrażającą radość z pokonania znacznie od nas liczniejszego i dzikszego wroga.

Pitagoras przygląda mi się i mam wrażenie, że przez tę krótką chwilę owa rzekomo nieczuła istota, która tak bardzo boi się własnych emocji, odczuwa w stosunku do mnie jeszcze większy szacunek.

Ponownie przypomina mi się jego nauka.

## Pitagorejska mądrość

„Cokolwiek się stanie, to dla mojego dobra.

Czasoprzestrzeń jest wymiarem, który mój umysł wybrał do reinkarnacji.

Moje miłości i przyjaźnie umożliwiają mi poznanie zdolności kochania.

Wrogowie i przeszkody wznoszące się na mojej drodze służą sprawdzeniu umiejętności opierania się i walki.

Problemy pozwalają mi lepiej się poznać.

Wybrałem moją planetę.

Wybrałem mój kraj.

Wybrałem moją epokę.

Wybrałem moich rodziców.

Wybrałem moje ciało.

W chwili gdy uświadamiam sobie, że wszystko, co mnie otacza, zrodziło się z mojego własnego pragnienia, nie mogę już narzekać, nie mogę mieć poczucia niesprawiedliwości.

Nie mogę czuć się niezrozumiany.

Mogę jedynie próbować zrozumieć, dlaczego moja dusza potrzebuje tych właśnie prób, aby podążać naprzód.

Co noc, we śnie, wiadomość ta przekazywana jest mi pod postacią snów, na wypadek gdybym zapomniał.

Wszystko, co mnie otacza, ma na celu kształcenie.

Wszystko, co mnie otacza, ma na celu ewolucję”.

## Dwa kroki w tył, trzy kroki naprzód

Usiłuję utrzymać się na tylnych łapach jak Esmeralda. Unoszę się, czuję odpowiednie podparcie, robię kilka kroków, żeby złapać równowagę. Długotrwałe utrzymanie pozycji dwunożnej nie wydaje mi się już tak trudne, jak z początku zakładałam.

Pitagoras przygląda mi się.

– Nie ma sensu niszczenie dawnego systemu, jeśli nie można zaproponować lepszego świata w zamian. Nie powinniśmy opuszczać tego miejsca, dopóki nie wymyślimy nowego świata – twierdzi. – Wyspa Łabędzia musi stać się bezpiecznym laboratorium, w którym opracujemy propozycję wspólnego życia.

W oddali, na brzegu, szczekają psy.

Wnioskuje z tego, że Patricia użyła szamańskiej mocy, żeby odnaleźć osobnika, który zdołał doprowadzić swoich współbraci aż tutaj. Po psach pojawiają się gołębie, wróble, nietoperze, które sadowią się na nielicznych drzewach wyspy. Manifestują swoje wsparcie ćwierkaniem i gwizdaniem.

Wciąż utrzymuję się na dwóch łapach. Pitagoras naśladuje mnie.

– Tego nie uda się zrobić od razu. Zmiany będą następowały etapami. Nie można też niczego przyspieszać, gdyż nasze dzieło może ulec katastrofie.

Drapie się po czaszce i miauczy:

– Przydałoby się nam miejsce rozprzestrzeniania wiedzy.

– Jak szkoła pitagorejska w Crotone?

– Skąd wiedziałaś, Bastet?

Od stania na dwóch łapach zaczynam odczuwać bóle w krzyżu. Siadam, a mój towarzysz sadowi się obok mnie.

– Ja również potrafię zdobywać informacje. Ale mów dalej – proszę, zadowolona, że udało mi się go zaskoczyć. – Jak by miała funkcjonować twoja „szkoła”?

– Cóż, stworzylibyśmy tutaj małą społeczność opartą na nowych zasadach. Kiedy zostanie w pełni dopracowana, będziemy kształcić koty, być może też psy, eksportując wiedzę poza wyspę.

– Szczurzy król, Kambyzes, przeżył i z pewnością będzie usiłował przypuścić na nas kolejny atak.

– Będzie potrzebował czasu na zgromadzenie równie potężnej armii, jaką

poświęcił w ostatniej bitwie. Z pewnością znajdą się dezercerzy i buntownicy. Nikt nie lubi być w obozie przegranych.

– Co się stanie?

– Najsilniejsze samce zbuntują się przeciwko królowi szczurów, którego uznają za nie dość skutecznego. Zastąpią go nowym przywódcą, który będzie jeszcze bardziej zdeterminowany i będzie chciał nas zniszczyć, gdyż od tej chwili stanowimy dowód na to, iż można im się oprzeć.

– Zatem wszystko zacznie się od początku?

– Ich kultura siły i liczby nie pozwala im na razie rozważać żadnej innej możliwości niż nasza klęska. Ale w czasie gdy będą rekrutować przyszłych żołnierzy, my umocnimy międzygatunkowy pakt kotów, lwów, młodych ludzi, gołębi, kruków i nietoperzy, a być może jeszcze koni, wołów i świń... Wszystkie zwierzęta, które boją się szczurów, dołączą do nas. Musimy tylko utrzymać się tutaj jak najdłużej, kształcić się i przekazywać wiedzę niedouczonym.

– Nasza szkoła pitagorejska będzie miała siedzibę na Wyspie Łabędziej, gdyż przeważająca część miasta wciąż jeszcze pozostaje pod okupacją szczurów. Czy mamy dość pożywienia, aby się tu utrzymać? – pytam pragmatycznie.

– Oczywiście będziemy musieli rozpocząć działalność rolniczą na wyspie, ale dzięki tym wszystkim na wpeł zwęglonym szczurzym zwłokom na pewien czas dysponujemy źródłem protein, czyli nawozów.

W tym momencie Angelo podchodzi do mnie, żeby possać, ale nie mam do niego głowy. Powierzam go Esmeraldzie i daję znak Pitagorasowi, że chciałabym kontynuować rozmowę w spokojniejszym miejscu.

Wspinamy się na szczyt Statuy Wolności. Z góry widok pokonanych wrogów jest jeszcze bardziej imponujący. Do tego doprowadza wojna: życie kończy się gwałtownie dla tych, którzy w niej uczestniczyli.

– Cesarz filozof, Marek Aureliusz, który nawiązywał do myśli pitagorejskiej, mówił o barbarzyńcach szykujących się do ataku na Cesarstwo Rzymskie: „Ucz ich albo znoś”.

Obserwuję zwłoki szczurów unoszące się na wodach Sekwany i zastanawiam się, czy to wszystko nie jest tak naprawdę kwestią braku wykształcenia.

– Epidemia dżumy w końcu wygaśnie. To kultura odegra najważniejszą rolę w naszej wspólnej przyszłości. Nadszedł czas, w którym ostatni mędracy ludzcy będą zmuszeni podzielić się swoją najbardziej zaawansowaną wiedzą z innymi gatunkami zwierząt.

Wciąż mam wątpliwości.

– Nasza wspólnota liczy obecnie czterysta osiemdziesiąt kotów (mimo wszystko straciliśmy stu dwudziestu naszych podczas bitwy) i stu osiemdziesięciu

ludzi (doznali mniejszych strat, gdyż walczyli z dystansu, z obawy, że zostaną zakażeni dżumą). Nie bardzo widzę, w jaki sposób ludzie mogliby uczyć koty, biorąc pod uwagę fakt, że tylko ty, Pitagorasie, potrafisz odczytywać ich wiedzę dzięki Trzeciemu Oku.

– Zacznę od wykształcenia dziesięciu kotów, następnie każdy z nich będzie uczył dziesięć kolejnych, i tak dalej, przez co uzyskamy coraz szersze grono uczniów.

– Czy nauka będzie zawsze odbywała się w jedną stronę? Wiedza ludzi będzie przekazywana kotom?

– Razem z Patricią będziesz mogła stworzyć przepływ wiedzy w drugą stronę, ale nie mam pewności, czy to konieczne.

Oczywiście umniejsza mój talent i przecenia swój. Typowy sposób myślenia samca.

– Następnie decydującym czynnikiem okaże się pamięć. Odbieranie i nadawanie nie wystarczy, gdyż te sposoby komunikowania są ulotne, należy więc zapamiętywać wiedzę. Musimy utrwalić nabyte umiejętności, pozostając niezależni od technologii. Internet wymaga anten, kabli i elektryczności. Tymczasem to wszystko jest domeną ludzi, którzy sami wyeliminowali wielu własnych naukowców. Internet przestanie działać w ciągu najbliższych dni, tygodni lub miesięcy. Kiedy upadną systemy produkujące prąd, Internet wygaśnie i wszystkie informacje, jakie zawiera, znikną.

Na tę myśl przebiega mnie dreszcz od karku aż po ogon.

– Pięć tysięcy lat wiedzy zdmuchniętych niczym pyłek na wietrze...

– Istnieje rozwiązanie.

– Jakie?

– Książka. Pamięć doskonała. Jedyne, jaka opiera się działaniu czasu.

Dlaczego Pitagoras przywiązuje do tego aż taką wagę? Widziałam książkę, ale dla mnie to tylko strony wypełnione małymi rysunkami i pismem ludzkim, nie pojmuję, dlaczego Pitagoras darzy ją tak wielkim szacunkiem.

– Ale my nawet nie potrafimy czytać!

– Pewnego dnia będziemy musieli nauczyć się czytać, w przeciwnym razie wszystko, co zbudujemy, co przeżyjemy, pójdzie na marne.

– Sądzisz, że pewnego dnia ludzie wyginą, tak jak dinozaury?

Lizę łapę i pocieram nią kilkakrotnie za uszami.

– Co cię martwi, Bastet?

– Ludzie zapewniają nam komfort i dostarczają pożywienie, dzięki typowo ludzkiemu pojęciu, które nazwałeś...

– „Pracą”?

– Powiedzmy, że do tej pory ludzie pracowali dla nas. Ich rolnicy i hodowcy starali się zaopatrywać nas w mięso i zboże, z których składa się nasza sucha karma. Tymczasem, gdyby ludzie wyginęli, a my opanowalibyśmy umiejętności dotyczące... technologii, nauki, maszyn, rolnictwa, hodowli, pisma, książek...

– Tak, cóż więc cię kłopotczy?

– ...oznaczałoby to, że powinniśmy... z kolei – słowo to nie chce przejść mi przez usta – ..., „pracować”?

Pitagoras wydaje z siebie swego rodzaju czknięcie, po którym następuje głośne stęknienie. Mam wrażenie, że ujawniając ten zasadniczy problem, wywołałam w nim coś nowego... śmiech!

Wydobywa z siebie gardłowe, coraz dziwniejsze odgłosy, zasłania oczy łapą, jak gdyby nie chciał widzieć, w jakim stanie się znalazł. Wstrząsają nim spazmy. Przez chwilę nawet boję się, że się udusi, ale on wciąż osobiście czka, więc kontynuuję niewzruszona:

– Nie umiem sobie wyobrazić, że wstaję rano i wyruszam tunelami razem z innymi, żeby produkować przedmioty. Ani że piszę książki. Ani że uprawiam pola, ani że się... pocę! Szczerze mówiąc, uważam za niegodne kota znížanie się do czynności wykonywanych przez naszych słuźących.

Pitagorasowi udaje się odzyskać równy oddech.

– Co zatem proponujesz, Bastet?

– W przypadku gdyby ludzkość przetrwała epidemię dżumy (a mówiłaś mi chyba, że choroba ta za każdym razem zabija ich wielu, ale nie dość, aby unicestwić gatunek), należałoby odbudować istniejący system.

Pitagoras kręci głową z powątpiewaniem. Nalegam.

– Mówiłaś, że było ich osiem miliardów, a nas osiemset milionów, prawda? Załóźmy, że po kryzysie ich liczba się zmniejszy, powiedzmy... o połowę?

– Raczej o trzy czwarte, ale mów dalej.

– Wciąż będzie ich więcej niż nas. Pozwólmy więc ludziom zajmować miejsca pracy, uprawiać pola, zarządzać miastami, a równocześnie my zajmijmy się stworzeniem swego rodzaju duchowego ruchu, który umożliwi im postęp.

Pomysł ten go nie przekonuje. Ale ciągnę:

– Spóźrz na tych młodych ludzi, którzy walczyli ze szczurami u naszego boku, zapłacili za błędy poprzedzających ich pokoleń i obecnie znają ich cenę. Widzieli, że razem możemy zwyciężać. Już ich zmieniliśmy, a oni zmieniają własnych współbraci. Tutaj, w naszej szkole, powstaną fundamenty świata opartego na porozumieniu między ludźmi i innymi gatunkami.

– I to ty, Bastet, mówisz mi, że wciąż jeszcze chcesz im ufać? – dziwi się.

Pitagoras zastanawia się, drapiąc się łapą za uchem.



Czuję się w obowiązku doprecyzować moją myśl:

– Pomożemy im. Ty będziesz nadzorował ich czyny w Internecie. Ja i Patricia będziemy wpływać na nich za pośrednictwem świata snów.

Zauważam w oddali Nathalie, która rozmawia z szamanką. Ta ostatnia uczy ją języka migowego.

– A jeśli znów popełnią te same błędy?

Milknę, pozwalając pytaniu zawisnąć w wilgotnym powietrzu.

Ludzie tańczą wokół wielkiego ogniska do melodii znacznie weselszej niż śpiew Callas.

– Co to za muzyka? – pytam Pitagorasa.

– *Wiosna* Vivaldiego. Po trudach zimy zawsze wracają piękne dni, świat bowiem funkcjonuje w rytmie cyklicznym. O tym jest ten koncert. Wszystko odbywa się cyklami, nie warto się martwić, trzeba po prostu czekać, aż po...

– ...dwóch krokach w tył zrobi się trzy kroki naprzód.

Patrzymy na tańczących ludzi. Wirują z gracją.

Pitagoras patrzy mi prosto w oczy.

– Myślisz, że ludzie nas kochają? – pyta.

Ciekawe, że zadaje mi to pytanie w takiej chwili.

– Na swój sposób tak. W każdym razie myślą, że nas kochają – odpowiadam.

– A ty, czy mnie kochasz, Bastet?

Czyżby zaczął sobie pozwalać na bycie „uzależnionym” od mojej osoby?

– Przede wszystkim jestem zmęczona. Muszę nieco pobyć sama, żeby się pozbierać.

Kot syjamski nie rozumie, ale wie, że nie powinien chwilowo nalegać.

Sadowię się wygodniej na głowie Statuy Wolności. Widzę wieżę Eiffla i jej działający jeszcze reflektor, który oświetla miasto ludzi.

W dole widzę Angela, który ssie mleko Esmeraldy.

Widzę Nathalie i jej towarzyszy tańczących wokół ogniska.

Mój umysł powoli powraca do wnętrza czaszki. Czuję się dobrze, naprawdę dobrze, w harmonii z całą otaczającą mnie energią. Chyba odnalazłam swoje miejsce we Wszechświecie. Nie boję się już przyszłości.

Nie mam już poczucia braku czegokolwiek.

Co tak naprawdę sprawiłoby mi przyjemność?

Chciałabym po prostu żyć dalej tak jak teraz, być codziennie zaskakiwana nowymi odkryciami.

Prycham. Prąd rzeczny w końcu zabrał wszystkie zwłoki i gdyby w mojej głowie nie zachowało się wyraźne wspomnienie walki, to mogłabym zacząć

wątpić, że naprawdę się odbyła. Rzeka jest niczym czas, który płynie i wszystko zabiera ze sobą, zarówno ciała pokonanych, jak i nadzieje zwycięzców: wszystko pewnego dnia zniknie, zapomniane.

Pitagoras wspomniał o rozwiązaniu, które pozwoliłoby oprzeć się czasowi.

„Książka”?

Ale w jaki sposób moja myśl mogłaby zmaterializować się na stronach papierowego dzieła?

Zastanawiam się i chyba czuję rodzący się początek odpowiedzi. Aby mój umysł „nabrał ciała”, będę musiała przekazać Patricii we śnie to, co się wydarzyło.

Opowiem tę historię dokładnie tak, jak ją odebrałam, jak ją przeżyłam, i przedstawię, co z niej wywnioskowałam.

Opiszę wszystko ze szczegółami.

Ona z kolei przekształci moje wspomnienia w słowa, aby inni mogli pewnego dnia dowiedzieć się, co się naprawdę zdarzyło.

Nie wszyscy jej uwierzą, to oczywiste, ale na pewno znajdzie się kilku czytelników, którzy zrozumieją, a wśród nich z pewnością znajdą się tacy, którym przyjdzie ochota opowiedzieć moją historię swoim dzieciom.

Tym sposobem, dzięki tej książce, moja myśl oprze się czasowi, a moje życie nie pójdzie na marne.

## POSTSCRIPTUM

PS 1: Żadne zwierzę nie było maltretowane ani nie zostało zranione podczas pisania tej powieści (nawet w scenach walk, pościgów czy podczas scen kaskaderskich).

PS 2: Wspieram stowarzyszenie PETA (People for the Ethical Treatment of Animals), które ma na celu poprawienie statusu zwierząt w naszym społeczeństwie.

PS 3: Chciałbym złożyć hołd powieściopisarzowi Claude'owi Klotzowi (znanemu również pod pseudonimem Patrick Cauvin, genialnemu autorowi, między innymi *E=mc<sup>2</sup>*, *mon amour – E=mc<sup>2</sup>*, *moja miłość*). Przeprowadzając z nim wywiad w czasach, kiedy pracowałem jako dziennikarz, widząc jego wszechobecnego kota, powiedziałem sobie: „To chyba właśnie życie, o jakim marzę: pracować spokojnie w domu z kotem, który mnie obserwuje i inspiruje”.

PS 4: Chciałbym podziękować mojemu tuluskiemu sąsiadowi, weterynarzowi Jeanowi-Yves'owi Gauchetowi, któremu zawdzięczamy wynalezienie terapii mruczeniem. Celem jest badanie zbawiennych efektów fal emitowanych na niskich częstotliwościach (między dwadzieścia a pięćdziesiąt herców) przez mruczące koty. Oddziałują one nie tylko na bębenki, lecz także na ciała blaszkowate, zakończenia nerwowe umieszczone tuż pod skórą – mają na nie uspokajający wpływ. Mruczenie kota powoduje też produkcję serotoniny, neuroprzekaźnika odpowiedzialnego za jakość naszego snu i nastroju, zmniejszającego poziom stresu i przyspieszającego zabliznianie się tkanki kostnej.

PS 5: Strona Wamiz (<https://wamiz.com>) okazała się dla mnie bardzo przydatna, przedstawia interesujące świadectwa i opisy nietypowych zachowań kotów.

PS 6: Na koniec proste pytanie: a wy, co zrobilibyście, gdyby rządziła wami istota pięć razy większa, z którą nie bylibyście w stanie się porozumiewać, która zamykałaby was w ciasnych pomieszczeniach o nieosiągalnych klamkach, od której widzimisię zależałoby wasze pożywienie o składzie nawet wam nieznanym? (Zauważcie: jeśli się dobrze zastanowić, tak samo czują się dzieci, ale w ich przypadku sytuacja ta trwa tylko pewien czas, czyż nie?)

# MUZYKA SŁUCHANA PODCZAS PISANIA POWIEŚCI

Sonaty Beethovena w wykonaniu fortepianowym H.J. Lim.

*Casta Diva*, słynna aria z opery *Norma* skomponowana przez Vincenza Belliniego.

*San Jacinto*, utwór z albumu *Peter Gabriel*, artysty o tym samym nazwisku.

*Cztery pory roku* Vivaldiego w wykonaniu Joego Satrianiego (wersja hardrockowa na gitarze elektrycznej).

*Rozluźnij się z Roukym*, godzina nieustannego mruczenia, zarejestrowana przez Jeana-Yves'a Gaucheta dla czasopisma „Effervescience” (najlepiej słuchać równocześnie z Vivaldim).